

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

# Pro Libris

Nr 2 (27) Zielona Góra 2009

ISSN 1642-5995

Nr indeksu 370754

Eseje

Wiersze

Proza

Szkice krytyczne

Sztuka



---

*Wydano z finansowym wsparciem Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej  
Herausgegeben mit finanzieller Unterstützung der Stiftung für deutsch-polnische Zusammenarbeit*

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

**Pro Libris**

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne  
Pro Libris nr 2(27) – 2009

Prace plastyczne wykorzystane w numerze  
*Andrzej Bobrowski*

Copyright by  
Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C. Norwida, Zielona Góra 2009

Redaktor naczelny  
*Sławomir Kufel*

Zastępca redaktora naczelnego  
*Grzegorz Gorzechowski*

Redaktor graficzny  
*Magdalena Gryśka*

Sekretarz redakcji  
*Ewa Mielczarek*

Korekta  
*Joanna Wawryk*

Członkowie redakcji:  
*Ewa Andrzejewska, Anita Kucharska-Dziedzic, Czesław Sobkowiak, Maria Wasik, Grażyna Zwolińska*

Stali współpracownicy:  
*Krystyna Kamińska, Tomasz Mróz, Ireneusz K. Szmidt, Andrzej K. Waśkiewicz, Jacek Wesołowski*

Fotografie:  
*Barbara Panek-Sarnowska, Tomasz Daikler, Robert Frąckowiak*

Wydawca  
*Pro Libris – Wydawnictwo Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida,  
al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra*

Skład komputerowy  
*Firma Reklamowa GRAF MEDIA, tel. 068 451 72 78*

Druk i oprawa  
*Drukarnia FILIP*

Nakład – 400 egz.

ISSN 1642-5995  
Nr indeksu 370754

---

Adres Redakcji:  
WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze,  
al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra (z dopiskiem Pro Libris);  
e-mail: [Wydawnictwo.Prolibris@wimbp.zgora.pl](mailto:Wydawnictwo.Prolibris@wimbp.zgora.pl)  
<http://www.wimbp.zgora.pl>

# Od redakcji

Prognozy są, paradoksalnie, pomyślne. Mokra lato sprzyja lekturze i na to właśnie liczymy, oddając kolejny numer „Pro Libris” Czytelnikom.

Mam nadzieję, że zawartość czasopisma usatysfakcjonuje każdego. Przede wszystkim sporo literatury, głównie za sprawą Międzynarodowego Festiwalu Literackiego, pierwszego na taką skalę przedsięwzięcia tego typu w naszym regionie. Jak zwykle głównym animatorem pozostaje WiMBP w Zielonej Górze, przy współpracy Związku Literatów Polskich. Kulisy powstania pomysłu oraz jego realizacji przybliży tekst Eugeniusza Kurzawy, polecam też uważnej lekturze wypowiedzi naszych Gości.

To dobre wprowadzenie w funkcjonujący od początku istnienia „Pro Libris” problem tożsamości kulturowej. Na ile my jesteśmy zrozumieli kulturowo dla innych, na ile oni są zrozumieli dla nas. Ewa Andrzejewska penetruje ciemne zakamarki człowieczeństwa pokazując, że nawet tak traumatyczne doznanie, jak współczesne przeżywanie Oświęcimia, może prowadzić do zrozumienia i, w perspektywie, być może likwidacji bezrozumnych prób powrotu demonów przeszłości.

Nie wolno pominąć też krótkiego tekstu Jacka Katosy Katarzyńskiego. Sky Piastowskie kojarzy się w Polsce z niezależną twórczością filmową, ale mało kto zdaje sobie sprawę z roli, jaką odegrało. Ten fenomen można porównać tylko do zagłębia kabare-

towego, jakże niedocenianego przez malkontentów (a może tylko ignorantów?..).

Dziwne jest opowiadanie Viktorii Korb. Wczytajcie się w nie dokładnie. Powoli odsłonią się przed Czytelnikami właściwe proporcje – wreszcie zaczyna dominować prawda, bez uduśnień i wygładzeń – prawda wzajemnych stosunków, tym cenniejsza, że przeprowadzona z poziomu życia, jego obserwacji. Miejmy nadzieję, że coraz więcej będzie tego typu wypowiedzi, zamiast nadętych i fałszywych deklaracji o wzajemnej... obojętności.

Sporo zamieszania wprowadzi zapewne dział *Polemiki*. Wypada się tylko cieszyć, że temat poprzedniego numeru – feminizm – wywołał tak gwałtowne reakcje. Wypowiedzi nie są, bo nie mogą być, obiektywne. Autorzy piszą to, co wedle nich jest istotne, a redakcja się temu przygląda. Dlatego też wspomniane głosy są wyłączną własnością ich twórców, jeśli jednak sprowokują kolejne teksty polemiczne – będziemy bardzo zadowoleni.

Prócz tego zwykła dawka wierszy, recenzji, prezentacji plastycznych – cieszy wszakże coraz gęstsza obecność tu ludzi młodych, dopiero zaczynających swój artystyczny zawód. To dobrze rokuje i pismu, i regionalnej kulturze. Zapraszam do lektury!

**Sławomir Kufel**

# Spis treści

---

<b>Sławomir Kufel</b> , Tylko żadnej polityki, proszę.....	6
<b>Międzynarodowy Festiwal Literacki</b> .....	9
<b>Eugeniusz Kurzawa</b> , Pierwszy taki festiwal .....	10
<b>Birutė Jonuškaitė</b> , Literatura polska na Litwie .....	11
<b>Radovan Brenkus</b> , Percepcja literatury polskiej w krytyce literackiej na Słowacji .....	15
<b>Andrii Bondar</b> , Polacy po ukraińsku. Co już jest i co tłumaczyć? .....	17
<b>Karl Grenzler</b> , Polska literatura w Niemczech .....	19
<b>Anita Kucharska-Dziedzic</b> , Danuty Mostwin rozważania o tożsamości przeszczepieńców .....	21
<b>Marek Grewling</b> , Wiersze [ <i>Triduum paschalne – smutek anachorety, *** Tutaj nawet!</i> ] .....	24
<b>Ewa Andrzejewska</b> , Oświęcim 2009 .....	26
<b>Katos</b> , Historia polskiego kina niezależnego w Polsce w oparciu o działania zielonogórskiej grupy filmowej Sky Piastowskie .....	31
<b>Czesław Sobkowiak</b> , Continuum .....	35
<b>Kinga Mazur</b> , Wiersze [Personifikacje: <i>Namiętność, Miłość, Zła Miłość, Moralność</i> ] .....	40
<b>Viktoria Korb</b> , Polskie wesele przed transformacją. (Polnische hochzeit vor der „Wendezeit“) .....	42
<b>Władysław Łazuka</b> , Wiersze [ <i>We mnie, Zapytaj czasu swego</i> ] .....	45
<b>Karol Graczyk</b> , Redrum .....	47
<b>Grażyna Zwolińska</b> , Teatr poza teatrem .....	57
<i>Nie konkurujemy z zawodowcami</i> . Wywiad z Janem Andrzejem Fręsiem przeprowadziła Grażyna Zwolińska .....	60
<b>Władysław Łazuka</b> , Okruchy wspomnień: Komplet, Kocia, Ręka do ryb .....	62
<b>Beata Patrycja Klary</b> , Wiersze [ <i>Między pociągami, ballada wiejska, spotkanie, Givenchy Gentleman</i> ] .....	64
<b>Jacek Wesołowski</b> , Kobieta jako człowiek .....	66
<b>POLEMIKI</b> .....	70
<b>Zbigniew Kozłowski</b> , Myślenie waginą albo riposta na cztery karty .....	70
<b>Anita Kucharska-Dziedzic</b> , Szanowny Panie, myślący czym tam Pan sobie chcesz.....	77
<b>Grażyna Zwolińska</b> , Myślenie półpenisem .....	80
<b>Grzegorz Gorzechowski</b> , Feminizm po swojemu .....	84
<b>NA GRANICY</b> .....	86
<b>Michael Kurzwelly</b> , Słubfurt bekommt ein Parlament (Słubfurt będzie miał własny parlament) .....	86
<b>Eugeniusz Wachowiak</b> , Wiersz [ <i>Bereska – Bjerjoszka – Brzózka – Birklein</i> ( <i>Bereska – Bjerjoska – Brzózka – Birklein</i> )] .....	88
<b>PREZENTACJE</b> .....	90
<b>Andrzej Bobrowski</b> .....	90
<b>Leszek Kania</b> , Ślady pamięci .....	91

---

<b>VARIA</b> .....	93
<b>Wojciech Jachimowicz</b> , Historia o kamiennym krzyżu z Lubiechowa .....	93
<b>Czesław Sobkowiak</b> , Kilka słów o środowisku literackim w Żarach .....	96
<b>Wiesława Siekierka</b> , Wiersze [ <i>Ad brewe tempus, Dar losu</i> ] .....	99
<b>RECENZJE I OMÓWIENIA</b> .....	101
Na marginesie rozbierania bajek	
Katarzyna Miller, Tatiana Cichocka, <i>Bajki rozebrane</i> ( <b>Joanna Wawryk</b> ) .....	101
Niemieckojęzyczny „słownik” o Polsce	
Stefanie Peter, <i>Alphabet polskich cudów</i> ( <b>Barbara Krzeszewska-Zmyślony</b> ) .....	104
Deutschsprachiges „Wörterbuch” über Polen	
Stefanie Peter, <i>Alphabet der polnischen Wunder</i> ( <b>Barbara Krzeszewska-Zmyślony</b> ) .....	105
Obszary duchowości	
Angelus Silesius, <i>Anielski wędrowiec</i> ; Krzysztof Andrzej Jeżewski, <i>Żagle niebieskie</i> ( <b>Czesław Sobkowiak</b> ) .....	107
Dojrzały debiut	
Małgorzata Michalak, <i>Wiersze</i> ( <b>Czesław Sobkowiak</b> ) .....	110
Lekko i poetycko	
Janina Elżbieta Lorenc, <i>Fraszki i inne fatataszki</i> ; Władysław Łazuka, <i>Igraszki w pobliżu fraszki</i> ( <b>Czesław Sobkowiak</b> ) .....	112
<b>ZAPOWIEDZI</b>	
V Międzynarodowy Festiwal Kina Autorskiego Quest Europe 2009 .....	114
Europejskie Ogrody Sztuki .....	116
I Gorzowski Festiwal Poetycki .....	117
<b>KRONIKA</b> .....	118
<b>KSIĄŻKI NADEŚLANE</b> .....	121
<b>AUTORZY NUMERU</b> .....	122

# Tylko żadnej polityki, proszę...

Tak właśnie zaczęli rozmowę przy szklance piwa dobrzy znajomi z Uniwersytetu w Ostrawie. Żadnej polityki. Dlaczego?

Polityka to polska choroba. Niszczy tkankę narodową i wtrąca się do wszystkiego. Niechący jakby, niewiedzący inaczej – wystarczy, że jakikolwiek Polak stanie się politykiem – przestaje samodzielnie myśleć. Myśli stereotypami. Naszymi stereotypami, niezwykle anachronicznymi. Prawica, lewica, centrum. Tak się składa, że w Polsce te pojęcia dawno zatraciły sens. „Co tam, panie, w polityce? Chińczyki trzymają się mocno” – to w dalszym ciągu wyznacznik polskiego rozumowania. „Nie będzie Niemiec pluć nam w twarz...”. Tylko że tę twarz trzeba jeszcze mieć...

A tymczasem twarz się rozmywa. Nie bardzo wiadomo, jak porównać tę spod Gorzowa czy Zielonej Góry i tę spod Lublina. Tyle tylko, że mówimy w jednym języku. Na Ziemiach Odzyskanych twarz wykrzywia się ostatnio w grymasie niepewności, na polskich kresach – dumy, ale i oczekiwania.

## Teza I

Polska traci jednolitość. Nie chodzi rzecz jasna o jednolitość terytorialną, można sądzić, że długo jeszcze zachowamy integralność. Posypały się mity założycielskie. Przede wszystkim mit piastowski. Owszem, funkcjonuje w Wielkopolsce, ale dla całego kraju wygląda trochę tak, jak mit Merowingów dla Francji. Czyli w ogóle nie wygląda. Nie bardzo ma do czego nawiązywać Breslau (chyba że do schematycznych do bólu powieści Marka Krajewskiego),

ratując się a to EXPO, a to Euro 2012. W dalszym ciągu nie spełnia swej genetycznej roli – lidera Śląska (Dolnego, Opolskiego, Północnego). O miastach i miasteczkach tej przepięknej jeszcze dziś krainy szkoda nawet pisać – są uroczę (Polanica, Kudowa...), ale roli kulturotwórczej nie spełniają. Teatr dziś ma kłopot, by utrzymać się w Zielonej Górze, a jeszcze niedawno (przed 1945 rokiem) istniał z powodzeniem w mniejszych miejscowościach (np. w Świdnicy). Jesteśmy głupimi nieudacznikami? Skądże. Nie o to chodzi. Policzmy. Od roku 1945 minęły już 64 lata. Bez wojen i zmiany granic. Nawet niemieccy „wypędzeni powtórnie” powoli zapominają, jak to kiedyś bywało. Na szczęście Polacy też zapominają. Na szczęście, gdyż uporczywe powtarzanie mantry o „polskości ziem zachodnich” do niczego nie prowadzi. Piastowie nam tu nie pomogą, Piastowie kończą się na Międzyrzeczu, a Żary to jedna ze stolic Łużyc, tymczasowo tylko przejętych w wyniku zaborczej akcji Bolesława Chrobrego. Tu nie chodzi o udowodnienie germańskości czy słowiańskości tych ziem – tu chodzi o elementarną prawdę. Jeśli zatem Piastowie Śląscy się depolonizowali, to pewnie nie w wyniku nacisków germanizacyjnych – po prostu Polska nie była nimi zainteresowana. Królestwo Czech owszem. W ten sposób wchodzili do Europy, z grubsza biorąc takiej samej na przestrzeni ponad tysiąca lat. Labilna Rzeczpospolita nie mogła być alternatywą. Kujawska linia Piastów, a tym bardziej podejrzani genetycznie Jagiellońowie widzieli interesy na wschodzie, nie na zachodzie.

To jest widoczne do dziś. Warszawa z Mazowszem, Lublin, Kraków, Rzeszów, Białystok – to



centrum polskości; Gdańsk, Toruń, Katowice – to obszary niepewne genetycznie, jeszcze do zaakceptowania. Poznań – zawsze solą w oku, bo stolica osobnej krainy. Ale co zrobić z Wrocławiem, Szczecinem (a kto go nadał!), Gorzowem, Zieloną Górą, Wałbrzychem, Opolem? Jak toto zasymilować? Póki żyli wypędzeni ze Wschodu Polacy, było łatwiej. Teraz pokolenie wnuków nie odczuwa już więzi ze Lwowem, a z czym ma odczuwać? Przecież nie z Opplen, Grünberg, Wallenberg – na to jest jeszcze za wcześnie i chyba już za późno. Wytwarza się pustka mentalna – młodzi mieszkańcy tych ziem nie pytają, kim są, po prostu są. Jest to moment przejścia, teraz zadecyduje się, czy znów rozpocznie się budowanie nowej rzeczywistości, jak kiedyś Śląska, czy niestety, wróci czas upiórów nacjonalizmu.

## Teza II

Po wejściu w struktury Unii Europejskiej niewiele da się zrobić. I na szczęście. Powracają, powoli, obszary geograficzno-filogenetyczne. Na razie są to nieśmiało nawiązania, zerkanie w karty przeszłości, a karty jednak niemieckie. Piszą się dzieje miast, już w pewnej ciągłości historycznej. Tu i ówdzie remontuje się cmentarze, wstawia tablice, funduje kamienie pamiątkowe. Wciąż jednak da się wyczuć strach i rezerwę. W blokowiskach z lat 70. czy willowych osiedlach z końca XX wieku czujemy się pewnie. Wystarczy jednak, że znajdziemy się oko w oko z dziedzictwem sprzed 1945 roku, dziedzictwem obcym. Pytamy: skoroście uciekali, dlaczego nie zabraliście wszystkiego? Dlaczego nie zabraliście pamięci? Byłoby nam łatwiej budować na spalonej ziemi, wszystko od początku. Tymczasem to dziedzictwo traktowaliśmy, i traktujemy, jak wyrzut sumienia. A z takim, wiadomo, lepiej nic nie robić, może samo się usunie. W istocie, przez całe lata usuwało się, to jest popadało w ruinę, w skandaliczne zaniedbanie, bo było tkanką niepolską, z gruntu obcą.

Ale co czynić teraz, gdy granice Unii właściwie istnieją tylko na papierze? Jak teraz uciekać od odpowiedzialności? Znakomicie widać to na przykładzie bliskim i często przywoływanym – Parku Mużakowskim. Jest tam most. Właściwie solidna kładka. Łączy park w jedną, polską i niemiecką całość. Idźmy – najpierw jednak zostawmy samochód na półdzikim parkingu na skraju parku. Ktoś, kto nie wie, gdzie zjechać z wyboistej drogi w Łęknicy, nigdy

tam nie trafi. Albo zajedzie do pobliskiego burdelu, położonego na skraju lasu. Lecz dobrze, wchodzimy do parku, zaniedbanego i zapuszczonego. Zanieczyszczonego końskimi odchodami, bo przedsiębiorczy Polacy wymyślili, że będą turystów obwozić wątpliwej urody i wygody zaprzęgami. Jest siermiężnie. Jest brudno i śmierdząco, toalety nie uświadczysz, bo plastikowe rozwalające się cuchnące budy na to miano nie zasługują. Trawniki zapuszczone, polska odnoga Nysy Łużyckiej wypełniona jakąś breją. Wchodzisz na mostek. Nie ma kontroli, a bramka jest otwarta. Bo park jest jeden, a granicy nie ma. Wchodzisz do niemieckiej części. Tu gówin nie uświadczysz. Alejki są równe, trawniki przyszyty, drzewa opisane. Przepiękne klomby, urocze mostki oraz intensywnie remontowany pałac. W oficynach kawiarnia i muzeum. Zamawiasz dzbanek kawy. Bardzo dobrej, ale i w towarzystwie jesteś dobrym – przy stoliku obok jacyś Brytyjczycy, bardzo kulturalni, dalej kilka niemieckich emerytek, nie wiem skąd, i jeszcze para zakochanych młodych Włochów. Kelnerka uprzejma, rachunek zapłacony. Potem Bad Muskau – równe i czyste ulice, odnowione kamieniczki, w blokach (czemu nie) firanki na klatkach schodowych i kwiaty, mnóstwo kwiatów. Nikt cię nie zaczepia, żeś Polak, patrzą tylko, ile euro wydasz. A potem przechodzisz mostem do Łęknicy. Znowu brud, smród, dziury i ogólny bałagan. Z Europy wchodzisz do Azji. A to tylko 100 metrów.

Nie ma usprawiedliwienia. Od zakończenia II wojny minęło prawie 65 lat. Po prostu nie dorosiliśmy do Europy. Retoryka patriotyczna też tu nie pomoże. Polacy żywią się tą retoryką od wieków. Inni w tym czasie budują. I zarabiają. Jedyna nadzieja w tym, że w końcu zmuszą nas do europejskiego, *recte* nowoczesnego postępowania. Zmuszą te ziemie, by na powrót stały się częścią kontynentalnej cywilizacji.

## Teza III

Można to zrobić. Warunków jest kilka, a każdy innej natury. O pierwszym już wspomniałem. Być może zmuszą nas inni. Ale to nie wszystko.

Trzeba szanować gospodarzy. To tacy ludzie, którzy liczą, planują i nie dają się ponieść emocjom. Oraz tacy, którym się chce. Wbrew pozorom jest ich jeszcze trochę, i w każdym pokoleniu. Obce im jest

kołesiosłwo i zaśłepienie partyjnymi/finansowymi komerażami. Pełnią urząd jako służbę państwową, a nie służbę odźwiernego w domu publicznym. Rzeczywiście, niewielu ich. Bo to trudne i wyczerpujące, bo rzadko efektywne i dobrze widziane w mediach.

Trzeba coś zaproponować. Coś sensownego na miarę wspólnoty, w której się żyje. I trzeba, żeby intencje były czyste. To może być cokolwiek, w zależności od tego, jakie ktoś miejsce zajmuje, byleby tylko przynosiło korzyść innym.

Trzeba się zacząć oburzać – na śmierdzące psie gówna wypełniające nasze miasta i miasteczka i na bezmyślnych właścicieli tych czworonogów, do których to właścicieli można mieć słuszną pretensję, że nie załatwiają się razem z podopiecznymi. Byłaby harmonia. Na hordy debili demolujących przystanki, wywracających kosze, smarujących po ścianach, wrzeszczących w nocy i rozbijających butelki gdzie popadnie – a oczywiście nikt, łącznie z policją, tego nie widzi i nie słyszy. Na osławionych już panów z żuka, pracowicie łatających łopatami dziury w asfalcie – można z tego uczynić nie lada atrakcję turystyczną. Na...

## Teza IV

Nic z tego. Nie będzie lepiej, dopóki nas się nie zmusi. Bo w Polsce wszystko wolno. Wolno mówić maturzystom, że powinni udawać głupszych niż są, bo tego wymaga klucz odpowiedzi. Kształcimy „inteligentnych inaczej”?

Wolno ukarać bezmyślnego idiotę, który zmarnował kilku ludziom dorobek życia, a niektórym i zdrowie 6 punktami karnymi i mandatem w wysokości 500 zł. Bo jechał za szybko i do tego mercedesem. Gdyby to był maluch, to co innego...

Wolno chłać i rzygać publicznie w centrum sporego miasta, a wszyscy obchodzą szerokim łukiem, bo jeszcze chwyci jeden z drugim siekiere i zabije...

Wolno wypłacać nieco ponad 100 euro emerytury miesięcznie ludziom, którzy pracowali uczciwie całe zawodowe życie. Bo przecież są już niepotrzebni. Inna rzecz, gdyby kradli...

Wolno...

## Synteza

Nie dziwny się. Uczmy się języków obcych.

# Międzynarodowy Festiwal Literacki

14 maja (czwartek)  
18.00 - 19.30 Biesiada Literacka (sala widowiskowa WIMBP)  
19.30 - 20.00 Koncert kwintetu Filharmonii Zielonogórskiej  
20.00 Degustacja potraw krajów sąsiadujących

Białoruś  
Czechy  
Estonia  
Litwa  
Łużyce  
Niemcy  
Słowacja  
Ukraina

15 maja (piątek)  
Spotkania autorskie w bibliotekach  
południowej części województwa lubuskiego

16 maja (sobota)  
Dzień w Żarach w ramach 8. Majowych Spotkań Literackich  
11.00 - 14.00 Kiermasz książek przy Ratuszu  
12.00 - 14.00 Sympozjum ph. "Literackie pomosty"  
(sala konferencyjna Ratusza)



organizatorzy i partnerzy



Stowarzyszenie  
Klub Literacki

Wojewódzki Ośrodek Kultury



partneri medialni



GAZETA  
LUBUSKA

REGIONALNA  
ODRA

TVP

Festiwal realizowany ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego  
Patronat honorowy Marcin Jabłoński Marszałek Województwa Lubuskiego

# Pierwszy taki festiwal

Padają niekiedy w ostatnich latach opinie, że pora na dużą imprezę literacką na Ziemi Lubuskiej. Zwłaszcza w Zielonej Górze, gdyż Gorzów Wlkp. ma od lat ogólnopolski konkurs literacki im. Zdzisława Morawskiego. Głos w tej sprawie podnosiła zwłaszcza Maria Wasik, szefowa biblioteki im. Norwida. Wielkie bowiem wydarzenia związane z ludźmi pióra odbyły się na Środkowym Nadodrzu w roku... 1963 i potem w 1970 r. Były to słynne Zjazdy Pisarzy Ziem Północnych i Zachodnich.

I udało się! Niedawno odbył się, po raz pierwszy w Zielonej Górze i Żarach, Międzynarodowy Festiwal Literacki. Organizatorami były dwie książnice: Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C. Norwida w Zielonej Górze we współpracy z oddziałem Związku Literatów Polskich w Zielonej Górze oraz biblioteka miejska w Żar. Impreza wypaliła! Jest nadzieja, że będzie kontynuowana.

Pomysł festiwalu skonkretyzował się w maju 2008 r., podczas żarskich 7. Spotkań Literackich „Pod Magnolią”. Ale za narodziny idei przyjąłbym wrzesień 2007 r., kiedy miałem możliwość uczestniczenia w białorusko-litewsko-polskim projekcie unijnym w Nidzie na Mierzei Kurońskiej na Litwie. Tamto spotkanie i poznanie międzynarodowej grupy twórców i tłumaczy, rzecz można, ponagliły mnie do realizacji czegoś ciekawego na Środkowym Nadodrzu.

Pierwszy krok w kierunku MFL udało się zrobić dzięki życzliwości dyrekcji Norwida. W maju 2008 r. doszło do wizyty w Zielonej Górze i Żarach dwojga zagranicznych uczestników owych warsztatów w Nidzie: Birutė Jonuškaitė z Litwy oraz Estończyka Aarne Puu. Zaś puentą dyskusji (z ich udziałem), przy biesiadnym stole zajazdu Andrzeja Wojtaszka w Żarach na zakończenie seminarium „Pod Magnolią” w 2008 r., była zgodna opinia zgromadzonych, iż za rok trzeba zrobić dużą imprezę literacką, nawet międzynarodową. Dlatego wydarzenia w Zielonej Górze i Żarach w roku 2008 można śmiało nazwać przygrzywką do festiwalu w 2009 r.

Chciałbym tu przypomnieć o zielonogórskiej tradycji (od dziesiątków już lat) organizacji przez bibliotekę Norwida Lubuskich Czwartków Literackich. Krótszą tradycję mają spotkania pod umowną nazwą „Pod Magnolią” w Żarach. Jednak w 2008 r. udało się te dwie imprezy połączyć. Do Zielonej Góry na tradycyjny Czwartek zostało zaproszonych w maju 2008 r. wspomnianych dwoje gości z Litwy i Estonii. Ich wspólne spotkanie z publicznością Lubuskiego Czwartku, wykłady nt. przemian w literaturach ich krajów po transformacji ustrojowej spotkały się z dużym zainteresowaniem. Następnego dnia goście odbyli kilka spotkań autorskich w Żarach, zaś w sobotę w tym ostatnim mieście uczestniczyli, wspólnie z pisarzami lubuskimi, w wymienianej już żarskiej imprezie i biesiadzie.

Na takim właśnie podkładzie powstał program MFL Zielona Góra – Żary 2009. Osią pomysłu było zaproszenie pisarzy i tłumaczy literatury polskiej ze wszystkich państw graniczących z Polską. Chodziło oczywiście o promocję literatury krajów ościennych w Polsce, przybliżenie najnowszych nurtów i tendencji panujących w literaturze naszych sąsiadów oraz wymianę poglądów na temat obecności, percepcji i kondycji polskiej literatury (w tym regionalnej) na Litwie, Białorusi, Ukrainie, Słowacji, w Czechach, Niemczech, Estonii oraz terenach zamieszkałych przez Serbołużyczan w Niemczech. Pod tym kątem zostali dobrani i zaproszeni goście: Andrzej Chadanowicz z Białorusi, Adrii Bondar z Ukrainy, Karl Grenzler z Niemiec, Radovan Brenkus ze Słowacji oraz z powodu „zasiedzenia” Aarne Puu i Birutė Jonuškaitė. Nie dopisali tylko Czech i Serbołużyczanin.

Opisywaną tu ideę festiwalu w projekt przekuły panie Dorota Kaczmarek i Justyna Hak z działu promocji biblioteki wojewódzkiej. Taki materiał trafił do ministerstwa kultury, gdzie zyskał aprobatę, a przede wszystkim pieniądze. Organizacyjnie zaś festiwal przeprowadzono tak jak imprezę prekursorską rok

temu. Wpierw zatem czwartkowe spotkanie w Zielonej Górze, potem piątkowe rozjazdy lubuskich moderatorów z gośćmi po województwie, wreszcie sobotni kiermasz i sympozjum w żarskim ratuszu. W pracę organizacyjną mocno zaangażowali się oczywiście bibliotekarze, jak też członkowie oddziału ZLP jako moderatorzy.

Goście wyjechali prawdopodobnie zadowoleni. Jak zaowocuje ich pobyt na Ziemi Lubuskiej, czy ukażą się przekłady wierszy zielonogórskich poetów, czy posypią się propozycje spotkań za sąsiednimi granicami? Pewnie raczej nie. Niemniej istotne jest, że mały krok w kierunku promocji lubuskich twórców za granicą został zrobiony.

**Birutė Jonuškaitė**

## Literatura polska na Litwie

Uważa się, że pierwsze tłumaczenie w Europie ukazało się w III w. przed Chrystusem, kiedy to przetłumaczono z hebrajskiego na grecki Stary Testament, tak zwaną *Septuagintę*, co po łacinie znaczy siedemdziesiąt. Nazwa ta, jak głosi legenda, nawiązuje do tego, że Testament przekładało siedemdziesięciu tłumaczy w ciągu siedemdziesięciu dni. Ponoć tłumacze nie kontaktowali się ze sobą, ale natchnieni łaską bożą, przełożyli tekst identycznie. Tłumaczenia dokonali mieszkający w diasporze egipskiej w Aleksandrii zhellenizowani Żydzi. Mecenasem tłumaczenia był król Egiptu Ptolemeusz Filadelf (285-247 p.n.e.). Tak Grecy po raz pierwszy zapoznali się z religią, kulturą i historią Żydów.

Natomiast pierwsze tłumaczenie literatury pięknej ukazało się w starożytnym Rzymie, gdzie jeden z pisarzy rzymskich, Livius Andronicus (285-204 r. p.n.e.) przetłumaczył *Odyseję* Homera. W miarę jak rosło w Rzymie znaczenie kultury, literatury i filozofii greckiej, sztuka tłumaczenia stawała się bardzo popularnym zajęciem wielu wykształconych Rzymian. Tłumaczono tragedie Eurypidesa, dzieła Platona, a nawet sam Horacjusz naśladował Safonę, Anakreonta i wprowadził do łaciny greckie formy wiersza.

Pierwsze tłumaczenie na język litewski związane jest z jedną z najślawniejszych postaci w dziejach piśmiennictwa litewskiego, Martynasem Mažvydasem, który w 1547 r. w tzw. Małej Litwie wydał pierwszą książkę w języku litewskim – słynny *Katechizm*.

Właśnie *Katechizm* Martynasa Mažvydasa zawiera pierwszy po litewsku napisany wiersz, elementarz, śpiewnik z nutami i nawet uwagi, odnoszące się do krytyki przekładu. Autor liczy na łagodną, rzeczową, niezbyt surową ocenę i przestrzega czytelnika mniej więcej tymi słowami:

Miły bracie, czytając to pojmieš  
Źe to właśnie twój język przemawia  
Więc jeśli znajdziesz jakieś błędzenia  
Popraw bez żadnej zawiści.

(tłum. B. J.)

Obok M. Mažvydasa warto także wspomnieć takie znane postacie piśmiennictwa litewskiego, jak Jonas Bretkūnas z jego sławną *Postyllą* i tłumaczeniem Pisma Świętego, Danielius Kleinas, który napisał pierwszą litewską gramatykę, Gotfrid Ostermejer i Kristijonas Milkus. Wszyscy oni trudzili się przekładami tekstów o treści religijnej. Natomiast pierw-

szego przekładu na język litewski literatury pięknej dokonał w 1706 r. Jonas Šulcas (ok. 1684-1710). Młody duchowny przetłumaczył antyczne *Bajki Ezopa* (nie z oryginału greckiego z 330 r. p.n.e., lecz ze zbioru łacińskiego, pochodzącego z XVII w.) i wydał je w Małej Litwie pod niemiecko-łacińskim tytułem *Die Fabuln Aesopi*. W cienkiej książeczce umieścił dziesięć bajek, a w przedmowie twierdził, że stara się, aby słowo litewskie było poprawne, prawdziwe, zrozumiałe dla każdego, nawet prostego czytelnika.

Zabiegając o to, Jonas Šulcas brał udział w długiej trwającej dyskusji filologicznej, jaka wywiązała się po ukazaniu się w 1701 r. Nowego Testamentu w języku litewskim. Okazało się, że język Pisma Świętego był mało zrozumiały dla narodu litewskiego, w związku z czym uczestnicy dyskusji zaczęli więcej uwagi zwracać na język ludowy, zbierać pieśni, opowiadania, frazeologizmy ludowe, sami uczyli się folkloru i zachęcali innych. Uważali, że w tekstach religijnych powinno być jak najmniej słów obcych, a styl rozumiały dla każdego, nie tylko przedstawiciele duchowieństwa.

Podobne starania w dziedzinie przekładu trwały już ponad trzysta lat i wygląda na to, że przez ten czas niewiele się zmieniło. Problemy dobrego przekładu pozostają nierozstrzygnięte i tak samo żywo dyskutowane i omawiane dzisiaj. Każdy język jest żywym procesem, ulega różnym wpływom i ciągle się zmienia. Dlatego tłumacze muszą podążać w ślad za rozwojem swojego języka, jak również tego, z którego tłumaczą. Zmienia się tylko pogląd na to, co mamy tłumaczyć. W wyżej omawianym okresie było zapotrzebowanie głównie na teksty religijne. A na co zwracano uwagę w czasach późniejszych? Jakie dzieła literatury polskiej tłumaczono na język litewski?

Już na przełomie XIX i XX w. czytelnika litewskiego interesowały przede wszystkim te zjawiska literatury polskiej, które w jakiejś mierze były związane z Litwą, opiewały jej przeszłość, przyrodę, budziły uczucia patriotyczne. W utworach takich autorów jak Adam Mickiewicz, Juliusz Słowacki, Józef Ignacy Kraszewski, Władysław Syrokomla, Wincenty Pol, Henryk Sienkiewicz, Maria Rodziewiczówna odnajdywano wyraz litewskich dążeń narodowych. Szczególnego zainteresowania doczekała się trylogia epiczna, najobszerniejszy poemat J. I. Kraszewskiego *Anafielas* (1840-1845), a zwłaszcza pierwsza jego część *Witolorauda* (*Vitolio rauda*).

Fragment *Witoloraudy* przetłumaczyła Karolina Praniauskaitė (1858), natomiast całość – Andrius Vištelis (1881-1882), później – Faustas Kirša, Povilas Gaučys. Polacy prędko zapomnieli o tym dziele, natomiast wśród Litwinów było ono bardzo popularne i powszechnie czytane. W 1883 r. w litewskim czasopiśmie „Aušra” (Nr 1) Jurgis Mikšys (1862-1903) wydrukował obszerną recenzję tłumaczenia A. Vištelisa. Porównując poemat do *Iliady*, *Odysei*, *Eneidy* i nawet Biblii pisał: „Życzeniem byłoby, aby każdy swojego rodzaju piękną mowę kochający Litwin *Witoloraudę* nabył, (...) aby ona po całej Litwie rozpowszechniała się i wszyscy ją znali; (...) żeby tym, którzy są niezdecydowani co do używania języka litewskiego, dodała więcej odwagi, że to on jest ich językiem rodzimym, żeby w ostygniętych sercach dzieci Litwy zapłonęła miłość do naszej sławnej przeszłości”.

Współczesny poeta Ludvikas Jakimavičius w recenzji litewskiego przekładu *Doliny Issy* Czesława Miłosza pisze: „Ze szczególnym zainteresowaniem i wrażliwością czytamy wszystko, co chociażby przynajmniej w pół słowa mówi o nas, poczynając od czasów Tacyta do dnia dzisiejszego. Jak przez lupę przyglądamy się temu, jak nas inni widzą, jak oceniają. Porównujemy te opinie z naszym wyobrażeniem siebie. Często w taki sposób czytając te teksty, nie potrafimy dotrzeć do ich sedna, jedynie wyjaśniamy swoje kompleksy, chcemy, żeby osoba postronna widziała nas takimi, jakim jesteśmy w naszym przekonaniu”.

Percepcja literatury polskiej na Litwie, w tym też przekładów, po dziewięćdziesięciu latach wygląda podobnie. Poczynając od 1990 r., czyli od momentu odzyskania przez Litwę niepodległości, kiedy na nowo stały się aktualne pytania o tożsamość narodową, zaczęły się pojawiać nowe wydania wymienionych wyżej autorów. W 1998 r. Adam Mickiewicz, mimo ciągłej obecności, w dwusetną rocznicę urodzin powrócił w postaci wielu książek, jednak w większości były to kolejne wydania poszczególnych utworów. Nie podjęto prób nowych przekładów na język litewski. Rok później obchodzono jubileusz Juliusza Słowackiego. Ten poeta mógłby być na Litwie, jak i w Polsce tak samo popularny jak Mickiewicz, ale z jakichś dziwnych względów nawet w jubileuszowym roku został niezauważony i w ciągu ostatnich kilkunastu lat nie ukazały się żadne nowe tłumaczenia. Winna jest temu prawdopodobnie pewna nieprzekładalność jego dzieł i trudności w odbiorze.

Przyznanie w 1996 r. Literackiej Nagrody Nobla Wisławie Szymborskiej zagwarantowało jej odpowiednie miejsce wśród nazwisk, po które chętnie sięga czytelnik litewski. Najpierw ukazało się sporo artykułów w prasie, po dwóch latach – dwujęzyczny wybór wierszy, a w 2007 r. *Lektury nadobowiązkowe* (1992). Podobnie było z dramatem Karola Wojtyły *Przed sklepem jubitera*, który ukazał się z okazji wizyty papieża na Litwie w 1993 r.

Ponadto we współczesnej percepcji literatury polskiej można zaobserwować charakterystyczne zjawisko, które profesor Algis Kalėda, wybitny znawca literatur polskiej i litewskiej oraz tłumacz, określa jako częściowe odzyskiwanie pewnych wartości narodowych. Dotyczy ono pisarzy polskich pochodzących z Litwy, np. Czesława Miłosza czy Tadeusza Konwickiego. I to jest naturalne. Chociaż ostatnio spośród dzieł T. Konwickiego przełożono jedynie *Małą apokalipsę*. Ten autor nie funkcjonuje w litewskiej świadomości na równi z Miłoszem. Z drugiej strony dotychczas nie przełożono na język litewski powieści Józefa Mackiewicza, Sergiusza Piaseckiego, Zbigniewa Żakiewicza itd. Jest to więc wybór bardzo swoisty.

Dr Teresa Dalecka, wykładowczyni na polonistyce Uniwersytetu Wileńskiego, twierdzi: „Miłosz jest też autorytetem, jeżeli chodzi o prezentację literatury polskiej na łamach litewskich pism literackich i kulturalnych. Fragmenty jego *Historii literatury polskiej* niejednokrotnie posłużyły do prezentacji poszczególnych polskich pisarzy. Czy nie jest to swego rodzaju rezygnacja z własnego spojrzenia, własnego osądu literatury sąsiedniego kraju?”

Na to pytanie Pani doktor ośmielił się odpowiedzieć negatywnie. Na pewno nie jest to rezygnacja. Do lat 80. XX w. Cz. Miłosz nic nie mógł zasugerować ani czytelnikowi polskiemu, ani litewskiemu. Wówczas większość przekładów stanowiła literatura popularna, utwory Joanny Chmielewskiej, Heleny Mniszek i Tadeusza Dołęgi-Mostowicza (jego powieści ukazały się w nakładzie 100 000 egz., poza tym były to kolejne wydania tłumaczeń na język litewski z lat 60.), największym zainteresowaniem cieszyły się teksty poświęcone tematyce litewskiej. Można więc zaryzykować ogólne stwierdzenie, że literatura polska interesowała litewskiego czytelnika przede wszystkim na tyle, na ile poruszała bliskie mu problemy. W literaturze polskiej poszukiwano punktów styku z litewską kulturą i obyczajowością.

W świetle powyższego stwierdzenia zrozumiałe staje się wydanie po litewsku takich utworów jak *Chłopi* Władysława Reymonta (3 wydania), *Kamień na kamieniu* Wiesława Myśliwskiego, *Noce i dnie* Marii Dąbrowskiej.

Współcześni pisarze, literaturoznawcy, a ostatnio i wydawcy Litwy, literaturę polską śledzą od lat i dyskusje na jej temat pojawiają się dosyć często na łamach litewskiej prasy. Zresztą sama autorka niniejszego tekstu od wielu już lat zapoznaje czytelnika litewskiego poprzez przekłady nie tylko z poezją i prozą polską, ale również z artykułami znanych polskich krytyków i literaturoznawców (Leszka Buhajskiego, Jakuba Winiarskiego, Marii Janion i innych), informującymi o bieżących wydarzeniach w literaturze polskiej ostatniego dwudziestolecia. Niemałe grono pisarzy litewskich zna język polski (np. Tomas Venclova, Kornelijus Platelis, Eugenijus Ališanka, Birutė Jonuškaitė, Vytautas Dekšnys, Jonas Jakštas), czyta polskie czasopisma literackie, obcuje z polskimi twórcami i dlatego ciągle na łamach prasy litewskiej pojawiają się nowe nazwiska polskich autorów. Litewskie czasopisma literackie i kulturalne obok refleksji krytycznoliterackiej, zamieszczają fragmenty nowych przekładów. Prezentacja polskich autorów jest w nich dość szeroka, z tym że większość stanowią oczywiście poeci: Andrzej Bursa, Urszula Kozioł, Artur Międzyrzecki, Jan Polkowski, Piotr Sommer, Marcin Świetlicki, Darek Sośnicki, Tadeusz Różewicz i inni. Spośród prozaików przetłumaczono niektóre utwory takich twórców jak Paweł Huelle, Jarosław Iwaszkiewicz, Wojciech Kuczok, Stanisław Ignacy Witkiewicz, Magdalena Tulli. Prezentowane przekłady fragmentów stanowią refleksję nad różnymi problemami współczesności. Są wkładem w dyskusję o dzisiejszej literaturze europejskiej i światowej.

W ciągu ostatnich kilkunastu lat znacznie wzrosło zainteresowanie Witoldem Gombrowiczem (wydano *Dzienniki*, *Ferdynand*), Stanisławem Lemem, Zbigniewem Herbertem (wybór jego wierszy pt. *Nike, która się waha* ukazał się po litewsku w 2001), Brunonem Schulzem (wydano *Sklepy cynamonowe*). Wydawcy litewscy uważnie śledzą rynek książki polskiej i od razu „kupują” nowe bestsellery polskie, zamawiają tłumaczenia i wydają je po litewsku. Szczególną uwagę, oczywiście, cieszą się laureaci Nike albo zdobywcy nagrody Nike czytelników.

A więc oprócz takich postaci jak Cz. Miłosz (Nike za *Pieska przydrożnego* w 1998), T. Różewicz (*Matka odchodzi*, 2000) zostały wydane w języku litewskim książki J. Pilcha (*Inne rozkosze i Pod mocnym aniołem*, 2001), W. Kuczoka (*Gnój*, 2004), D. Maślowskiej (*Wojna polsko-ruska pod flagą biało-czerwoną*, 2006), A. Stasiuka (*Jadąc do Babadag*, 2005), W. Myśliwskiego (*Traktat o łuskaniu fasoli*, 2007), O. Tokarczuk (*Prawiek i inne czasy*, 1997 i *Bieguni*, 2008), a także książki nienominowane, ale nie mniej ciekawe: Andrzeja Sapkowskiego (*Miecz przeznaczenia*), Andrzeja Zaniewskiego (*Szczur*), Antoniego Libery (*Madame*), Doroty Terakowskiej (*Córka czarownic, Ono, Tam gdzie spadają anioły*) i inne. Ponieważ utwory tych autorów są popularne w literaturze polskiej, więc ich wydanie w języku litewskim podyktowane było oczywiście także względami komercyjnymi, ale chyba nie tylko. Jednakże nie ze względów komercyjnych po odzyskaniu niepodległości zwiększyło się zainteresowanie literaturą o tematyce historycznej. Wśród przekładów z języka polskiego pojawiają się powieści o tematyce historycznej i to zarówno dotyczące okresu wspólnej historii polsko-litewskiej, jak też innych okresów. Stąd wśród prezentowanych po litewsku autorów polskich znalazły się tak różne nazwiska jak: Halina Auderska, Leo Belmont, Józef Ignacy Kraszewski, Zofia Kossak, Teodor Jeske-Choiński, Antoni Marczyński, Adam Czekalski.

Dlaczego tak się dzieje? Przekłady literatury polskiej dokonane przez wspomnianych pisarzy litewskich są obliczone na czytelnika wykształconego, stąd wybór autorów i trudniejszych tekstów, należących do literatury z tzw. górnej półki. Natomiast wydawcę interesuje głównie odbiorca masowy, więc zatrudnia on często tłumaczy, dla których nie mają znaczenia ani treść, ani walory artystyczne utworu i wydaje np. Katarzynę Grocholę. Jak zauważa pani dr Teresa Dalecka, wydawnictwa w Kownie są nastawione na bardziej masowego odbiorcę, podczas gdy w Wilnie wydaje się książki dla czytelnika z większymi wymaganiami.

Autorzy przekładów literatury polskiej prezentują interesy raczej kultury litewskiej niż polskiej. Wynika to nie z chęci zapełnienia luk kulturowych, lecz chodzi o wzbogacenie pewnych kręgów tematycznych własnej literatury. Wydawcom przyświeca idea przekazania w języku ojczystym tego, co w kulturze obcej uważają dla siebie za najbardziej ciekawe. Wybiera się teksty do przekładu nie dlatego, że są reprezentatywne dla kultury, z której się wywodzą, lecz dlatego że ich przekład może wejść w twórczy dialog z literaturą rodzimą, proponując jej nowe wzorce, nowe języki, nowe kryteria. Miejmy nadzieję, że i w przyszłości nie tylko prawa rynku będą decydowały o doborze autorów polskich do tłumaczenia na język litewski.





# Percepcja literatury polskiej w krytyce literackiej na Słowacji

Twórczość literacka posiada charakterystyczną, a poprzez nieograniczone związki międzykulturowe również poznawczą i ideową zdolność oddziaływania na otoczenie. Ciągły proces przenikania, wymiany i konkretyzacji form oraz trendów literackich w świecie kształtuje i ubogaca, konfrontuje i ocenia każdy proces tworzenia poszczególnych dzieł w danym kraju. Konkretyzuje także stosunek krytyki literackiej do powstałych utworów literackich.

Tak więc na recepcję literatury polskiej na Słowacji wpływała i wpływa przede wszystkim jej wartość, oczekiwania i odbiór czytelniczy oraz związek z innymi dziedzinami życia społecznego m.in. ekonomicznymi, politycznymi itd. W dużej mierze to właśnie społeczne uwarunkowania procesu twórczego, warunki powstawania i rozpowszechniania pozycji książkowej, jak również konwencje literackie (normy, tradycje) wywierają wpływ na komunikację literacką. Nie jest ona niczym innym jak relacją, która zachodzi za pośrednictwem utworu pomiędzy autorem a odbiorcą, rozumianym w szerokim aspekcie tego słowa. Nie mniejsze znaczenie ma także pokrewieństwo zainteresowań społeczeństw, dla których przekłada się dzieło, a zwłaszcza sąsiadujących ze sobą, w tym przypadku Polski i Słowacji. Materiałów do badań literackich związanych z popularnością dzieła bądź jej brakiem dostarczają mniej lub bardziej subiektywne odniesienia badaczy i krytyków literatury. To oni bowiem kształtują standardy, kompetencje oraz obieg i upowszechnianie dzieła, a tym samym określają jego oddziaływanie na życie społeczne danego kraju.

W początkowych fazach rozwoju literatury i kultury słowackiej bodźcem inspirującym był zapewne związek z literaturą i kulturą polską. Ten związek wywierał wpływ na historię i poziom ruchu społeczno-kulturalnego na Słowacji, kształtował

w twórcach pewne konkretne priorytety i dążenia. Wymieniając pionierów słowackiej literatury, nie sposób nie wspomnieć o takich nazwiskach jak: Pavol Jozef Šafárik, Ján Kollár, Ján Hollý oraz całej plejadzie szturowców i pisarzy Nowej Szkoły Słowackiej, do których należeli: Ľudovít Kubáni, Svetozár Hurban, Jozef Škultéty, Pavol Országh Hviezdoslav i inni.

W drugiej połowie XIX w. swoje złote lata na Słowacji przeżywała polska proza, z której inspirację do swojej twórczości czerpali: Janko Matúška, Ján Kalinčák, Ľudovít Kubáni. Z chwilą zmiany zainteresowań z polskiej prozy na poezję polską zaczęła rozwijać się działalność translatorska. Pavol Országh Hviezdoslav tłumaczył lirykę Mickiewicza, Słowackiego i Norwida, która stanowiła bodziec dla słowackich twórców poezji – od Lukáča, Beniaka czy Smreka po Katolicką Modernę – którzy czerpali z niej wzorce i tematy.

Niepodległość Polski i Czechosłowacji spowodowała zasadniczą zmianę w sytuacji kulturalnej i literackiej na Słowacji. Pomimo tego iż przed twórcami słowackimi otwierały się ogromne możliwości, nie mogli sobie pozwolić na ich nawet częściowe wykorzystanie. Stało się tak z uwagi na nieuporządkowaną sytuację polityczną, ekonomiczną i oświatową w kraju. Z ich powodu literatura słowacka mocno ucierpiała. Twórcy zaczęli poszukiwać nowych, nieznanych dotąd form przekazu, dotarcia do społeczeństwa, zaczęli budować nowe kontakty literackie w krajach, które były im bliskie i osiągalne w miarę w prosty i szybki sposób. Za głosem Andreja Hlinki, który opowiadał się jednoznacznie za wzorcami czerpanymi z Polski, a nie z Czech, poszli jego następcy: Pavol Čarnogurský, Karol Sidor. Nie byli jedynymi i dlatego bardziej osobiste kontakty słowacko-polskie przyczyniły się do ochłodzenia sto-

sunków czechosłowacko-polskich, a zacieśnienia tych pierwszych zwłaszcza w okresie międzywojennym. Po 1948 r. determinacja słowackich tłumaczy i publicystów sprawiła, że wszyscy związani z działalnością literacką i budowaniem stosunków międzyliterackich skoncentrowali się na ówczesnych wartościach literatury polskiej. Jakkolwiek główną rolę w literaturze polskiej odgrywały wówczas ideologia i realizm socjalistyczny, to jednak na słowacką literaturę powojenną niewątpliwie oddziaływały utwory zaliczane do najbardziej wartościowych w Polsce, a więc takie, które daleko i odważnie wykraczały poza wąski, ideologiczny temat bądź zupełnie go omijały. Ich przedstawicielami byli m.in.: Jarosław Iwaszkiewicz, Tadeusz Różewicz, Maria Kuncewiczowa, Bolesław Prus, Jerzy Andrzejewski, Henryk Sienkiewicz, Eliza Orzeszkowa czy Stefan Żeromski. To ich utwory tłumaczyli i propagowali na Słowacji tacy literaci jak: Andrej Žarnov, Karol Strmeň i Marián Žiar.

II wojna światowa nie spowodowała spowolnienia aktywnej współpracy pomiędzy Polską a Słowacją ani na płaszczyźnie życia społecznego i politycznego, ani tym bardziej we współpracy literackiej. W dalszym ciągu w formach książkowych lub fragmentarycznie w czasopiśmie ukazywały się przekłady polskich książek, artykuły o nowościach wydawniczych, recenzje i opinie badaczy literackich. Miesięcznik „Verbum”, który powstał i regularnie ukazywał się w Koszycach w l. 1946–1948, a publikował tłumaczenia polskiej literatury od klasyków po współczesnych. Tak więc funkcja i miejsce literatury polskiej w słowackim środowisku literackim były na tyle silne, że słowacki badacz i krytyk literacki J. Kútnik-Šmálov recenzował i tłumaczył niemalże sto procent polskiej prozy na swój ojczysty język. Kontynuatorem jego starań był J. Bányky, który w ciągu zaledwie trzech lat opublikował ponad 30 prac o polskiej literaturze i jej przedstawicielach w formie recenzji, esejów, szkiców literackich i artykułów. Miał na względzie głównie inspirację, znaczenie i możliwości związane z koncepcjami i metodyką w pracach literackich. Wykazał się autentyczną znajomością literatury polskiej i jej miejsca w hierarchii wartości na terenie swojego kraju. Represje, jakie po 1948 r. spotykały wielu, nie ominęły również i jego. Poświęcił się wówczas bez reszty opracowaniom i tłumaczeniom literatury polskiej. Tak było do 1955 r., kiedy to Bányky otrzymał nową szansę i postanowił ją wykorzystać. Z uwagi na setną rocznicę śmierci Adama Mickie-

wicza rok 1955 został ogłoszony Rokiem Mickiewicza na Słowacji. J. Bányky wniósł w te obchody największy wkład. Wydał wiele cennych prac, monografii i bibliografii o głównym przedstawicielu polskiego romantyzmu, a uwieńczeniem jego starań było przybliżenie Słowakom utworu *Ballady i romanse* pióra polskiego wieszczki narodowej. Rok Mickiewiczowski spowodował drugi, bardzo pozytywny przełom w polonistyce na Słowacji, gdyż w 1957 r. w Bratysławie powołano do życia pierwsze studium języka polskiego i literatury.

Już na początku lat 60. w Słowackiej Akademii Nauk rozpoczęto prowadzenie badań nad historycznoliterackimi związkami pomiędzy Polską i Słowacją. Bazę faktograficzną kompletowano przy współpracy polonistów i slawistów polskich, takich jak: Maria Bobrownicka, Marian Szyjkowski, Julian Krzyżanowski oraz czeskich: Milan Kudělka, Otakar Bartoš i Karel Krejčí. Pierwsze rezultaty dotyczące metodologii pojawiły się już w 1966 r. w wielu pracach zbiorowych. Jedną z nich była praca zatytułowana *Vztáhy slovenskej a poľskej literatúry od klasicizmu po súčasnosť* (*Stosunki literatury słowackiej i polskiej od klasycyzmu po współczesność*), która została opublikowana w „Slavii” i kolejno w czasopiśmie: „Slovenská literatúra”, „Slovenské pohľady”, „Romboid” na Słowacji oraz „Prace polonistyczne”, „Slavia Occidentalis”, „Zagadnienia Rodzajów Literackich” w Polsce. Rok później zakończyły się prace mające na celu stworzenie metodologii i komparatyki typologicznej. Model tej ostatniej opracował Dionýz Ďurišin, który do badań i interpretacji związków literackich sukcesywnie wykorzystywała polonistka na Słowacji. Niestety samo porównanie nie wystarczało. Stworzenie typów wyrazu literackiego lub jednostki było dla Ďurišina barierą nie do pokonania. W sukces przyszli mu polscy teoretycy genologii. Opracowali rodzaje i gatunki literackie przyjęte jako typy wyrazu literackiego. W taki sposób powstał twór symbiotyczny modelu teoretycznego Ďurišina z genologią porównawczą Polaków ubogacony o wersologię porównawczą (Viktor Kochol, František Štraus), stylistykę konfrontatywną (Ján Sabol, František Miko), teorię metatekstu i komunikacji literackiej (Peter Liba i Anton Popovič) oraz teorię przekładu i recepcji literackiej jako częściowych poddyscyplin komparatystycznych (Anton Popovič, Ján Koška, Peter Liba). Tym samym słowaccy translatorzy dostali do ręki odpowiednie narzędzia i zaczęli

je w należyty sposób wykorzystywać w swoich pracach przekładowych. Należy tu podkreślić, iż (oprócz wymienionych powyżej) do uznanych tłumaczy literatury polskiej na Słowacji należą również: Jozef Marušiak, Vlastimil Kovalčík, Peter Milčák i Karol Chmel, którzy w znamienny sposób przyczynili się do wypromowania literatury polskiej w swoim kraju.

Błędnym byłoby w tej chwili stwierdzenie, że obecnie współczesna literatura polska nie jest na Słowacji przekładana. Można jednak konstatować, że w porównaniu z przeszłością nastąpiła stagnacja. Publikuje się bowiem nieco mniej polskich książek w przekładzie na język słowacki niż miało to miejsce do 1989 r., a więc jest jej stanowczo za mało. Taka sytuacja nie jest uwarunkowana bynajmniej brakiem

zainteresowania słowackich translatorów bądź czytelników nowymi polskimi dziełami na wewnętrznym rynku księgarskim, ale uzależnieniem od warunków ekonomicznych, z którymi borykają się słowackie wydawnictwa. Chociaż z polskiej literatury na język słowacki zostały przetłumaczone dzieła takich znakomitych polskich autorów jak: Z. Herbert, W. Szymborska, Cz. Miłosz, T. Różewicz, T. Konwicki, W. Mysłiwski, Z. Domino itd., to jednak brakuje tytułów i nazwisk „ukrytych” polskich autorów, którzy w swojej twórczości prezentują wysoki literacki kunszt, a co za tym idzie, osiągają europejski poziom. Uzupełnienie tych braków stanowi wyzwanie dla słowackich translatorów dzisiaj i na przyszłość.

Andrii Bondar

## Polacy po ukraińsku. Co już jest i co tłumaczyć?

Nie przesadzę i nie pomylę się, iż tekstów literatury polskiej wystarczy chyba na kilka pokoleń ukraińskich tłumaczy. Ciekawie jednak, co stanowi dla aktualnej ukraińskiej kultury największe zainteresowanie, co jest potrzebne, co przemawia i odpowiada na ważne pytania? Czyli, co **trzeba** tłumaczyć tutaj i teraz, a nie to, co jeszcze poczeka na następne pokolenia.

Pierwsza kategoria tekstów zdaje się dla mnie oczywistą. Jest to współczesna literatura polska, która na Ukrainie zaistniała i czuje się chyba niezłe, choć zawsze się wydaje, że sytuacja może być lepsza od obecnej. Przede wszystkim opublikowane zostały utwory pisarzy i pisarek „pierwszego rzędu”. Pojawili

się prawie cały prozatorski dorobek Olgi Tokarczuk i Manuei Gretkowskiej, których teksty cieszą się stałym powodzeniem nielicznych smakoszy literatury pięknej. Są już przekłady powieści autobiograficznej Janusza Głowackiego *Z Głowy*, powieści *Dziewięć i Jadąc do Babadaq* Andrzeja Stasiuka, *Wojny polsko-ruskiej pod flagą biało-czerwoną* Doroty Masłowskiej, *Lubiewa* Michała Witkowskiego (przekładu którego dokonałem dwa lata temu), powieści *Tartak* Daniela Odiji, *Osiem cztery* Mirosława Nahacza, *Gnój* Wojciecha Kuczoka, *Pogoda dla wszystkich* Marka Ławrynowicza. Rzecz jasna, nie jest tych autorów za dużo. Muszę jednak powiedzieć, że jest ich najwięcej w porównaniu

z literaturą innych krajów Europy środkowo-wschodniej

Jest to lista, która z czasem będzie poszerzona, mam nadzieję, o nowe utwory i nowe nazwiska. Przede wszystkim kiedy chodzi o tak interesujące imiona prozaików polskich jak Maciej Malicki, Hubert Klimko-Dobrzaniecki, Ignacy Karłowicz, Włodzimierz Łoziński, Adam Wiedeman, Radosław Kobierski, Tomasz Piątek, Mariusz Grzebalski, Krzysztof Varga, Adam Pluszka i mnóstwo innych.

Gorzej sprawa wygląda z poezją, ale z poezją zawsze i wszędzie jest gorzej niż z prozą. Jest to rzecz obiektywna. Ponieważ poezja wymaga stuprocentowych dotacji i nie cieszy się powodzeniem pod względem komercyjnym.

Dwa lata temu ukazał się obszerny tom poezji Bohdana Zadury *Poeta rozmawia z narodem* w przekładach Dmytra Pawłyczki, Mykoły Riabczuka i moich. Szykuje się wydanie tomu poezji Marcina Świetlickiego. Od dziesięciu lat istnieją również książki Wisławy Szymborskiej, Tadeusza Różewicza, Andrzeja Bursy i Zbigniewa Herberta, chociaż niestety zawartość i jakość większości tych tłumaczeń niestety nie jest wystarczająca. Jest też książka Janusza Szubera w przekładzie Wasyla Machny. W zeszłym roku ukazał się również wybór wierszy Czesława Miłosza w przekładzie Nataliki Bilocerkiweć i innych. Klasyk poezji ukraińskiej Dmytro Pawłyczko wydał kilka lat temu grubą antologię poezji polskiej od Jana Kochanowskiego do Darka Foksa.

Z drugiej zaś strony poezja polska cieszy się stałym zainteresowaniem pisma internetowego „Potiah 76” („Pociąg 76”), poświęconego literaturze Europy środkowo-wschodniej. Został wydany również trzy lata temu numer specjalny „Pociąg do Polski”, w którym były nadrukowane przekłady poezji Bohdana Zadury, Ryszarda Krynickiego, Krzysztofa Jaworskiego, Darka Foksa, Mariusza Grzebalskiego, Dariusza Sośnickiego i Edwarda Pasewicza. Oczywiście, musimy dążyć do ideału i starać się o wydanie osobnych tomów. Myślę

jednak, iż jest to dość dobra szansa dla zapoznania ze współczesną poezją polską. Warto powiedzieć też, że prawie w każdym numerze tego pisma publikują się nowe tłumaczenia polskiej poezji i prozy, między innymi Jerzego Pilcha, Tomasza Różycykiego, Józefa Hena, Marka Hłaski, Leszka Engelkinga, Czesława Miłosza i wielu innych.

Drugą kategorię tekstów polskiej literatury, którą należy przetłumaczyć na język ukraiński, jest klasyka XX w. Tutaj mamy bardzo dużo do zrobienia. Jest to bowiem przestrzeń tekstów obszerna i niezapełniona tłumaczami ukraińskimi nawet w 20 procentach. Łatwiej powiedzieć, co mamy w przekładzie, niż co jeszcze należy przetłumaczyć.

Co już mamy? Witold Gombrowicz (*Dzienniki, Ferdynand, Pornografia*), wybór opowiadań Jarosława Iwaszkiewicza, Marka Hłaski, *Sanatorium pod klepsydrą* i *Sklepy cynamonowe* Brunona Schulza, eseje Czesława Miłosza (*Piesek przydrożny, Rodzina Europa, Abecadło*), *Szkice piórkem* Andrzeja Bobkowskiego, *Imperium* Ryszarda Kapuścińskiego...

Czego nie mamy? *Malowanego ptaka* Jerzego Kosińskiego, *Innego świata* Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, *Miazgi* Jerzego Andrzejewskiego, *Trans-Atlantyku, Opętanych* i *Kosmosu* Gombrowicza, obszernego wyboru dramatów Tadeusza Różewicza i Sławomira Mrożka, utworów krytycznych i literackich Karola Irzykowskiego, *Cesarza, Wojny futbolowej* i *Szachinszacha* Ryszarda Kapuścińskiego, reportaży Hanny Krall, *Na nieludzkiej ziemi* Józefa Czapskiego, prozy i dramatów Witkacego, opowiadań Tadeusza Borowskiego, poezji Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, Rafała Wojaczka, Stanisława Grochowiaka, Mirona Białoszewskiego. Tego wszystkiego nie posiadamy jeszcze w języku ukraińskim. Mam jednak nadzieję, iż to się naprawi. Gorzej niż kiedyś było, już nigdy nie będzie, a wzmiankowane teksty literatury polskiej zostaną przetłumaczone jeszcze za życia mojego pokolenia. Diagnoza jest bowiem pierwszym krokiem do zwalczania choroby.

# Polska literatura w Niemczech

Polska literatura, a w szczególności poezja jest bardzo dobrze reprezentowana w Niemczech. Na istnienie obcej literatury w jakimś kraju składa się wiele czynników. Najważniejsze z nich to tłumaczenia, obecność na rynku wydawniczym, publicystyka na ich temat, krytyka literacka, jak również spotkania autorskie.

Nie tylko cała polska literatura klasyczna jest przetłumaczona na język niemiecki, tłumaczone są również dzieła autorów współczesnych, mniej czy bardziej popularnych. Największą zasługę na tym polu zapisać należy żyjącej legendzie tłumaczy – Karlowi Dedeciusowi.

Karl Dedecius pracował dwadzieścia pięć lat w zakładzie ubezpieczeń społecznych Alianz, poświęcając czas wolny idei rozpowszechnienia literatury polskiej w Niemczech. To właśnie jego genialne tłumaczenia przyczyniły się do tego, że Europa Zachodnia poznała późniejszych laureatów Literackiej Nagrody Nobla: Wisławę Szymborską i Czesława Miłosza. W 1980 r. założył Niemiecki Instytut Polski (das Deutsche Polen-Institut) w Darmstadt; instytucję, która zajmuje się do dzisiaj organizacją niezliczonych imprez kulturalno-literackich, jak również działalnością wydawniczą. Już wtedy wydano tu pięćdziesięciotomową *Bibliotekę polską* (*Polnische Bibliothek*). Zbigniew Herbert i Tadeusz Różewicz mówią o tym tłumaczu jako o „świętym Hieronimie, przedstawionym na obrazie Messyny, jak w swojej celi pełen skupienia pochyla się nad książkami”. W autobiografii Karla Dedeciusa pod tytułem *Ein Europäer aus Lodz* (*Europejczyk z Łodzi*), wydanej w 2006 r. z okazji 85 urodzin autora, można poznać skromnego człowieka, który całe swoje życie poświęcił rozpowszechnianiu kultury i literatury polskiej w Niemczech.

Niemiecki Instytut Polski wydał książkę *Literatura polska i polsko-niemieckie kontakty literackie* w opracowaniu Matthiasa Kneipa i Manfreda Macka, która adresowana jest do nauczycieli języka

niemieckiego w klasach X-XII. Czy można lepiej popularyzować obcą literaturę? Przecież w ten sposób pozyskuje się przyszłych czytelników. Szczególnie podkreślić należy jeszcze jedną zaletę tej książki. Autorzy starają się obalić mit hermetyczności literatury polskiej.

W okresie powojennym wydano ponad 2 000 książek tłumaczonych z języka polskiego na niemiecki.

Karl Dedecius w zachodnich Niemczech i Henryk Bereska we wschodnich, którzy zawsze podkreślają, że znajomość literatury sąsiadów pomaga w likwidowaniu uprzedzeń i stereotypów, są niewątpliwie prekursorami upowszechniania literatury polskiej w Niemczech i wzorami dla młodszych translatorów. Ale na tak ogromną ilość wydanych książek składa się także praca i zaangażowanie mniej znanych tłumaczy. Nie chcę przytaczać tutaj żadnych nazwisk, ponieważ nie chciałbym nikogo pominąć.

Inaczej przedstawia się problem obecności na rynku wydawniczym. Literatura polska, a w szczególności poezja, wydawana jest w małych nakładach. Fakt ten wiąże się nie tylko z jej tzw. polskością, ale ogólnie z percepcją literatury w Niemczech. Tylko w niektórych księgarniach pojawiają się tytuły polskich autorów czy niemiecka literatura klasyczna. Wszystko natomiast można zamówić i w ciągu dwóch dni otrzymać.

Polska poezja w języku niemieckim najlepiej prezentowana jest w innych mediach, przede wszystkim w internecie. Na przeróżnych portalach znaleźć można wszystkich autorów, od Mikołaja Reja i Jana Kochanowskiego począwszy. W trzecich programach radia i telewizji, jak również na kanałach kulturalnych i klasyki często usłyszeć można utwory polskich autorów lub obejrzeć programy o nich i ich dorobku życiowym w kontekście historycznym i społecznym.

Popularyzacja polskiej poezji i prozy następuje również dzięki publikacjom krytycznoliterackim na jej temat. Znaleźć je można niemal we wszystkich czasopiśmie kulturalno-literackich ukazujących się

regionalnie lub na terenie całego kraju. Oprócz wyżej wymienionych osób i instytucji, przez dziesięciolecia najbardziej zasłużył się na tym polu Marcel Reich-Ranicki, nazywany popularnie w Niemczech papieżem literatury.

Urodzony w 1920 r. we Włocławku, dorastał w Berlinie, po wojnie przebywał do 1957 r. w Polsce. Jako krytyk literacki zatrudniony był najpierw w redakcji „Die Zeit”, następnie we „Frankfurter Allgemeinen Zeitung”. Od 1988 prowadził bardzo popularny kwartet literacki (das „Literarische Quartett”), nadawany w drugim programie telewizji (ZDF). Jego kontrowersyjne dyskusje i opinie powodowały, że po audycji wykupywano książki, o których mówiono w programie. Zebrane artykuły na tematy polskie z lat 1958-2001 ukazały się w jego książce pt. *Erst leben, dann spielen*. Sam o sobie powiedział, że ciągle podejmował wysiłki, żeby uprzystępnąć polską literaturę niemieckiemu czytelnikowi. Zdaje sobie jednak sprawę, że z powodów historycznych i politycznych rezonans pozostawał skromny.

Wspominałem znowu o żyjącej legendzie, świadomie pomijając całą masę innych krytyków literackich zajmujących się tematami polskimi. Żeby całą tę tematykę ogarnąć, konieczne jest przeprowadzenie odpowiednich badań naukowych.

Następnym aspektem popularyzacji polskiej literatury w Niemczech są spotkania autorskie. Przed upadkiem komunizmu i otwarciem granic odbywały się one w dwóch istniejących państwach niemieckich. Z wiadomych przyczyn inni autorzy zapraszani byli na zachodnią stronę Łaby, inni na wschodnią. Po 1989 r., a zwłaszcza po wstąpieniu Polski do Unii Europejskiej ilość występujących w Niemczech twórców pomnożyła się wielokrotnie.

Oprócz instytucji ponadregionalnych, takich jak Niemiecki Instytut Polski w Darmstadtzie czy Polski Instytut Kultury (das Polnische Kulturinstitut) w Berlinie, spotkania organizują także instytucje kulturalne we wszystkich miastach stołecznych poszczególnych krajów federalnych. Regionalne biura literackie też nie zapominają o polskich autorach. Tylko Biuro Literackie Zagłębia Ruhry (LiteraturBüro Ruhr) zorganizowało w jednym roku 19 spotkań z polskimi twórcami.

Wymiana kulturalna w ramach partnerstwa polskich i niemieckich miast zawiera w sobie również organizowanie spotkań literackich czy wieczorów poetyckich.

Biorąc pod uwagę mizerną sytuację finansową miast i gmin po połączeniu państw niemieckich, a teraz pogłębioną kryzysem gospodarczym, można uznać, że robi się wiele w kierunku popularyzacji polskiej literatury w Niemczech.

Ale...

Bardzo niesymetryczne są proporcje panujące między percepcją polskiej prozy a poezji. Na niekorzyść tej drugiej. Przyczyna tego stanu rzeczy nie leży w hermetyczności poezji polskiej, ale w niemieckiej tradycji kulturalnej. Często cytowane jest powiedzenie, że „Niemcy są narodem poetów i myślicieli”. Nie da się zaprzeczyć wkładu niemieckiej literatury do światowego dziedzictwa. Nie tylko romantycy niemieccy znani są na całym niemal świecie. Ale... poezja niemiecka, w przeciwieństwie do polskiej, nigdy nie dotarła „pod strzechy”. Od czasów oświecenia zachowała swój elitarny charakter. Na wieczorach poetyckich publiczność nie jest liczna. Jednak ci, którzy przychodzą na spotkania z poetami, albo sami piszą wiersze, albo są znawcami tej sztuki. Marcel Reich-Ranicki powiedział: „...pisanie wierszy należy do najbardziej dokuczliwych chorób Niemców”.



# Danuty Mostwin rozważania o tożsamości przeszczepieńców

Czy dzisiejsze masowe wyjazdy Polaków do krajów Unii Europejskiej traktować należy jako emigrację za pracę i chlebem? Czy sytuacja w kraju rzeczywiście zmusza rzesze Polaków do wyjazdów? Czy w dobie globalizacji i postępującej emigracji to jeszcze emigracja czy po prostu migracja? Wyjeżdżają samotni i całe rodziny, wyjeżdżają matki i ojcowie, zostawiając swoje rodziny, co nierzadko jest destrukcyjne dla rodzin. Wyjeżdżają ludzie o niskich kwalifikacjach zawodowych i specjaliści po ukończonych bezpłatnie wyższych studiach w poszukiwaniu lepszych warunków płacowych, odpowiadających ich ambicjom. Powroty do kraju opisywane przez prasę, stosunkowo rzadkie, nieczęsto łączą się z deklaracjami patriotycznymi, reemigranci mówią raczej o niemożności aklimatyzacji z dala od rodzin i znajomych, czyli ojczyzny na poziomie najściślejszym. Wstydliwie bywa deklarowana urażona duma – praca poniżej kwalifikacji i oczekiwań finansowych. Jaki to wspaniały temat literacki, temat wręcz na nową epopeję! Ile lat przyjdzie nam czekać, aż nowy Mrożek napisze nowych *Emigrantów*, nowy Głowacki – nową *Antygonę w Nowym Jorku*, nowy Gombrowicz – nowy *Trans-Atlantyk*, a nowy Nowakowski – nowy *Obóz Wszystkich Świętych*. W oczekiwaniu na nowe arcydzieło możemy zajrzeć do słabo obecnej w świadomości czytelników twórczości Danuty Mostwin, której oceny i analizy wcale się nie zdezaktualizowały, której pisarstwo nie

zostało należycie docenione jako nieodpowiadające nieoficjalnemu ideowemu wzorcowi i której dokonania naukowe docenione w Stanach Zjednoczonych nie przełożyły się na popularność badaczki w krajowym środowisku uniwersyteckim.

Danutę Mostwin znałam jako pisarkę, rzadki przykład emigrantki politycznej analizującej w prozie środowiska polskich powojennych uchodźców bez niemal obowiązkowego dla tego tematu nostalgiczno-martyrologicznego sentymentalizmu, daleko od wzorcowego dla gatunku *Latarnika* Henryka Sienkiewicza. Szczera, werystyczna – myślałam o jej prozie, głęboka intuicja psychologiczna i socjologiczna – myślałam o autorce. Dopiero monografia profesora Mariana Stępnia, mojego promotora, *Trzecia wartość. O twórczości Danuty Mostwin* pokazała mi złożoność losów i niewiarygodny wprost dorobek kobiety, Polki, emigrantki, rzadkiego przykładu bezdyskusyjnego sukcesu wygnańca na obczyźnie uwarunkowanego jedynie (a może aż) pracowitością, pędem do samodoskonalenia i wykorzystanym darem talentu. Nie o prozie beletrystycznej autorki *Domu starej lady*, *Ja za wodą, ty za wodą...*, *Odchodzą moi synowie*, *Ameryko! Ameryko!*, *Cienia księdza Piotra* traktować będzie mój dzisiejszy tekst, ale o owej trzeciej wartości, czyli tożsamości wykorzenionych, teorii wypracowanej długoletnimi obserwacjami profesor Danuty Mostwin. Choć mam nadzieję, że lubuscy czytelnicy dadzą się namówić na

sięgnięcie do zakazanej przez wiele lat w kraju twórczości.

Kiedy Danuta Mostwin w grudniu 1945 r. opuszczała Polskę, uciekając przed spodziewanymi represjami razem z mężem – cichociemnym Stanisławem Baskiem Mostwinem, kawalerem *Virtuti Militari*, dwukrotnie odznaczonym Krzyżem Walecznych (za kampanię wrześniową i Tobruk) i matką zaangażowaną w pomoc kurierom Rządu Polskiego w Londynie – jechała na spotkanie z ojcem, niewidzianym od kampanii wrześniowej. Dwie kobiety, żołnierki Armii Krajowej, rozpoczynały nowe życie – dramatyczne życie przeszczepieńca, jak o sobie i o emigrantach zwykła mówić pisarka. Choć w Anglii ukończyła studia medyczne, to jednak doświadczenia emigracyjne sprawiły, że bardziej zainteresowały ją problemy psychologii społecznej i socjologii. Niezyciwiw Polakom Wielką Brytanię opuścili w 1951 r. całą rodziną, udając się do USA, tam Danuta ukończyła kolejne studia dające prawo prowadzenia terapii psychospołecznej i została *social worker*, by na Columbia University zrobić doktorat u prof. Margaret Mead z problemów adaptacji emigrantów. Emigrantka chciała zając się jej podobnymi, którzy jednak swojej szansy na nowe życie nie wykorzystali albo po prostu jej nie mieli. Dlaczego taki temat? Bo, jak mówiła, jej polska tożsamość, wewnętrzne poczucie nie dość dobrze wypełnionego obowiązku i winy pchało ją do realizacji rzeczy niemożliwej – opisu losów polskich rodzin po drugiej wojnie światowej w Stanach Zjednoczonych. Dalszą karierę naukowo-dydaktyczną profesor Mostwin łączyła z kierowaniem prestiżowymi oddziałami szpitalnymi (np. kliniką uniwersytecką zdrowia psychicznego rodziny John Hopkins Hospital w Baltimore) i pracą społeczną na rzecz Polaków i Polonii, twórczością literacką i życiem rodzinnym.

*Trzecia wartość. Wykorzenie i tożsamość* ukazała się niemal piętnaście lat temu i w Polsce, znana jest jednak dość wąskiemu gronu czytelników. Powstała jako efekt zainteresowania autorki głęboko zróżnicowaną i często skłóconą polską emigracją w Stanach Zjednoczonych. Opuszczenie kraju jest aktem wyrwania i przeszczepienia w nowy klimat społeczny i choć owo przepołowienie życia się zablźnia, to jednak ślad pozostaje na całe życie, ten ślad jest także konstytutywny dla całej późniejszej egzystencji. Udziałem każdego emigranta jest konfrontacja, czasem wyjątkowo gwałtowna, dziedzictwa moralnego

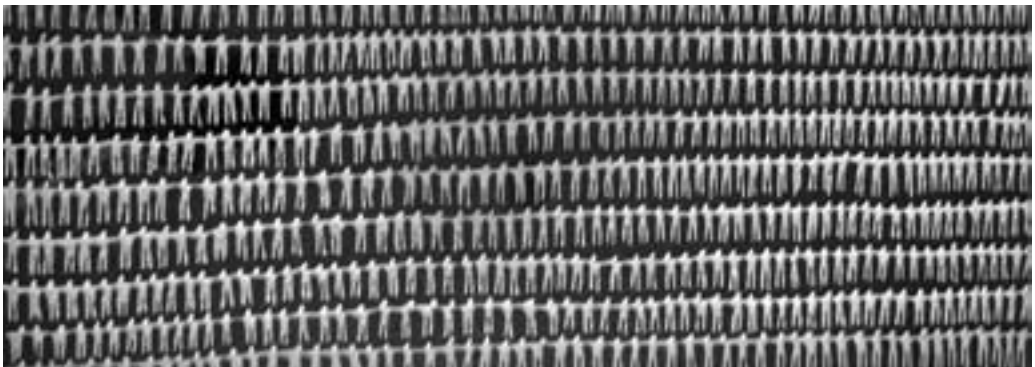
i kulturowego z obowiązującym w nowej ojczyźnie, która ojczyzną nie jest, jest po prostu nowym krajem, do którego z biegiem czasu emigrant się przywiązuje i uważa za swój. Bezdomność emigranta jest nie tylko formalna, jest także mentalna, nowy dom trzeba odbudować od podstaw, pozostaje pytanie, na jakich fundamentach? Około 150 tysięcy Polaków trafiło na amerykańską ziemię po drugiej wojnie światowej; była to kolejna wielka fala emigracji po zarobkowej z przełomu wieków, porozumienie obu grup było bardzo trudne. W latach sześćdziesiątych do USA znów trafiła duża grupa emigracji ekonomicznej, na kolejną falę emigracji politycznej, ideowej – emigrację solidarnościową trzeba było poczekać kolejnych kilka dekad. Każda kolejna fala emigracji trafiała, pomijając zmienną sytuację polityczną, także na odmienne nastawienie administracji amerykańskiej do problemu adaptacji emigrantów. Po drugiej wojnie światowej stało się jasne, że koncepcja Ameryki jako wielkiego tygła kulturowego (*melting pot*) musi ustąpić kulturowemu pluralizmowi. Ankietowani przez Danutę Mostwin emigranci często nie potrafili się określić jako tylko Polacy lub tylko Amerykanie, woleli określać się jako jednocześnie Polacy i Amerykanie, zespalać w jedno dwie, jakże odmienne tożsamości. Dzisiejsi emigranci, dyskutując na forach internetowych, podkreślają, że są Polakami i jednocześnie Europejczykami, podkreślają brak granic i wolność wyboru miejsca zamieszkania (komfort, czystość, lepsza urbanistyka) i pracy (brak lobbingu, lepsze perspektywy awansu, wyższe płace). Emigranci powojenni i dzisiejsi wykształcili się w Polsce, tu zostali ukształtowani kulturowo i muszą z tym dziedzictwem zaadaptować się do zupełnie nowych warunków. Czy są elastyczni i otwarci? Co uważają za swoje atuty, co jest dla nich przeszkołą? Emigracja powojenna rekrutowała się w większości z klasy średniej, łączyło ich wychowanie w przekonaniu, że o ich ludzkiej wartości zaświadczy umiłowanie wolności i honor, ciągła praca na rzecz utraconej ojczyzny, szacunek dla autorytetów i wierność religijnym obrzędom i obyczajowości dowiedzie polskiej tożsamości. Polskość z biegiem czasu okazywała się już nie tożsamością, ale potencjałem. Emigranci powojenni unikali gettoowości, prezentowali wyższy poziom intelektualny i mentalny niż wcześniejsza o kilka dekad emigracja zarobkowa. Pierwsi wybierali Amerykę ze względu na możliwość zarobku i otrzymanie własnego kawałka ziemi, emigranci z doś-



wiadczeniem wojny, walki, obozów wybierali Amerykę, bo kojarzyła się im z wolnością i demokracją. Niestety dotknął ich „wypracowany” przez poprzednie pokolenia stereotyp Polaka, wielu nie osiągnęło swoich celów, poczuli się niedocenieni, co łącznie z poczuciem winy – zostawili kraj w potrzebie i nieszczęściu – powodowało depresję. Emigracja wojenna i solidarnościowa charakteryzowała się wyższymi kwalifikacjami zawodowymi i wewnętrznymi silnymi związkami (pierwsza rodzinnymi, druga tworzyła solidarną rodzinę solidarnościową), emigrantom zarobkowo-ekonomicznym brak często takiego spoiwa, co wcale nie przekłada się na lepszą adaptację.

Jakie są rzeczywiste i najważniejsze pobudki dzisiejszych emigrantów i jaki jest ich potencjał? Jakie przekazane im wartości pomogą w nowym miejscu, a jakie przeszkodzą w zdobywaniu pozycji, do jakiej aspirują? I oni muszą zmierzyć się nie tylko z zagrożeniem, ale i realnym doświadczeniem degradacji społecznej. Polonia amerykańska odnalazła spoiwo i poczucie wartości ludzkiej, narodowej, obywatelskiej dzięki Janowi Pawłowi II i „Solidarności”. Z czego mogą być dumni dzisiejsi emigranci, jaka jest ich samoocena, co im wynagrodzi upokorzenia? Jakie tradycje i mity idą za Polakami i z Polakami w świat dzisiaj? Tożsamość Polonii amerykańskiej opierała się na głębokiej lojalności wewnątrzrodzinnej, ale oni wyjeżdżali do USA całymi rodzinami, charakterystyczna dla Polaków nieufność wobec obcych równoważona była poczuciem bezpieczeństwa, którą dawało funkcjonowanie w wąskiej grupie powiązanej silnymi więzami krwi i przywiązania. Dzisiejsi emigranci doświadczają rozdzielania, budują nowe związki z innymi emigrantami, ale także przedstawicielami innych mniejszości narodowych w kraju docelowym.

O Polakach Danuta Mostwin pisała, że wolność narodowa jest dla nich ważniejsza od niezależności osobistej, rozpamiętują przeszłość zamiast planować przyszłość, stawiają na spontaniczność zamiast planowania i konsekwentnej realizacji celów. Powojenni emigranci wychowywali dzieci w szacunku i przywiązaniu do polskości, ankietowani przez badaczkę przedstawiciele Polonii w latach siedemdziesiątych w mniej więcej połowie przypadków chcieli, by ich dzieci były raczej Amerykanami. A dziś? Młode Polki na emigracji skuszone bezpieczeństwem socjalnym rodzą dziś statystycznie więcej dzieci niż ich koleżanki w Polsce. Czego chcą dla swoich dzieci? Polskości czy raczej europejskości? W najtrudniejszej sytuacji, bez względu na to, o której fali emigracji mówimy, są dzieci emigrantów, bo one muszą się zmagać z konsekwencjami nieswojej decyzji, są Polakami, ale Polska i polskość są wartościami przyswojonymi za pośrednictwem rodziców, są mieszkańcami nowej ojczyzny, ich ojczyzny – bo innej nie znają, ale w tej nowej ojczyźnie pozostają jednak obcy. Czy dopracują się trzeciej wartości, syntezy dziedzictwa i wychowania w nowym systemie kulturowym, czy zespolenie doświadczeń rodziny i własnych da im spokój i poczucie wartości, godności, wyjątkowości, czy ich doświadczenie będzie ich siłą, czy garbem? Czy z dzisiejszych emigrantów będziemy dumni, czy zostaną po nich kolejne stereotypy i *polish jokes*? Czy oni sami będą chcieli się przyznawać do polskości, czy postarają się raczej wtopić w wielokulturowy i wieloetniczny tłum? Dowiemy się za kilkanaście, kilkadziesiąt lat, chyba że wykorzystamy pracę Danuty Mostwin, która nie na darmo była terapeutką rodzinną i dopatrzmy największej wartości jej pracy badawczej – uniwersalnych wniosków.



### Triduum paschalne – smutek anachorety

Anachoreta kroczy nawą kościoła miłosierdzia  
promienie słońca  
nie noszą znamion misterium – padają w kurz  
banalne witraże nie kuszą smakiem transcendencji  
także echo zatoneło w kurzu i milczy  
ze strachu przed czartami z łużyckich lasów  
co bezczelnie spółkują z miejscowymi bożkami  
płodząc potwory nie do wiary

Pogańscy kapłani tej krainy składają im ofiary  
udając pobożność podczas obrzędowych mordów

Świątynia nie ma nic wspólnego  
z dostojnością kościołów Konstancji  
kolumnady z betonu udają katedrę Marii Panny  
lecz nigdy nie dosięgną cienia jej piękna  
w kościele miłosierdzia nikt nigdy nie ustanowi praw  
bo żaden sobór nie zechce kalać się widokiem  
fasady z betonu i fałszywych arkad  
a gdzież miejsce dla wytwornych umysłów  
dla teologów i księżących bękartów  
gdzież te stalle które pomieszczą ich szlachetność  
dzwoniącą złotymi łańcuchami ku przestrodze ludu?  
Nie ma teologów a stalle wypełniła gawiedź

Anachoreta słucha jak śpiewa schola dziewic  
jednak piękne śpiewy nie zwiodą jego uszu  
oczy widzą pokorny tłum który garnie się  
by składać ofiary równinom cmentarzy

Anachoreta chciałby dostrzec choćby skrawki  
liturgii – jakiegokolwiek – byle była piękna  
niech będzie dostojnie i niech pachną kadzidła  
a tu nic z tych rzeczy – jest byle jak  
tłum pozbawiony imion i wstydu

wypełniają wielkanocny obowiązek  
z kielbasą w koszyku i bezmyślną twarzą

nie ma drżącego szeptu nawróconych  
nie ma szelestu odświętnych ubrań

\*\*\*

Tutaj nawet  
zabrakłoby fantazji na efektowny proces i wyrok  
nikt nie spłonie na stosie z dwóch powodów:  
Cena drewna i brak wykształconych prokuratorów  
zresztą można zadrzeć człowieka *in modo sovietica*  
(niech się sam powiesi – najlepiej na białym sznurze)

Bywało że kwiaty ozdabiały nawrócenia  
stały przed ołtarzami na ołtarzach i pod nimi  
w Konstancji w katedrze Marii Panny obute stopy  
czują chłód posadzki – stąpając krokiem dziecka

w kościele miłosierdzia pod stopami chropowatość  
oszczędność znaczeń pozbawiła kwiaty zapachu  
a jedyna żywa żarówka nie rozproszy mroków niewiary

Zbiegiem okoliczności Anachoreta  
idzie główną nawą i smuci się tym wszystkim

Żary, kwiecień 2009

# Oświęcim 2009

Na początku najtrudniej jest sobie uświadomić, że jest to zwykłe, pełne życia miasto. Ponoć dla przybyszów z zagranicy też jest to największy szok. Trzeba minąć zatłoczone ulice, kolorowe domeczki i bloki, sklepy i place zabaw, gdzieś tam są też fabryki i biura, po prostu jest normalnie. A my nie możemy tego przetrawić, że normalnie. Normalnie do tego stopnia, że na ulicy ludzie oglądają się za jaskrawo ubranymi małolatami o kolorowych włosach. Trzeba więc minąć tych, którzy spacerują z pieskami, parę grającą w badminton, budkę z fast foodem i już się jest. Obrazki jak z bajki: zalane słońcem soczyste trawniki, drzewa bujne i sięgające nieba, pierwszy budynek. Solidny, wybudowano go porządnie, żadnej prowizorki, miał służyć jeszcze wiele, wiele lat – i służy, tylko już nie do zarządzania obozem i do odpoczynku wartowników, ale przepuszczaniu przez jego gardziel kolejnych tysięcy odwiedzających. Po chwili, obwieszeni słuchawkami albo z ulotkami informacyjnymi w dłoniach, wychodzą z drugiej strony budowli, mijają pierwsze wartownicze wieżyczki, niektórzy już cichną, innych uciszy następny kawałek drogi. Pod bramą ze słynnym napisem jest pierwszy obowiązkowy przystanek. „Arbeit macht frei” – przewodniczka nie musi tłumaczyć, przecież wiemy – ale ona tłumaczy, nie opuszcza żadnego szczegółu, opowiada o orkiestrze, która tu grała, o kuchni, o pierwszych numerach, które wzniosły i zorganizowały ten obóz. Cały czas mamy poczucie, że uczestniczymy w czymś nierealnym. Jest cudowna pogoda, jasno, ciepło, zieleń pyszna, nawet ptaki się odzywają. Kiedyś ich tu nie

# Oświęcim 2009

Am Anfang ist es schwierig, sich an den Gedanken zu gewöhnen, es ist doch ein normales Städtchen und voller Leben. Auch für die Besucher aus dem Ausland soll das der größte Schock sein. Man geht Straßen mitten im Gedränge entlang, an bunten Häusern und Hochhäusern, Geschäften und Kinderspielplätzen vorbei, irgendwo sieht man Industriebetriebe und Büros, es ist alles ganz normal. Wir können das aber nicht einfach so hinnehmen, diese Normalität: Dass sich die Menschen nach uns, den grellfarbig gekleideten Halbwüchsigen mit bunten Haaren, umdrehen. Man muss also vorbei an jenen, die mit ihren Hunden Gassi gehen, an dem Paar, das Federball spielt, an dem Kiosk mit Fast Food, bis man endlich da ist. Ein märchenhaftes Bild: mit Sonnenlicht umflossene, saftige Rasen, hohe Bäume, die zum Himmel ragen, das erste Gebäude. Solide, ordentlich errichtet, kein Notbehelf, es sollte ja noch viele, viele Jahr dienen – und es dient auch, nur nicht mehr der Lagerkommandantur, nicht mehr den Wächtern zur Erholung, sondern als Eingang für Tausende und Abertausende Besucher. Kurz darauf gehen sie, mit herumhängenden Kopfhörern oder Flugblättern in den Händen, auf der anderen Seite des Gebäudes heraus, an den ersten Wachtürmen vorbei, manche werden jetzt schon still, andere sehen sich nach ein paar weiteren Metern zum Schweigen gezwungen. Die erste Pflichtstation unter dem Tor mit der berühmten Aufschrift. „Arbeit macht frei” – die Fremdenführerin braucht nicht zu übersetzen, wir kennen es doch alle – aber sie übersetzt es trotzdem, sie läßt kein Detail aus, erzählt von

było, ani jednego, omijały to miejsce z daleka – nie wiadomo, czy przeszkadzał im dym z krematoriów, czy po prostu nie lubią miejsc pełnych cierpienia i śmierci... Teraz śpiewają. Mijamy uśmiechniętych mężczyzn, zupełnie nie pasują tutaj i chyba tego nie rozumieją. Ludzie robią sobie zdjęcia, ustawiają się ładnie, przechylają głowy, żeby dobrze wypaść; tu, gdzie stały apele i tu, gdzie „szpital”, i tu, uśmiechnięci, pod ścianą śmierci... To już za dużo, odchodzimy pospiesznie, bo nie miejsce to na awanturę, a niewiele nam brakuje, by się do nich gniewnie odezwać. Wchodzimy do piwnicznych cel, przeciskamy się obok jakiejś wycieczki, obejrzeni właśnie celę Ojca Kolbego i wychodzą, my dopiero zaczynamy podziwiać świetnie zorganizowane na niewielkiej powierzchni, kameralne wręcz, miejsce karania niepokornych. Generalnie nie opuszcza nas wrażenie, że cholernie pięknie to wymyślono. Skąpana w słońcu wieża wartownicza – model drugi – obok zgrabnego budynku teatralnego, w którym nie zagrano żadnej sztuki, bo szybko zaczął służyć za magazyn zrabowanych rzeczy. I ciągle te piękne drzewa. Przewodniczka uświadamia nam, że zostały tu posadzone w latach 40., czyli „wtedy”. Jaki ładny pomysł, no i te bzy w ogrodzie domu Komendanta, albo ta brzoza posadzona dla ustabilizowania nasypu wokół krematorium nr 1... Pięknie. Potem w rozmowie wszyscy powiedzą, że było tak pięknie, aż wyszli stamtąd z poczuciem nieadekwatności tego piękna do okoliczności. Auschwitz nie powinno być piękne, ale było, może to boli tym bardziej.

Następnego dnia odwiedzamy Birkenau. Znów wiosna i wiatr pachnący słońcem. Stoimy przed barakiem, takim zrekonstruowanym, bo drewno się łatwiej psuje niż mурowany blok. W środku zapach strachu i śmierci, dwa kroki dalej – zieleń, życie i blask, aż trzeba mrużyć oczy. Kiedy już można podnieść powieki niezmienny przez najbliższe godziny widok: setki baraków, ich ruin, ich śladów w trawie, drogi wysypane tłuczniami i brzęczenie owadów. Idziemy do Białego i Czerwonego Domku, pierwszych, prowizorycznych komór gazowych, potem inne użyteczne budynki, przykłady świetnej organizacji, nowoczesnych udogodnień organizacyjnych. Płozymy sarnę, która próbuje przedostać się przez druty kolczaste na drugą, zieloną stronę. Dopiero po chwili orientujemy się, że wszyscy wstrzymaliśmy oddech i dopiero świadomość, że nie zabił jej prąd ani strzał strażników, bo niby skąd tu i teraz, sprawia, że

dem Orchester, der hier gespielt hat, von der Küche, von den ersten Nummern, die dieses Lager errichtet und organisiert haben. Da wird man das Gefühl nicht los, es sei alles unreal. Das Wetter ist wunderschön, es ist hell, warm, das Gras ist prachttvoll, sogar die Vögel zwischern. Einst gab es hier keine, sie haben diesen Ort vermieden – und keiner weiß, ob sie der Rauch der Krematorien gestört hat, oder sie einfach Orte voller Leiden und Tod nicht gerne sehen... Jetzt singen sie. Wir gehen an Männern vorbei, die lächeln, sie passen hier nicht hinein und scheinen dies nicht zu verstehen. Sie machen einander Fotos, stellen sich günstig auf, neigen ihre Köpfe, um gut auszusehen: Hier, wo die Appelle stattfanden, und da, wo das „Krankenhaus“ steht, oder dort, an der Todesmauer, bitte lächeln!... Das ist uns zu viel, eilig laufen wir davon, es ist doch kein Platz für einen Krach, und wir können nur mit Mühe unseren Zorn zügeln. Wir gehen in die Kellerzellen hinein, drängen uns an einer Besuchergruppe vorbei, sie haben gerade die Zelle von Pater Kolbe gesehen, wir fangen erst an, diese auf der kleinsten Fläche so brillant eingerichteten, ja fast gemütlich anmutenden Einzelzellen für die Ungehorsamen. Im Allgemeinen werden wir den Eindruck nicht los, alles hier war so verdammt gut durchdacht. Ein sonnenumflossener Wachturm, Modell zwei, neben dem schlanken Theatergebäude, in dem nie ein Theaterstück gespielt wurde, da es sich schnell in ein Lager für geraubte Gegenstände verwandelte. Und diese schönen Bäume, überall. Die Fremdenführerin erläutert, sie wurden hier in den 40er Jahren gepflanzt, also „damals“. Was für eine schöne Idee, dazu diese Flieder im Garten des Kommandanten und diese Birke, zur Stabilisierung des Damms um das Krematorium Nr. 1... Hübsch. Bei einem Gespräch danach sagen alle, es sei so schön gewesen, und diese Schönheit passe da einfach nicht, zu diesen Umständen. Auschwitz dürfte eigentlich nicht schön sein, aber vielleicht dadurch schmerzt es umso mehr.

Am nächsten Tag fahren wir nach Birkenau. Der Frühling ist schon wieder da, der Wind riecht nach Sonne. Wir stehen vor einem Blockhaus, rekonstruiert, da das Holz schneller zugrunde geht, als die gemauerten Blockhäuser. Drinnen riecht es nach Angst und Tod, zwei Schritte weiter – Grün, Leben, Helligkeit, man muss die Augen zukneifen. Nachdem man sie wieder aufgemacht hat, sieht man stundenlang nur eines: Hunderte von Blockhäusern, deren

w milczeniu ruszamy dalej. Pod koniec wizyty tutaj obserwujemy wzmożony ruch wokół słynnej rozładunkowej rampy, a i wcześniej widzieliśmy sporo mundurowych, kręcących się choćby przy pomniku – wreszcie się wszystko wyjaśnia, gdy z błyskiem „kogutów” przemyka kawalkada aut, wiozących jakąś głowę państwa chcącą złożyć kwiaty i zobaczyć to miejsce.

Jeszcze zostaje w nas zachwyt ludźmi, którzy obok nas wysypują się z autokaru. Trochę zmęczeni czekamy już na parkingu na nasz pojazd, ale nie sposób oderwać oczu od pięknych twarzy izraelskich dzieciaków. Rysy mogące budzić zachwyt na każdym konkursie piękności, włosy aż nierealne w swojej objętości, piękni, skupieni, przygotowują swoje biało-błękitne flagi. Wiatr jest idealny, niebo im sprzyja, idą, kroczą, my odjeżdżamy.

Kolejny dzień to Archiwum. Najchętniej nie czekalibyśmy, aż archiwistka skończy wprowadzenie, tylko od razu rzucili się do czytania, dotykania, badania... Papier pożółkły, przeważnie kopie oryginalnych dokumentów, ale też już zmieniają kolor, zdjęcia twarzy zmuszonych do pozowania więźniów, zdjęcia tych, którzy byli tu panami, ewidencje, tabele, zarządzenia. I największe wzruszenie – grypsy, listy oficjalne i napisy wydrapane na ścianach. Przypomina mi się historia ucieczki zakochanego w Mali Edka, oboje złapani, oboje zginęli, ukarani, ale on w każdej celi, w której przed straceniem siedział, pisał na ścianach ich imiona i datę, tę jedyną, jednego dnia, gdy byli razem – wolni. I teraz mam przed sobą takie wydrapane w tynku serce, zdjęcie trochę nie wyszło, a może to zaciek na ścianie celi? Wzruszam się aż do wyjścia z tego budynku, ale widzę, że nie tylko ja mam ochotę pomilczeć, cała grupa pospiesznie przemyka między kolejnymi wycieczkami idącymi nam naprzeciw.

Dziękuję niebiosom, że to Borowskiego wzięłam sobie do czytania w pociągu. *Proszę państwa do gazu* trochę mnie przygotowało na wizytę w Oświęcimiu, tam nie było tanich sentymentów, wyrozumiałości, magii. Była zwierzęca chęć przetrwania. Pomagało mi to myśleć o ofiarach Auschwitz normalnie, bez patosu, chyba trochę więcej zrozumieć. Chociaż tu się nie da zrozumieć. Nawet spotkanie z Numerem 121, więźniem, który budował obóz, Janem Paczyńskim, niewiele wyjaśniło. A więc niektórym udało się tu przeżyć?! Nie wszyscy znikali z ewidencji po kilku tygodniach, najdalej miesiącach?

Ruinen, Spuren im Gras, mit Steinschlag bestreute Wege und das Summen der Insekten. Wir gehen zum Weißen, dann zum Roten Haus, den ersten, behelfsmäßigen Gaskammern, dann sehen wir die anderen nützlichen Gebäude, weitere Beispiele der einwandfreien Organisation, der modernen Einrichtungen. Wir verscheuchen einen Reh, der versucht, durch den Drahtzahn auf die andere, grüne Seite zu gelangen. Erst nach einer Weile bemerken wir, dass wir alle den Atem angehalten und erst dann begriffen haben, dass sie weder durch den Strom noch von einem Wächter getötet werden konnte, wie denn, hier und jetzt; schweigend machen wir uns auf den weiteren Weg. Gegen das Ende unseres Besuches sehen wir Hochbetrieb um die berühmte Ausladerampe, auch früher haben wir ein paar Uniformerte um das Denkmal herum hin und hergehen – endlich wird alles klar, eine Reihe von Autos mit Blaulicht, wohl ein Staatsoberhaupt, der diesen Ort sehen will und Blumen legen.

Wir haben noch etwas Begeisterung übrig für Menschen, die neben uns aus ihrem Bus einer nach dem anderen aussteigen. Etwas müde warten wir schon auf dem Parkplatz auf unser Fahrzeug, doch unsere Augen sind an diese schönen Gesichter der israelischen Kinder gefesselt. Gesichtszüge, die bei jedem Schönheitswettbewerb entzücken könnten, unmöglich dicke Haare, wunderschön und andächtig bereiten sie ihre weiß-blauen Fahnen vor. Der Wind ist ideal, der Himmel ist ihnen hold, sie gehen, schreiten weg, wir fahren ab.

Den nächsten Tag verbringen wir im Archiv. Am liebsten würden wir nicht warten, bis der Archivar fertig ist mit seinem Vortrag, sondern sich ins Lesen, Berühren, Untersuchen stürzen. Vergebtes Papier, meistens sind das nur Kopien von Originalunterlagen, aber auch sie verlieren langsam ihre Farbe, Bilder von Gesichtern der Gefangenen, gezwungen, sich fotografieren zu lassen, dann von jenen, die hier Herren waren; Register, Tabellen, Anordnungen. Und dann klopft das Herz stärker: Kassiber, offizielle Briefe und Aufschriften, auf die Mauern gekratzt. Ich muss an die Flucht des in Mala verliebten Edek denken, beide gefangen, beide getötet, bestraft, aber in jeder Zelle, in der er vor der Hinrichtung saß, schrieb er ihre Namen auf die Wand und das Datum des einen, einzigen Tages, an dem sie gemeinsam waren – und frei. Und nun sehe ich ein solches Herz, in den Putz eingekratzt, das Foto ist nicht ganz

Oglądałam galerię zdjęć z opisami; tych, którzy przeżyli dłużej niż pół roku w obozie, można tu było policzyć na palcach. I najbardziej dla mnie wstrząsające zdjęcie: esesman kończy selekcję nowego transportu, w kącie kadru oddala się duża grupa – wszystkie głowy są srebrne. Myślę o moich rodzicach, natychmiast potrzebuję usłyszeć ich głosy w telefonie...

Byliśmy w Oświęcimiu przez kilka dni, mieszkając wygodnie w Międzynarodowym Domu Spotkań Młodzieży, zaprosiła mnie i moich młodych przyjaciół pani Carmen Winter. Z Zielonej Góry i Sulechowa przywiozłam tu poetów nasto- i dwudziestoparoletnich. Z Niemiec przyjechali uczniowie z Oranienburga – tyle o nich wiedzieliśmy na początku. Nie było to spotkanie łatwe, a dla nich dodatkowym ciężarem było dziedzictwo historii własnej ojczyzny. Byli wstrząśnięci, czytając dokumenty, spoglądając w oczy swoim rodakom pyszniącym się przed obiektywem w świetnie skrojonych mundurach.

Też nie mogli sobie złożyć w całość doznań wyniesionych z obozu i bezwstydnie pięknej wiosny dokoła. Równiutkie szeregi cyfr, tabelki, danych były dla nich równie szokujące jak dla nas. Masakra, ludobójstwo zorganizowane jak porządna fabryka. Potem w wierszach próbowaliśmy o tym pisać, Sabina i Michał tłumaczyli nasze teksty, żeby i druga strona mogła zrozumieć. Fine, czerwonowłosa Fine napisała pięknie o kobiecie, której twarz zapamiętała, ale nazwisko – Kwoka, sprawiało jej kłopot w pisaniu i czytaniu. Filip bardzo chciał się nauczyć jak najwięcej słów po polsku, gadał z nami najwięcej, wypytywał, jak to u nas jest. Eric zaskoczył wszystkich pierwszymi w swoim życiu, maleńkimi, mądrymi wierszami. Także Maria, Anna i Marcus napisali teksty, w których odnaleźliśmy i nasze refleksje. A więc jest dobrze. Mamy wspólne odczucia, wzruszaliśmy się i oburzali tak samo. Więc będzie lepiej. Przepisujemy sobie niektóre słowa, kopie krążą z rąk do rąk, nikną chowane we własnych zeszytach. Martyna poruszyła Niemców swoim tekstem, ale też językiem, jakiego użyła – pytają tłumaczy, czy dobrze zrozumieli. Wojtek zewidencjonował swoją własną walizkę, wszystkie ubrania, długopis, saszetkę z herbatą, jakby poddał się oględzinom przez administratorów Obozu. Młodzi zdumieni odnajdują jednoznaczność tego tekstu, z czytanyymi w archiwum dokumentami: „koszulka typu t-shirt, czarna, marki Reserved, rozmiar L, używana, sztuk jeden; szczo-

gelungen, oder ist es ein Wasserfleck an der Wand? Ich bin tief bewegt, bis ich das Gebäude verlasse, aber ich sehe, nicht nur ich habe Lust, zu schweigen, unsere ganze Gruppe eilt an den uns entgegenkommenden Besuchern vorbei.

Ich danke dem Himmel, Borowski für die Reise im Zug mitgenommen zu haben. *Bitte, die Herrschaften zum Gas* hat mich ein bisschen auf den Besuch in Auschwitz vorbereitet, da findet man kein billiges Sentiment, keine Rücksicht, keine Magie. Was man findet, ist animalischer Überlebenswille. Dies hat mir geholfen, an die Opfer von Auschwitz normal zu denken, ohne Pathos, vielleicht auch etwas mehr zu begreifen. Auch wenn es nicht viel zu begreifen gibt. Nicht einmal das Treffen mit Jan Paczyński, dem Häftling Nr. 121, der das Lager mitgebaut hat, hat uns nicht viel erklärt. Man konnte hier also überleben? Nicht alle sind von den Verzeichnissen verschwunden nach einigen Wochen, spätestens – Monaten? Ich habe eine Fotogalerie von Häftlingen mit Beschreibungen gesehen, es gab nur wenige, die mehr als ein halbes Jahr im Lager überlebt haben. Und das für mich erschütterndste Bild: Ein SS-Mann schließt die Selektion bei einem neuen Häftlingstransport ab, in der Ecke sieht man eine große Gruppe weggehen – und alle Köpfe sind grau. Ich muss an meine Eltern denken, ich brauche sie sofort am Telefon zu hören...

Wir – meine jungen Freunde und ich – blieben in Oświęcim mehrere Tage lang, wir wohnten bequem in der Internationalen Jugendbegegnungsstätte, eingeladen von Carmen Winter. Ich habe aus Zielona Góra und Sulechów Dichter mitgebracht, Teenager und junge Erwachsene. Aus Deutschland kamen Schüler aus Oranienburg – soviel wußten wir von ihnen am Anfang. Es war kein einfaches Treffen, für sie war die Geschichte ihres Vaterlandes eine Last. Sie waren erschüttert, als sie die Dokumente gelesen haben und in die Augen ihrer Landsleute geschaut, die vor den Fotoobjektiven in ihren fein geschneiderten Uniformen stolzierten.

Auch diesen Jugendlichen passen ihre Eindrücke aus dem Lager und die schamlose Schönheit des Frühlings irgendwie nicht zusammen. Die gleichmäßigen Reihen von Ziffern, Tabellen, Daten, waren für sie so schockierend, wie für uns. Das Massaker, der Völkermord, organisiert wie ein ordentlicher Industriebetrieb. Danach haben wir versucht, das in unseren Gedichten wiederzugeben, Sabina und

teczka do zębów, rączka kolor zielony...". Każdego z nas, tak jak każdego z Nich, można sprowadzić do roli rejestru dóbr, które po nas zostaną... Michał pisze wstrząsający list – do jednego z więźniów, Monika gniewnie rozprawia się ze światem, jego niedoskonałością, Ola też znalazła wśród tysięcy twarzy na czarno-białych zdjęciach w Muzeum taką, która stała się dla niej ważniejsza niż inne, o tym też powstał wiersz.

Właściwie nie wiem, jak zakończyć tę opowieść. Mam wrażenie, że dopiero zaczęłam jakąś podróż, że dopiero teraz, ze zdobytą tu wiedzą trzeba coś zrobić. Zostawiamy Teresie Miłoś, naszej opiekunce w Oświęcimiu, kopie tekstów – może zdarzy się jakiś dalszy ciąg? Taki dalszy ciąg zawarty pomiędzy dwoma okładkami, z tytułem mocnym i czarnym: „Lager spracha – próba zrozumienia”.

Michał haben unsere Texte übersetzt, sodass auch die anderen sie verstehen konnten. Fine, die rothaarige Fine, hat wunderschön über eine Frau geschrieben, deren Gesicht sie in Erinnerung hatte, aber der Name – Kwoka – war für sie schwierig, so zum Lesen, wie zum Schreiben. Filip wollte sich möglichst viele polnische Worte merken, er sprach mit uns, soviel er konnte, erkundigte sich, wie es bei uns so ist. Eric hat alle mit seinen ersten überhaupt, kleinen, aber klugen Gedichten überrascht. Auch Maria, Anna und Marcus haben Texte geschrieben, in denen wir unsere Überlegungen wiederfinden konnten. Es geht also. Wir haben ähnliche Gefühle, uns hat dasselbe berührt oder verärgert. Und es wird noch besser gehen. Wir schreiben voneinander manche Worte ab, die Kopien kreuzen hin und her, verschwinden in den eigenen Heften. Martyna hat die Deutschen mit ihrem Text sichtlich bewegt, aber auch mit der Sprache, die sie verwendet hat, sie fragen bei den Dolmetschern nach, ob sie richtig verstanden hätten. Wojtek hat den Inhalt seines eigenen Koffers in ein Verzeichnis eingetragen: alle Kleidungen, den Kugelschreiber, einen Teebeutel, als würde er sich einer Untersuchung durch die Lagerverwaltung unterziehen. Die jungen Menschen sind von der Übereinstimmung dieses Textes mit den im Archiv gelesenen Dokumenten erstaunt: „Ein T-Shirt, schwarz, Fabrikat Reserved, Größe L, gebraucht, Stück 1; Zahnbürste, grüner Griff...“ Jeder von uns kann, wie jeder von Jenen, als ein Verzeichnis von Gegenständen dargestellt werden, die wir hinterlassen... Michał schreibt einen erschütternden Brief – an einen der Häftlinge, Monika setzt sich voller Ärger mit der Welt, mit deren Unvollkommenheit auseinander, Ola hat auch unter den Tausenden von schwarz-weißen Bildern ein Gesicht gefunden, das für sie wichtiger wurde, als die anderen, sie hat darüber auch ein Gedicht verfaßt.

Um ehrlich zu sein, ich weiß nicht, wie ich diesen Bericht abschließen soll. Ich habe das Gefühl, eine Reise erst angefangen zu haben, mein hier erlangtes Wissen erst ausnutzen zu müssen. Unserer Betreuerin in Auschwitz, Teresa Miłoś, hinterlassen wir Kopien unserer Texte – vielleicht gibt es eines Tages eine Fortsetzung? Eine Fortsetzung zwischen zwei Umschlägen, mit einem starken, schwarzen Titel: „Lagersprache – ein Verständigungsversuch”.

**Übersetzung Grzegorz Kowalski**



## Historia polskiego kina niezależnego w Polsce w oparciu o działania zielonogórskiej grupy filmowej Sky Piastowskie



Polskie kino niezależne wykielkowało w szczelinach solidnego popeerelowskiego lasu betonu. W połowie lat 90. świadomość przeciętnego Polaka i kierunek jego spojrzenia warunkowały talerze satelitarne montowane w zastraszających ilościach przez techników telewizyjnych i operatorów kablówek. Dla przedstawiciela klasy pracującej, wymęczonego wieczną regeneracją rozszarpanych nadziei na lepszą Polskę, było to istne okno na świat i sposób na życie. W samym środku pokancerowanych komunistycznym dziedzictwem blokowisk pojawił się wówczas nowy przedstawiciel młodzieżowej subkultury – filmowiec offowy. Marzyciele, ale i realiści, bardzo szybko pokazali, że sami potrafią tworzyć modę na swój sukces, że marzenia, jakie by one nie były wymyślne, realizuje się samemu. Pomiedzy blokami pojawiły się więc

pierwsze grupy dorastających nastolatków, ambitnie pochłoniętych ganiem w maminych szlafrokach, perukach na głowie i z plastikowymi pistoletami w rękach. Zabawiali osiedle odgrywaniem scen godnych surrealistycznego humoru w stylu Monthly Pythona. Uwielbiali zresztą bawić się parodiowaniem światowego kina. Dojrzałe, nowokapitalistyczne społeczeństwo reagowało na ich popisy jak na wioskowego głupka, któremu udało się wreszcie powiedzieć dowcip. Młodym fascynom filmu wystarczały archaiczne VHS-ki i dwa magnetowidy, by pokazać siłę dziesiątej muzy. Każdą wolną chwilę poświęcali pracy nad osiedlową, „międzyklatkową” produkcją filmową. Ogrom wysiłku i wyrzeczeń, raczej po prostu młodzieżowej energii i ogromnej satysfakcji. Mieli w rękę swoje własne filmowe dzieło. Organizowali więc „światowe” – czytaj osiedlowe

– premiery hollywoodzkich parodii dla przyjaciół i rodziny. Ich filmy z coraz większą siłą wciągały rzesze nowych zwolenników kina offowego. Absolutnie nikt wtedy nie podejrzewał, że oto zaczęła się nowa era polskiego kina – filmotwórstwa „międzyklatkowego”, filmowych robótek ręcznych. Nagle okazało się, że naśladowcy Schwarzenegera czy Tarantino i ich artystyczne dokonania nie dość, że są tolerowane, to nawet doceniane i to przez ludzi, których znali tylko z prasowych publikacji i filmowych plakatów.

Warto zauważyć, że większość produkcji amatorskich powstających w latach 1990-1991 charakteryzuje się brakiem jakiegokolwiek scenariusza. Symptomatyczny dla większości amatorskich grup filmowych, powstających na początku lat 90. jest również brak organizacji i podziału na konkretne filmowe zadania. Pierwsze filmy amatorskie były więc dziełem jak najbardziej wspólnym.

Warto też zauważyć, że bez względu jak różnie od siebie były historie poszczególnych twórców ówczesnego kina niezależnego w Polsce, to z pewnością miały one wspólne cechy: po pierwsze, zafascynowanie niedostępnym wcześniej dla przeciętnego Polaka kinem amerykańskim i pasją tworzenia własnych produkcji pod jego wyraźnym wpływem; po drugie, notoryczny brak finansów.

Już na początku swojego jeszcze niedojrzałego tworzenia kina młodzi filmowcy nieświadomie, ale idealnie wpasowali się w dwie ważne zasady filmowca niezależnego, jakie podaje nam Jim Jarmush. Pierwsza mówi o tym, że praca nad filmem to wysiłek grupowy, wspólne dzieło wszystkich zaangażowanych w pracę nad filmem. Druga natomiast mówi, że tak naprawdę wszystko już było i nie należy mieć najmniejszych skrupułów i oporów przed czerpaniem z dorobku innych, czy wręcz kopiowaniem dokonań innych, jeśli to jest zgodne z twórczą wyobraźnią autora. Bo jak powiedział Jean Luc Godard: „Nie ważne skąd bierzesz, ważne co z tym zrobisz”.

Większość amatorskich filmów powstawała spontanicznie, szybko i bez większego przygotowania, natomiast na pewno z ogromną pasją i niewyczerpanym potencjałem twórczym. Tak zwani reżyserzy niezależni początku lat 90. nie mieli pojęcia o warsztacie filmowym. Intuicyjnie korzystali z dobrodziejstw języka filmowego, jakim są m.in. gradacja planów czy powtarzanie ujęć, czyli dubli,

tasowanie planu ogólnego z bliskim. Dla każdego amatora zdobywanie świadomości filmowej krok po kroku było jednocześnie ogromnym skokiem w zdobywaniu umiejętności opowiadania historii za pomocą ruchomych obrazków.

Brak sprzętu, ale też zapału, cierpliwości i uporu powodował, że kilka innych grup powstających w kraju kończyło swój żywot równie szybko, jak zaczynało. Ci najtwardsi w realizowaniu marzeń o tworzeniu własnego kina, jeszcze powoli, kameralnie, po cichu i nieświadomie, stawali się jednak podwaliną historii polskiego kina niezależnego w Polsce. Tworzenie filmów wśród kolegów z osiedla wciąż budziło zdumienie, szacunek i urastało do rangi nadzwyczajnego zjawiska. Młodzi filmowcy nabierali świadomości, że „zabawa w kino” nie musi być tylko zabawą i może wyjść poza podwórko, poza osiedle, będąc sposobem na życie i dając satysfakcję, a może z czasem i sławę.

W 1990 r., swoją działalność rozpoczęła zielonogórska grupa Sky Piastowskie. Wkrótce potem przygodę z filmem rozpoczęli Piotr Krzywiac z Białegostoku, Dominik i Piotr Matwiejczykowie, Wojciech Koronkiewicz, Bodo Kox i wielu innych.

Jednak przez wiele lat najwyższą poprzeczkę dla twórców filmu niezależnego w Polsce ustanowiło właśnie Sky Piastowskie. Członkowie tej grupy byli autorami jednych z ważniejszych przełomów w omawianym gatunku. Chodzi tu m.in. o walkę z piractwem – od pewnego momentu swojej działalności do własnych filmów wykorzystywali tylko muzykę pozyskaną z oryginalnych źródeł, co jeszcze w połowie lat 90. było niestety w Polsce ewenementem. Jako jedni z pierwszych rozpoczęli również produkcję pełnometrażowych filmów fabularnych z profesjonalnie wykonaną post produkcją filmu, promocją medialną oraz kinową premierą.

Można przyjąć, że to właśnie Sky Piastowskie wyznaczyło najwyższy pułap dążeń, marzeń, spełnień twórczych, jaki każdy filmowiec niezależny chciałby osiągnąć. Pułap tak realistyczny i symboliczny zarazem, że sami filmowcy ze Sky prawdopodobnie nie są w stanie go powtórzyć. A stało się to za sprawą legendarnego już filmu *Że życie ma sens*.

Praca nad tym filmem trwała równy rok i nie obyła się bez twórczego bólu. Swój sprzęt udostępniła grupie Sky Piastowskie Polkowicka Telewizja Kablowa oddalona od Zielonej Góry o 100 kilo-

metrów. Grzegorz Lipiec nocami montował film w Polkowicach, a w dzień pracował w Zielonej Górze.

Mniej więcej w tym samym czasie nastąpiła precedensowa sytuacja dla polskiego kina niezależnego. Na ekrany kin wszedł film wyreżyserowany przez zawodowego aktora Jacka Borcucha pt. *Kallafior*, który był efektem pracy poza studiami filmowymi. *Kallafior* promowano w mediach jako pierwszy, polski film niezależny. Chodziło tu jednak o pierwszy niezależny film dystrybuowany w kinach na taśmie filmowej. To było wielkie wydarzenie dla całego polskiego OFFu.

W 2000 r. Sky Piastowskie wysłał gotowy *Że życie ma sens*, który w wersji reżyserskiej trwał 2 godz. 20 min., do ogólnopolskiego pisma „Machina” i wszystko potoczyło się jak w kalejdoskopie. Redaktor pisma przekazał taśmę z filmem Stefanowi Laudynowi, dyrektorowi Międzynarodowego Warszawskiego Festiwalu Filmowego. Ten zachwycony obrazem zielonogórczan zaprezentował go szefowi Best Film, jednej z największych firm dystrybucji kinowej w Polsce. Prezes Best Film, Krzysztof Dumieński miał powiedzieć: „dla mnie bomba!”. I tak zaczęła się droga nakręconego za 4 000 zł, w domowym systemie VHS, filmu *Że życie ma sens* do kin całego kraju i Europy.

Negocjacje, transfer na taśmę światłoczułą (czyli kopiowanie z systemu VHS na format kinowy) i podpisywanie formalności trwało rok. Uroczysta ogólnopolska premiera filmu grupy Sky Piastowskie, w reżyserii Grzegorza Lipca odbyła się 20.04.2001 r. Do kina w Pałacu Kultury i Nauki przybyli ludzie z pierwszych stron gazet. To było uhonorowanie kilkunastu lat pasji, uporu i ciężkiej pracy kilkudziesięciu ludzi, którzy robili to zupełnie za darmo, aby doczekać takiej chwili. *Że życie ma sens* poruszyło filmową Polską.

Film wszedł na ekrany kin całego kraju w dziesięciu kopiach. W mediach zaczęły toczyć się debaty na temat zjawiska, jakim stało się kino niezależne. Oto film amatorów z prowincji trafił na salony. To było bardziej wyraziste od niezależnego *Kallafiora* zrobionego po godzinach przez zawodowców. Prasa zamieniła nazwę „amatorski” na „niezależny”.

*Że życie ma sens* zdobywało nagrody, w tym Grand Prix Jantar 2001 na Międzynarodowym Festiwalu Debiutów Filmowych w Koszalinie, gdzie film Lipca został w polu wszystkie zawodowe debiuty 2001 r. Wcześniej w Koszalinie wygrywali m.in.

Krzysztof Kieślowski, Krzysztof Zanussi czy Agnieszka Holland. Grzegorz Lipiec jest jak dotąd jedynym filmowcem amatorem, który zdobył to trofeum. Ekipa Sky Piastowskie została również zaproszona na jeden z najbardziej prestiżowych festiwali na świecie do Karlowych Warów, gdzie była pierwszym reprezentantem kina niezależnego w historii polskiej kinematografii, a jej filmy prezentowane były obok dzieł takich mistrzów jak sam Jim Jarmusch.

Nastaje piękna rzeczywistość filmowa w realiach postkomunistycznego, prężnie rozwijającego się kraju kapitalistycznego. Pokazy kina offowego, przeglądy, festiwale. Ta coraz bogatsza oferta spełnień dla filmowców amatorów powoduje, że i młodych ludzi pochtłoniętych pasją kina również jest coraz więcej. Taka eksplozja popularności kina amatorskiego, powoduje jednak, że poziom zarówno festiwali, jak i prezentowanych na nich filmów jest diametralnie różny. Niestety pojawiają się filmy, w których niedoświetlone sceny, buczące dialogi, nadgrywane role i wreszcie mdła dramaturgia nie są rzadkością w obrazach proponowanych przez tzw. reżyserów polskiego kina offowego. Na jednym festiwalu można zobaczyć prawdziwe perełki kina niezależnego, ale również filmy, które są niczym innym jak tylko zabawą z kamerą, którą Sky Piastowskie zapoczątkowało na początku lat 90. Na szczęście i same festiwale offowe z roku na rok stawiały – tak sobie, jak i twórcom – coraz większe wymagania.

Jednym z najciekawszych projektów propagujących ideę kina niezależnego jest Cinema OFF, zainicjowany przez Magazyn Filmowy „Cinema” i Internetowy Serwis Filmowy Filmforum.pl – kampania promocyjna ma na celu popularyzację dorobku polskich filmowców niezależnych. Projekt ten w założeniu miał być szansą na rozpropagowanie kina offowego w każdym zakątku Polski poprzez projekcje najlepszych filmów, promowanie najzdolniejszych twórców oraz nagłaśnianie najciekawszych wydarzeń kina niezależnego.

Niemal każdy miał wreszcie okazję na bieżąco obserwować rozwój polskiego kina niezależnego, oglądając najważniejsze dzieła najoryginalniejszych jego twórców. W repertuarze znalazły się pełnometrażowe filmy fabularne, etudy filmowe, animacje, teledyski i wszystko to, co młode kino ma najlepszego dla widza. Niesamowicie popularne festiwale kina niezależnego zmuszały w końcu jego twórców do nieustannego podnoszenia samym sobie poprzeczki.

Na niezliczonych przeglądach kina offowego początku XXI w. można było zauważyć, że różnice pomiędzy efektami pracy nowego pokolenia offowców a ich prekursorami zanikają. Filmy prezentowane na festiwalach kina niezależnego, pomimo kolosalnych różnic w doświadczeniu i wrażliwości filmowej ich twórców, łączy na pewno jedno – pełna pasji praca nad swoim dziełem. W ich filmach natomiast coraz wyraźniej zarysowuje się staranna i przemyślana dbałość o wrażenia widza. Może dlatego że większość z nich wciąż pielęgnuje w sobie pasję widza.

Szeroką gamę twórczości, bogactwo tematyczne, różnorodność sposobów realizacji produkcji niezależnych w Polsce początku XXI w. w dość sprawny sposób udało się wysublimować na Festiwalu Filmowym Kino Niezależne Filmowa Góra, poprzez ustanowienie określonych kategorii. Młodzi filmowcy walczą podczas festiwalu w kategoriach; Etiudy Studenckie, Ludzki Dramat i Ludzie Toksyczni, Animacja i Film Eksperymentalny, Komedia Humor Pastiche, Profilaktyka Społeczna, wreszcie kategoria poświęcona po prostu filmowi fabularnemu – Fabula Rasa.

Takie twórcze bogactwo w ostatnich latach otworzyło nowe możliwości postrzegania polskiego kina niezależnego. W 2004 r. kino niezależne doczekało się nagrody, która podsumowuje dorobek polskich filmowców offowych i corocznie wyłania grupę najzdolniejszych twórców oraz najlepszych filmów powstałych w naszym kraju. Do życia została powołana Nagroda Polskiego Kina Niezależnego

OFFskar. To był ważny moment nie tylko dla środowiska twórców filmowych, ale także doskonała okazja do tego, by odwdziżyć się ludziom, dzięki którym ta Nagroda w ogóle mogła zaistnieć. Dlatego w 2005 r. Honorowego OFFskara za całokształt działalności na rzecz młodego kina w Polsce otrzymał Jan Machulski – kilkuletni członek OFFowej Akademii Filmowej przyznającej roczne nagrody najzdolniejszym twórcom polskiego kina niezależnego. „Mamy ogromną nadzieję, że kontynuacja nagrody OFFskara w nowym wydaniu nabierze dużo większego prestiżu, a laureatów natchnie do wielu nowych działań, bowiem nagroda pod takim duchowym patronatem nie tylko mobilizuje, ale także zobowiązuje” – mówią organizatorzy inicjatywy, czyli Stowarzyszenie Filmforum i Fundacja Edukacji i Sztuki Filmowej Macieja Ślesickiego i Bogusława Lindy „Laterna Magica”.

Czas pokaże, jaką ma przyszłość kino niezależne w Polsce. Jedno jest pewne – nie wolno nam lekceważyć tego zjawiska. Nie wolno przejść obojętnie obok ludzi, którzy własne hobby uporem i konsekwencją działań mianują do rangi zawodowstwa. Nie można przejść obojętnie obok efektów ich pracy i obok dobrego kina.

Wykorzystano:

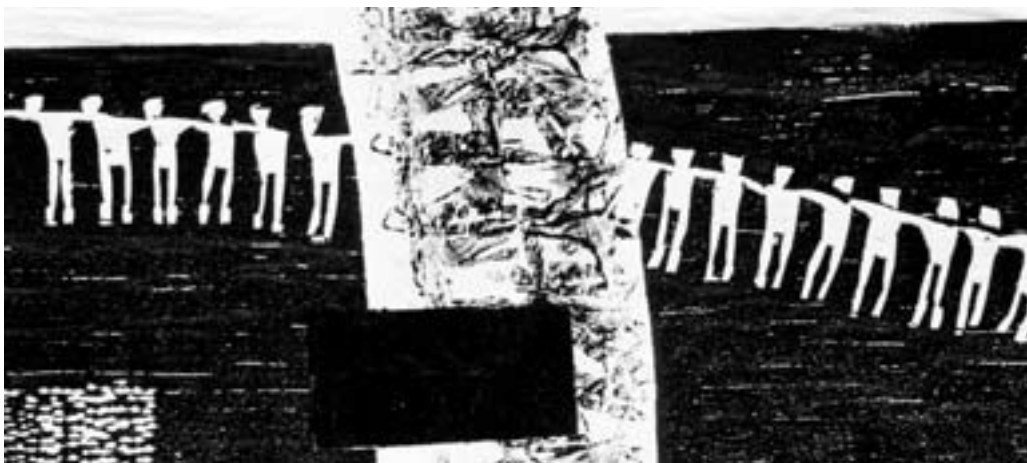
materiały prywatne Grzegorza Lipca;

*Historia Grupy Filmowej Sky Piastowskie*

– praca licencjacka Zuzanny Galek;

*Szczegółowa Historia Grupy Filmowej Sky Piastowskie*

– praca magisterska Agnieszki Zamlewskiej.



# Continuum

Śni się sen w małej wiosce Jaromierz. Tu zobaczyłem dom jak kropkę w zdaniu, matkę, ojca, stół, chleb, sól, podwórko grubo pokryte śniegiem, obrazek na ścianie i usłyszałem klekocącego bociana na słomianym dachu stodoły Bartkowiaków, gdzie było wielkie gniazdo. Tu na podwórku, podwórku teraz innych już ludzi, cudownie pachniał kwiat lipy, który czerpaliśmy na herbatę w zimowe dni, krowa stała w oborze, dawała mleko, pasąc ją, czytałem jakieś książki, grałem na zbożowej trąbce, rano radośnie rozśpiewywały się kury, tak, rozśpiewywały się jedna przez drugą na stertach słomy, tam znosiły jajka w swoich gniazdach, a wyżej, wysoko pod samym dachem tej stodoły ja zakładałem sobie swoje trony dla królewskich moich marzeń i wymyślałem bieg wielu rzeczy, które miały nastać w przyszłości. Podróże bajeczne, morza, góry, miłości i skarby.

Spełniło się wszystko co do joty. Niczego więcej już nie trzeba. Już nastały wszystkie smutki, które wtedy były nawet nie do pomyślenia. Jest wyczekiwana przyszłość, tak wtedy chciała, mam ją na wyciągnięcie ręki. Czemu teraz to, czego tak pragnąłem, sprawia mi ból. Siedzę w środku nocy, piszę. Jak przez mgłę lub przyćmione niebiesko, pomarańczowo szkiełko widzę krajobraz, znajomy mi krajobraz, horyzont z czarnym pasemkiem lasu, patrzę tak, jak to zwykle czynią dzieci w swoich zabawnych oglądaniach świata, których się później już nie umie powtórzyć ani nie ma powodu kolorowych światła pamiętać. To czarne pasmo lasu na horyzoncie przez całe dzieciństwo nie dawało mi spokoju. Pytałem po sto razy siebie, co jest za nim, co

jest dalej. Z chwili na chwilę wyraźniej zarysy nawet małych rzeczy. Domów ściany, szrony na łąkach, w polu żniwny skwar, palące słońce, w zimę ptasie, zajęcze ślady na śniegu. Pojawia się zapach śliwek. Akacji zapach. Słyszę nagły, mocny plusk ryby w stawie szczelnie, wokół otoczonym trzcina. I faliste kręgi aż do brzegu idą po lustrzanej powierzchni wody. Kołyszą całym stawem tak, że kołysze się również niebo. A potem jednak wraca i niebo, i woda do swojego poprzedniego, już nie rozchobotanego położenia. I znowu cisza, spokój, powtarza się ulubiony zapach śliwek. Dzień, kolejne dni, od czasu do czasu zaciągnięte deszczem, to znów pełne słońca, pracy, wołania. Płaczu. Codziennych kłopotów. Niebem liczne klucze ptaków ciągną na zimowiska, podchodzą pod dom sarny.

Śni się sen ciągle niewyśniony, którego nie trzeba sobie wyobrażać, bo po prostu, zwyczajnie, każdego dnia się objawia. Pług oparty o ścianę stodoły. Żelazo lemiesza wytarte czarną ziemią podczas orania świeci niczym lustro, że można się w nim przeglądać. Pamiętam ten blask. Pośrodku podwórza stoi wóz, z którego wyprzężono parę gniadych koni. Siano śpi spokojnym, wyschniętym snem w stodole. Całość istnienia wyświeśla się aż po linię widnokrzęgu. Czerwone cegły szkoły, szkolne podwórko, nauczyciel Lewandowski, nasz przydomowy murek, na który wspinałem się, żeby z niego dojrzeć maleńką Tereskę. Tam ciągle szeleszczą liście topoli, brzoź i wierzb. Ich pnie od północnej strony dostrzegalnie pokryte są cienką warstewką zielonego mchu. W górę i w dół, po szorstkiej korze wędrują mrówki.

Dziecięce moje oczy to widzą. Drzewa sosen i przydrożnych akacji rosną, te same drzewa dzisiaj. Ani kiedyś, ani dzisiaj nie rosną tylko dla szelestu i opadania liści. Tkwi w nich, mogąca zadziwiać, tajemnicza zdolność wzbudzania poezji. A także miłości. Każdym listkiem, jego barwą, żyłkami oglądanymi pod światło, drzeniem, szelestem i odbiciem w wodzie czynią swoją wysoką powinność. I przekonuje się o tym każdy, kto potrafi i chce z jakiegoś powodu to dostrzec. Tu, gdzie najciszej syczy się smuga światła, między tymi drzewami, domami, bocianim gniazdem, łąką i stawem najlepsze dla poezji siedlisko. Trzeba tylko głowę oprzeć o nieboskłon, a rękami dotknąć soli ziemi. Bez tej filozofii, obecnej od narodzin aż do śmierci, rozproszonej w powietrzu, którym każdy oddycha, nic nie byłoby możliwe. Ani fermentacja owoców w butli, ani jesienne wykopki. Lub pisanie kredą na drzewiach. Ani wieczorem klęczenie przed obrazem. Wiejskie, twarde życie, ciężkie jak topór drwala, życie bez elektryczności, radia, motoru i telefonu. Spękana od upału glina. Woda w studni zimna i czysta jak kryształ, ręce w polu spracowane. Pokaleczone. Ciała głodne odpoczynku. Drogą żelazną, dwa razy dziennie przetacza się czarna, smolista lokomotywa z dwoma, trzema wagonami, a w oknach figurki ludzi. I ja jak figurka stoję na łące. Z respektem patrzę, a raczej gapię się, na ten ciężki dziw techniki, co się właśnie po żelaznej drodze przetacza. I mimowolnie wywołuje we mnie jakieś myśli i marzenia. Te same marzenia dzisiaj. Te same niespełnienia. Tak jak wtedy zastanawiam się, co miałyby się zdarzyć i mnie nasycić. Mocny gwizd lokomotywy słychać z bardzo daleka. Stąd wiadomo, która już jest godzina. Ludziom pora powoli kończyć polne zajęcia. Otrzeć czoło z potu i kurzu. Ręce bolą robić, nogi bolą chodzić. Jak przed wiekami na Szymonowickim polu. Proza pracy, pielęgnacja upraw, czytanie czarnej ziemi, wrywanie perzu, lebiody i ostów, musi zostać przerwane. Noc coraz bliżej. Serce, mięśnie i ścięgna odpoczną. W niżową pogodę dym po polach, po łąkach się wali. Na chwilę pochtania pasące się krowy, cepigi i orzące ziemię, i mnie.

Mija jeden taki dość chłodny, powszedni, wiosenny dzień. Ile mam wtedy lat? Ojciec wiezie mnie ubranego w biały sweterek na rowerze, usadowiwszy w wiklinowym koszyku, do przychodni lekarskiej w pobliskiej Kopanicy na jakieś obowiązkowe szczepienie. Wiem o tym. A ja się panicznie

boję ukłucia lekarskiej igły. Wchodzimy do środka. Dużo światła. Ojciec rozebrał mnie ze wszelkiego odzienia i nagusieńkiego, takiego jak mnie Pan Bóg stworzył, od samych drzwi przez całą salkę prowadzi prosto do młodzietkiej pani lekarki. Tupię nieco nieporadnie bosymi stópkami o sosnową podłogę. Prowadzi mnie i czuję, że to mu się podoba, ktoś się uśmiecha i on się uśmiecha. W taki to oryginalny sposób demonstruje publicznie swoją ojcowskość przed całym światem. Łąkowo-leśno-polnej prowadnienicy światem. Niewielki krąg, kilka domów, stodoły i obór. Taka była jego fantazja i ekstrawagancja. Od płaczu i wrzasku dzieci aż tłoczno. Duszno. Pani lekarka też uśmiecha się i stara oddziaływać na mnie łagodząco. Może nawet czule popatrzyła na mojego ptaszka. Potem, po zastrzyku, szybko wracamy do domu, gdyż na ojca czekają rzemieślnicze obowiązki. Jedziemy tym samym rowerem. Tą samą drogą. Dość szybko, pośpiesznie. Łańcuch w rowerze trochę przepuszcza, trzeszczy, co słyszę bardzo wyraźnie. Wiatr wieje mi w twarz. Już się niczego nie boję. Jest już po wszystkim. Mijamy domy, zabudowania i stare owocowe drzewa.

W domu obiad czeka w garnkach na piecu, za chwilę matka wszystkich zawoła do stołu. Usiadzimy i będziemy jeść. Nieco w milczeniu. Co było potem, nie bardzo pamiętam. A zarazem pamiętam. Przecież wiem. Jakże inaczej. Takie to wszystko proste i oczywiste. Ojciec w swoim pokoiku obok kuchni zajął się pilnym reperowaniem końskich poszorków, które przynieśli okoliczni gospodarze. Czekają go także ciężkie chomąta ustawione pod ścianą. Wszystko zostawione do naprawy. Widzę jak przełamuje sporta i wkłada do szklanej, poźółkłej już od nikotyny cygarniczki. A ja wtedy mogłem beztrudno powędrować za ogromną, podobną do oceanicznego okrętu, olbrzymią, krytą słomą, drewnianą stodołę, tam odnaleźć swoje piaszczyste miejsca, oglądać młode pokrzywy, żółto rozkwitłe mlecze, delikatne, drobne stokrotki, kępki trawy i inne pojawiające się po ziemi rośliny lub szedłem na łąki, nad rowy, nad stawy szukać moich kaczeńców i gorzko pachnących krzewów w porze ich kwitnienia. A zwłaszcza wysokich bazi, do których trafić mi trudno. Bo poukrywane w mało dostępnych, bagiennych, błotnych miejscach. Zjadłem obiad i czym prędzej tam pobiegłem. Byleby tylko znaleźć się jak najszybciej w swoim dziecięcym żywiole, królestwie, poza zasięgiem domu. Wyswobodzić się na kilka chwil

i samodzielnie zdobywać świat. Móc dziecięco robić cokolwiek, chodzić i czegoś szukać po swojemu, wedle kierującej mną ciekawości i mojego widzimisię. Wyłącznie dziecięco. Aż trudno uwierzyć, że tyle w tym małym chłopcu wtedy było.

Jak to już dawno. Drogi przebiegnięte, tęcze ujrzane, wesela i pogrzeby, nad stawem w środku lata grała orkiestra, kobiety i mężczyźni tańczyli na ludowej zabawie, jednego dnia smutek, drugiego radość, butelki taniego wina pojawiały się w rękach, gdzieś znikali z nimi chłopcy, chleby zjedzone, pot i tzy wylane w piach, los pisany jeden i ten sam. Nikogo nie ma, choć wszyscy żyli. Garnęli się ze wszystkich sił do codziennych obowiązków. Dorosli mężczyźni dźwigali worki ze zbożem, kobiety w polu pośpiesznie wiązały ciężkie snopy żyta w skwarze, by nadążyć na swoim odcinku przed zbliżającą się z terkotem konną kosiarką. Zdarzały się kobiet omdlenia raz po raz. Kładziono je w cieniu na trawistej miedzy, wśród maków i chabrów. Czerwieni i niebieskości. Przykładano wilgotny ręcznik do czoła, owiewano chustkami.

Cały świat był niesiony na plecach i w rękach. Cały tamten świat. Wieś tętniła, dźwięczała. Unosił się kurz piaszczystej drogi. Wznęcały go idące na pastwisko lub z pastwiska stada krów Sikucińskiego, Franca, Brudły, Wawrzynowicza, Bielawskiego albo Masznera lub jakiś konny wóz jadący szybko. Bardzo to odczuwałem i chciałem odczuwać, zaciekawiało mnie, tak, to rozróżnione dzianie się wiejskiego, gospodarskiego rytmu, obecnego także we wznoszącym się kurzu, w pyle i głosach pokrzykujących, dziecięcych pasterzy. Zanurzałem się bezgranicznie w tej symfonii dźwięków i głosów, zapachów oraz szczekaniu psów z różnych stron. Czasami mocno, wysoko zaśpiewał ptak. Wiosną lub latem, gdy widzialnie i słyszalnie coś w powietrzu snuło się, bzycało, wirowało, właśnie tu, zielonymi ścieżkami swobodnie mógłby na jaromierskie lub kopanickie łąki i pola przechadzać się w swoim księżowskim fraku mistrz Vivaldi. Odnajdując wokoło swoje ulubione nuty, niczym nie naruszone, radosne, delikatne, sennie, ciche, nie porzucone, nie zapomniane, nawet nie zżółkłe, choć je już dawno, przed wiekami usłyszał i napisał. A one nadal tak wdzięcznie się wyśpiewują. Także jakby mieniły się barwami i zapachami. Mógłby się dzisiaj upewnić, że w jego Muzyce nic a nic katastrofalnego, mimo tylu człowieczych klęsk, nie zaszło. Gdziekolwiek by nie

zechciał przyłożyć swoje ucho, podnosi się śpiew. Najwyczejniej trwało i trwa boskie continuum. Taka to była muzyka i najprzeróżniejsi łąkowi, leśni muzycy oraz śpiewacy swoim wykonawstwem dawali tu znać o sobie. Niewidoczni, bo ukryci w zbożu, w trawie, wśród liści lip, klonów, akacji. Gdzieś w powietrzu. Na szczycie powietrza skowronki głośiły Panu chwałę. Niedostrzegalny, nieznan, może ukryty w pniu starego drzewa, w ptasiej dziupli, przybierający postać jaskółki albo kształt ważki, dziwnym sposobem wędrującej przez świat, unoszącej się na swoich przejrzystych skrzydełkach, tak, niedostrzegalny był ów kompozytor, który może obyc się bez pięciolinii. Kimże on musi być, skoro rozpisuje swoją muzykę także na liniach niewidzialnych. Które są wszędzie. Rozpisuje, co tylko chce i jak mu się podoba. Swobodnie. Trwa. On jedyny. Na wszystkich liniach jest obecny i dlatego istnieje świat. I tylko nikt nie wie jak to możliwe, bo rzecz po ludzku nie do wyobrażenia. Po ludzku niemożliwa. Albo te wszystkie zapachy, obrazy, smaki i rozliczne dźwięki podnosiły się ku niebu same, same się stwarzały, bez zamysłu jakiegokolwiek tajemniczego kompozytora, który by ich istnienie swoimi zakłębiami wszczynał. I cała ta wielka muzyka ziemi i nieba powstawała sama z siebie. I ciągle powstaje. Kto to ma wiedzieć. Wtedy nie myślałem o tym. Teraz, po latach niepokój i dylemat, jaką dać odpowiedź o życiu i śmierci. Przy stole nad pustą kartką. Tamten zapach siana przypomina mi o śmierci, z której nikt nigdy nie wraca. Umarły chłopiec, co go w czasie sianokosów pochłoneła woda, gdy spocony w nią skoczył, i długo musieli szukać go w tej wodzie, jest już tylko umarły. Choć on dopiero z dziecięcych lat. Jasna na główce czupryna. Położony na trawie, a nad nim płacz. I tylko płacz. I już nic innego. Obłoki jak nie obłoki. Żadnej odmiany w sinych wargach, wszystko już ostatecznie wypisane. Stracone. Ciało chłopca zanieśli zbolątej matce.

W środku lata, w cieniu, siedzieli tu i ówdzie, na sennych ławeczkach, w przydomowych ogródkach, w altankach gęsto oplecionych winoroślą, chowając swe trzęsące się głowy przed słonecznym skwarem, starzy, bezsilni, zmęczeni ludzie, już głusi, ślepi, zniedołężniali i wysuszeni, w oczekiwaniu na śmierć albo łyżkę strawy, wyszeptujący najciszej jak tylko to możliwe modlitwy, by ich odejście było lekkie i uciśzone w powiewie wiatru. Już dostatecznie objęte i oswojone z roku na rok utrwalającą się zgodą na

śmierć, a nawet śmierci pragnieniem. Przemykało przeze mnie raz po raz coś w rodzaju dziecięcego współczucia. Patrzyłem na nich przez szczeliny między zmurszałymi sztchetami w płocie. Przykucałem sprytnie. Tak by nie być przez gospodarzy dostrzeżonym. Zaciekawiali mnie ci starcy swoim nieco dziwnym wyglądem. Nieustannym, głośnym gadaniem w samotności do samych siebie. Chwilami jakby samemu Stwórcy powierzali swoje życiowe sekrety, żale, przewiny i prawdy. Niekiedy także czynili wymówki i pretensje z powodu krzywd doznanych i niesprawiedliwości losu, a nawet o coś bardzo prozaicznego z kimś zdawali się toczyć spór. Zapewne miewali nadzieję, że jeszcze uda im się jakieś życiowe ustalenia wytargować lub wyzbyć się złej pamięci, grzechów, bólu i zadry, która przez lata tkwiła w nich, nigdy nie wyrzucona z serca, nikomu nie odkryta, nawet zatajona na spowiedzi. Mogłem długo tak na nich patrzeć i wysłuchiwać ich głosów oraz pojękiwania z bólu. Twarze wychudzone, kościste, blade, oczy zapadłe, biały zarost widoczny z daleka. Byli jak prastowiańscy mędrzy, wizjonerzy i prorocy, co oglądali swoimi oczami całe życie, niebo i ziemię, ale nikt ich bezgranicznie osłabłych o mądrość już nie pytał. Przychodziła wreszcie na nich spodziewana, oczekiwana pora, godzina, ostatnia godzina, dotykalna ostateczność, przychodziła niezauważalnie, by prawdziwie mogli odpocząć po całym życiu, gdy ono już niczego w tym śnie nie było w stanie z siebie objawić. Nie działo się nic nowego. Znany im dokładnie, od samej podszewki, repertuar smaków, porywów wiatru, festiwal barw, zapachów, roślin, ptasiego śpiewania, swoimi racjami i rewelacjami dla nich się wyczerpał. Wzmagał już komuś innemu bicie serca. Młodym, ostentacyjnie śmiejącym się, silnym. Chcącym przejść tę samą drogę, co oni, do samego końca. To oni teraz prawomocnie wszystkiemu naokoło nadawali ton. Wykarmieni, wyrośnięci i zaprawieni w podejmowaniu ciężkich, codziennych zadań. Intensywnie, żarliwie doglądali swego świata, zanurzali się w nim bez reszty, w pocie czoła. Jedli swoją sól. Jedni zastępowali drugich. Młodzi stawali dokładnie w tych samych miejscach, na miedzy, pod gruszą, na ścieżkach, za pługami, w chlewie, na podwórzu, przy studni, wiadrami czerpali z niej wodę, poili krowy, konie, wypowiadali te same słowa modlitw i trosk, gdy zjawiała się burza i spadał grad, te same spojrzenia wiedli po polu, ten sam ruch ręki towarzyszył pozdrowieniom, nic się nie

kończyło, mimo że ktoś umierał. Trwało continuum. Młodzi urządzali z zapalem po swojemu świat rzeczy małych i wielkich. Począwszy od uporządkowania zawartości starych szuflad, kredensów, szaf z wyjściowymi ubraniami, ustalenia koloru ścian, a skończywszy na nadawaniu imion domowym zwierzętom oraz powoływaniu do życia swoich dzieci. Latem w pokojach zacienionych półprzejrzystymi zasłonami niemal niezauważalnie dyszały ostatnie oddechy zapomnianych, starych ludzi, ostatnie sekundy mierzył zegar.

W sadach narastał zapach jabłek w coraz intensywniejszej czerwieni. Na trawie usiadł motyl i falował skrzydłami, w kwiecie koniczyny miododajne miejsce znalazła pszczoła. Rzeczy i losy, jedno w drugim zanurzone. Chodziło właśnie o to tylko, by nie było inaczej w żadnym, kolejnym dniu. Nawet we śnie, by nie było inaczej. Od rana Jaromierz wypełniał się mową ludzi i zwierząt. Najwyraźniejszy, mocny i piękny był dźwięk u kowala. Już od wczesnych godzin dnia stukał swoim młotkiem o żelazo na kowadle. Konie przyprowadzone tu do podkucia podnosiły swoje kopyta. Parskały głośno. Zachowywały się niecierpliwie. W wiosenne wieczory szliśmy przed kapliczkę śpiewać naszej Pani majowe pieśni pochwalne, doliny zielone. Zaś w długie, zimowe wieczory po kolei chodziliśmy po sąsiedzku, jak swój do swego, od domu do domu, popatrzeć po bratersku w oczy, ucisnąć dłonie. Pogadać. Dowiedzieć się, co na świecie. Jaki chłopak z jaką dziewczyną będą się pobierać. Rozmawiało się o codziennych zdarzeniach, zwyczajnych losach ludzi i polnych upraw, przy darciu pierza, przy sypaniu maku. O tym, co się udało i nie udało. Czasami kobiety wśród nocnej ciszy zaśpiewały, zawsze zaśpiewały, pocieszały się wzajemnie, dawały sobie rady, odmówiły modlitwę, litanię za chorych, za zmarłych, tych niedawnych, jeszcze pamiętanych, to znów ktoś opowiedział jakąś historię mrozącą krew w żyłach, wymyśloną lub prawdziwą, lub tylko zaślyszaną opowieść albo po prostu bajkę, ale opowiedział. Czasami jakaś z kobiet opłakiwała swój los. Lubiłem się wsłuchiwać w tę pierwszą literaturę. Legendę. W środku nocy pojawiał się na stole smakowity poczęstunek chleba z masłem i wątrobianką. Dlatego też chciałem zabierać się z mamą na takie długie wieczory dziwności i tajemnic. Mimo że potem najczęściej nagle kleiły mi się powieki i zasypiałem na twardej, drewnianej ławce. Upierałem się jednak, by ciągle do kogoś iść. Zawsze coś się

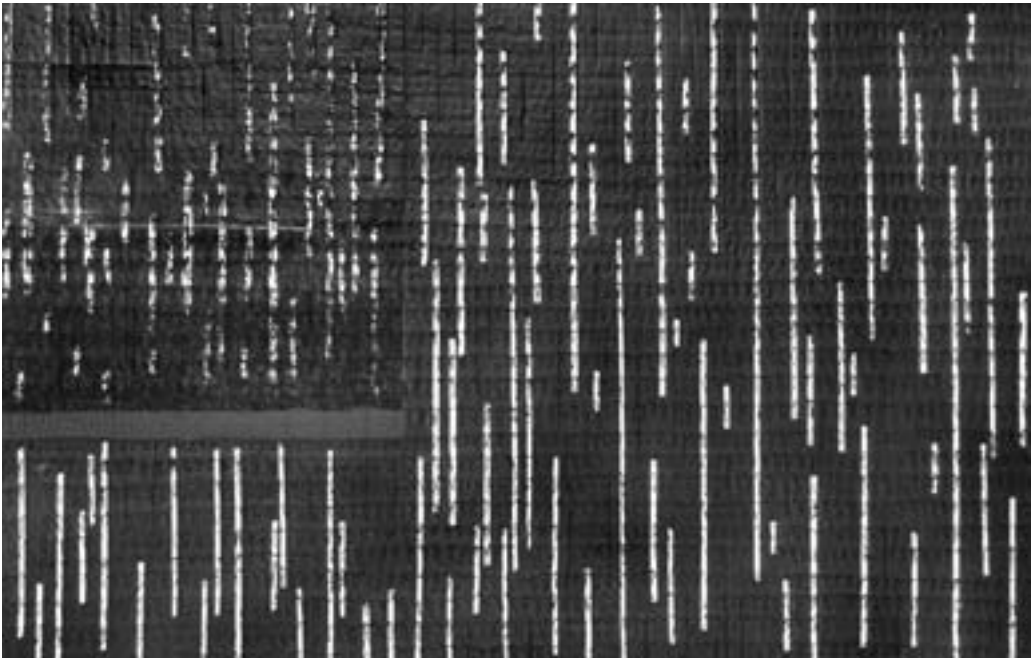


działo, a ja byłem spragniony wrażeń nocnej wyprawy, a zwłaszcza tej aury płynącej z subtelnych, czasami przyciszonych głosów kobiet.

Śniło się i ciągle śni dzieciństwo w dzieciństwie. Jego błogość i anielskość. Jego światło nie takie mocne, idące od naftowej lampy. Matka i ojciec siedzący przy stole. Zamyśleni tacy. Patrzyłem na nich. Ten czas i nie czas, od którego zaczyna się Księga. Na jej początku, na pierwszej stronie, była napisana najważniejsza litera „A”. To ja pojawiłem się w jej wnętrzu ze swoim krzykiem. Mama rodziła mnie w majowe, pełne słońca południe, gdy dzwon uderzał na kościelnej wieży, wołając ludzi na mszę.

W małej wiosce Jaromierz śni się sen, ja w nim byłem i jestem. Już inny i ciągle ten sam. Teraz czytanie tamtych piaszczystych ścieżek, które poznałem bosymi stopami, także łąk przebieganie, zwłaszcza bieganie w ciepłych kałużach po burzy, gdy tęcza intensywnie świeci w powietrzu, kuka kukułka i ktoś komuś mówi o miłości, teraz delikatny zapach kwitnącego żyta, ach, zapach żółtych śliwek idący od sadu Masznera, jedyny w swoim rodzaju, i cudowny nie do opisanie zapach lip, bżów, akacji, całego świata zapach, teraz przypominane imiona dziewcząt, kosmyki ich włosów, ich śmiechy zalotne,

imię małej, jednej, na zawsze jedynej, delikatnej, nieśmiałej Tereski, tak małej jak ja wtedy, nagiej, bo rozebranej w brzozowym lasku. Na jej białe ciało i biały łonowy wzgórek, na nią całą ułożoną na miękkim mchu, dziecięco, zaciekawiony bez reszty swoim odkryciem patrzyłem, przytulając głowę do jej ciepłych rąk i kolan, tak, teraz zasmuca mnie widok opustoszałej kuźni, wszystko w niej umarłe, głuche, nikogo nie ma, nie czekają konie do podkucia, staw zaciągnięty zieloną rzęsą, kaszą pożywną dla kaczek, staw nad którym w gorące niedzielne popołudnia tańczono, śpiewano, pachniała oranżada i kiełbasa, czasem nieopodal w wysokiej trawie jakiś chłopak kochał się z dziewczyną, a później wracali i tańczyli mocno przytuleni, zapatrzeni w siebie, to wszystko przyprawia mnie o ból. Całość prześwietlona światłem słońca, słońcem samym, porankami, zapachami, głosami. Wszystko w czułości istnienia. W nieogarnionej nostalgii. I nic już na to, żadna rozmowa, modlitwa ani bezsenna noc. Tak. Ani skarga, ani prośba, ani łzy. Tam w porze lata ciągle blade-żółto na pustkowiu jałowej ziemi, wysuszonej skwarnym słońcem, kwitną wysokie piołuny, o których wtedy nic a nic nie wiedziałem. Zwłaszcza o tym, że kiedyś będą tak bardzo ważne.



## PERSONIFIKACJE

### Namiętność

Ubiera się zbyt czerwono  
i używa za mocnych perfum  
atakuję z zaskoczenia  
najczęściej nocą  
ale może być też przy obiedzie  
i zostawia pod poduszką  
pachnące apaszki

### Miłość

Nie wygląda olśniewająco  
i daleko jej do gwiazdy porno  
Kiedy widziałam ją ostatni raz  
miała na sobie prostą  
czerwoną sukienkę  
– ten kolor to jedyna jej słabość

Zdziwiły mnie  
jej kruczoczarne włosy  
Wstydliwie chowała w rękawach  
obgryzione paznokcie...

Mimo podeszłego wieku  
wciąż wygląda  
jak młoda dziewczyna

### **Zła miłość**

Zła miłość chodzi za mną i szepcze  
że wszystko inne jest lepsze  
Zła miłość mieszka  
w moim czarnym swetrze  
w każdej filiżance  
niewypitej gorzkiej kawy  
Zła miłość ubiera się  
w moje bezpieczeństwo  
i niełatwo ją zabić  
– lubi piękne kobiety

### **Moralność**

Z początku jej nie poznałam  
– wyzywająco uszmkowane usta  
zapach drogich perfum  
cygaretki w dłoni  
Rozsiadła się w moim fotelu  
ukazując  
całkiem zgrabne uda  
poprosiła o mocną kawę  
Uczucia  
porozstawiane na półkach  
potraktowała przedmiotowo  
wyśmiała moje poglądy

Inaczej wyobrażałam sobie  
moralność

## Polskie wesele przed transformacją

Arkadiusz zaprosił mnie na swoje wesele. Ożenił się ze swą polską koleżanką, Dorotą. Pojechałam więc z prezentami do jego mieszkania w głębokim Kreuzbergu w Zachodnim Berlinie. Byłam w świetnym nastroju, albowiem towarzystwo Arkadiusza było wesołe, poza tym znany był on jako posiadacz ślicznej pupy. Przyjemnością było oglądanie go w obcisłych dzinsach. Arkadiusz pracował jako barman w jakiejś knajpie. Po ślubie z Dorotą, która też usiłowała uciec od losu pomywaczki, mieli nadzieję otworzyć własny lokal i podawać tam polskie potrawy. Gdy dotarłam do ich mieszkania, dość spóźniona, panował tam kryzysowy nastrój.

– Dlaczego jesteście tacy dziwni? Normalnie przecież świetnie się bawimy na naszych zabawach – zapytałam znajomego, polskiego studenta politelni.

– Bo była narzeczona Arkadiusza, Belgijka polskiego pochodzenia, przysłała mu właśnie za pośrednictwem gońca fotokopię swego belgijskiego paszportu – odezwał się ktoś obok.

– Po co?

– Miała to być aluzja, że chodził z nią tylko dlatego, żeby ożenić się z zachodnim paszportem, a więc usiłował ją wykorzystać. Uważa, że Arkadiusz porzucił ją dla Doroty, ponieważ otrzymał pozwolenie na stały pobyt w Niemczech. – Na moje zdumione spojrzenie dodał – Z kolei Dorota czuje się obrażona przez interwencję byłej narzeczonej męża podczas swego wesela i obwinia za to także jego. Więc teraz nowo poślubieni małżonkowie się

## Polnische hochzeit vor der „Wendezeit“

Arkadi hat mich zu seiner Hochzeitsparty eingeladen. Er hat seine polnische Kollegin Dorota geheiratet. Ich ging mit einem Geschenk und mit viel Freude in die Kreuzberger Wohnung, denn die Gesellschaft von Arkadi war lustig. Er war als Besitzer eines sehr hübschen Popos bekannt. Es war ein Genuß, ihn in seinen engen Jeans anzuschauen. Er arbeitete als Barmann in einer Kneipe in Kreuzberg. Nach der Heirat mit Dorota, die auch ihrem Tellerwäscherinschicksal entkommen wollte, hoffte er, die Kneipe zu übernehmen und dort einige typisch polnische Gerichte einzuführen. Als ich ziemlich verspätet in seiner Wohnung voller Gäste eintraf, herrschte dort eine Krisenstimmung.

„Wieso seid ihr alle so komisch? Sonst amüsieren wir uns doch so gut auf unseren Festen“, fragte ich einen polnischen Bekannten, der in Berlin an der Polytechnischen Hochschule studierte.

„Die Ex-Freundin von Arkadi, eine Belgierin polnischer Herkunft, hat gerade durch einen Gesandten eine Fotokopie ihres belgischen Passes an ihn geschickt“, erklärte jemand.

„Wozu?“

„Es soll eine Andeutung sein, daß er mit ihr nur eine Liebsaffäre hatte, weil er einen westlichen Paß heiraten wollte. Sie fühlt sich mißbraucht. Sie meint, nachdem er seine Aufenthaltserlaubnis in Deutschland bekommen hat, hat er sie für Dorota verlassen. Dorota fühlt sich wiederum durch das Eingreifen der Ex-Freundin während ihrer Hochzeit beleidigt und gibt die Schuld auch Arkadi. Jetzt stre-

okrutnie kłóćą, a my pod słuchujemy – przyznał bez żenady mój rozmówca.

W tym momencie Dorota i Arkadiusz wtargnęli do pokoju.

Dorota zakrzyknęła:

– Chcę rozwód, natychmiast! – i próbowała bezskutecznie ściągnąć z palca osadzoną na nim solidnie nową obrączkę. Potem uciekła z pokoju, a Arkadiusz pognął za nią.

Teraz do salonu wkroczył ich przyjaciel Jakub – „złota rączka”, który potrafił wykonać wszelkie prace rzemieślnicze.

Rozejrzał się dookoła i zakrzyknął:

– Scheiße, Scheiße, jak można się tak zachowywać?

Następnie złapał wielki fotel, podniósł go do góry i rzucił nim w ścianę. Fotel rozleciał się, a zrozpaczony Jakub wybiegł z pokoju. Z czasem atmosfera się uspokoiła. Niemiecka dziewczyna, siedząca koło mnie, wyraziła nagle swe oburzenie, że jakiś nieznajomy facet poprosił ją do tańca. Tylko dlatego że on jest mężczyzną, a ona kobietą! Ponieważ był on też Niemcem, ze sprawy nie rozwinął się konflikt narodowościowy. Inaczej musiałabym tłumaczyć dziewczynie, że w Polsce takie bezczelne propozycje są we wspólnym towarzystwie na porządku dziennym. A tak mogłam z zakłamaniem potępiać wraz z nią tego macho – co taki typ sobie wyobraża! Tańczyć z nim tylko dlatego, że jest facetem i przypadkiem są wspólnie na weselu! W międzyczasie Jakub wrócił do salonu i rozpoczął ożywioną konwersację w kącie swym słabiutkim niemieckim.

Dobiegły mnie strzępy rozmowy i usłyszałam, jak Jakub wyjaśniał jakiemuś zdumionemu Niemcowi:

– Ich bin Anti-Jude (Ja jestem anty-Żydem)!

Jego rozmówca spojrzał na niego bezradnie. Podeszłam do nich i zapytałam:

– Czy mogę pomóc? Co masz na myśli? Czy chcesz powiedzieć, że jesteś antychrystem?

– Wręcz przeciwnie, chce powiedzieć, że nie cierpię Żydów.

– On chce powiedzieć, że jest antysemitą – wytłumaczyłam zdezorientowanemu Niemcowi.

– I jesteś z tego dumny? – zwróciłam się znów do Jakuba. – Czy znasz wielu Żydów?

– Nie znam żadnego, ale wiele o nich słyszałem – odparł Jakub.

Nie miałam tego wieczora ochoty na pryncypialne dyskusje. Moje nerwy były wystarczająco

iten die Neuvermählten furchtbar und wir lauschen“, gab er ungeniert zu.

In dem Augenblick platzten Dorota und Arkadiusz ins Gästezimmer.

Dorota schrie: „Ich will die Scheidung, sofort“, und versuchte ohne Erfolg ihren offenbar ganz fest sitzenden Ehering vom Finger runter zu reißen. Dann lief sie weg. Arkadiusz rannte ihr nach.

Ins Zimmer kam jetzt ihr Freund Jakub, das „goldene Händchen“, das alles Handwerkliche machen konnte. Er schaute sich um und schrie: „Scheiße, Scheiße, wie kann man sich nur so benehmen!!!“ Dann nahm er einen riesigen Sessel hoch und warf ihn gegen die Wand. Der Sessel zerfiel und Jakub rannte verzweifelt aus dem Zimmer. Mit der Zeit beruhigte sich die Atmosphäre.

Eine deutsche Frau, die neben mir saß, beklagte sich, daß ein unbekannter Mann sie zum Tanzen aufgefordert hatte. Nur weil er ein Mann ist und sie eine Frau! Da der Kerl auch ein Deutscher war, wurde die Affäre nicht auf das Niveau der Nationalitäten übertragen. Sonst müßte ich ihr erklären, daß bei Polen solche plumpen Vorschläge üblich waren. Aber so konnte ich ihre Empörung darüber teilen, was dieser Typ sich einbildete – sie sollte mit ihm tanzen, nur weil er ein Mann ist! Ich sah, daß Jakub inzwischen zurückgekommen war und in der Ecke lebhaftes Gespräch in seinem schwachen Deutsch führte. Die Gesprächsfetzen drangen zu mir und ich hörte, wie Jakub dem erstaunten Deutschen erklärte: „Ich bin ein Anti-Jude.“

Sein Gesprächspartner schaute ihn ratlos an.

Ich ging zu ihnen und fragte: „Vielleicht kann ich helfen. Was meinst du – willst du sagen, daß du ein Antichrist bist?“

„Nein, ganz im Gegenteil, ich will sagen, daß ich die Juden nicht leiden kann.“

„Er will sagen, daß er ein Antisemit sei“, erklärte ich dem verwirrten Deutschen.

Dann fragte ich Jakub: „Kennst du wenigstens irgendwelche Juden?“

„Nein, aber ich habe viel von ihnen gehört.“

Ich hatte keine Lust auf prinzipielle Diskussionen an diesem Abend. Meine Nerven waren schon durch die bevorstehende Scheidung meiner Freunde strapaziert. Ich ging in die Küche, wo sich, wie immer, die Mehrheit der polnischen Gäste versammelte. Es roch nach Bigos, einer altpolnischen Jägerspeise – einer Mischung aus Sauerkraut, Weißkohl, Fleisch, Wurst

zszarpane przez nadchodzący rozwój Arkadiusza i Doroty. Poszłam do kuchni, gdzie jak zwykle zebrała się większość polskiego towarzystwa. Pachniało bigosem, a z adaptera dochodziły dźwięki starych polskich szlagierów i patriotycznych pieśni legionowych. Wódka lała się szczerze. Wszyscy byli już w szampańskich humorach. Po pierwsze, rozweselił ich widok jednego z gości odprężającego się w wannie pełnej zimnej wody, gdzie trzymano liczne przyniesione w prezencie kwiaty. Po drugie, jak się dowiedziałam, rozwój został na razie odwołany na czas nieokreślony.

und Steinpilzen. Wodka floß reichlich. Vom Plattenspieler kamen die Klänge verflossener polnischer Schlager und patriotischer Lieder. Alle waren schon recht fröhlich. Zum einen waren sie durch den Anblick eines Gastes, des Verkäufers Bonifacy, erheitert, der sich in der Badewanne, unter zahlreichen, dort im kalten Wasser schwimmenden Blumensträußen, entspannte. Zum anderen wurde, wie ich erfuhr, die Scheidung erstmal auf unbestimmte Zeit verschoben.

**Übersetzung vom Autor**



### **We mnie**

Biegną we mnie drogi, kręte ścieżki, miedze  
po których chodziłem w czterech porach roku  
przez roztopy, upały, burze i ulewy  
przez śnieżyce i wiatry wśród otwartych pól

Płyną we mnie strumienie w których brodziłem  
żeby wydobyć srebro w łuskach ryb  
by ugasić pragnienie nieco się ochłodzić  
w wysokim słońcu lata były mi jak cień

Są we mnie twarze ludzi których napotkałem  
na szlakach kolejowych, rondach, skrzyżowaniach  
w czasie górskich wędrówek, na dworcach, w muzeach  
w bibliotekach, klubach, różnej maści lokalach  
gdzie czasami bywało grałem do kotleta  
tak trochę dla grosza a więcej dla Sztuki

Są we mnie twarze ludzi których napotkałem  
w ciągach miast, wiosek i osiedli  
i w leśnych osadach hen w odległej głuszy  
zdarzenia, przemyślenia,  
trwają dopóki słuch i wzrok nie myli  
i pamięta...  
Pamięć

**Zapytaj czasu swego**

Po stokroć chłostany i ponizany  
obśmiewany z powodu i bez  
skazany na banicję  
przemilczenie  
oszukany i zdradzony  
zastraszany  
i odtrącany  
przez wieki  
jako i my  
kość z kości  
krew z krwi

Czy potrzebna jest nowa wrzawa  
i wściekłość  
tłumu...?

by zrozumieć wyciągniętą  
w człowieczym geście  
umęczoną dłoń

Jutro możesz nim być  
ty  
i każdy  
z nas

Wznies się ponad

Zadaj sobie pytanie  
i przemyśl w ciszy  
wieczoru

Póki  
toczą się dni

Zapytaj czasu swego  
który  
jeszcze jest



# Redrum

W Krzyżu o tej porze jest już dość chłodno, na szczęście jest to chłód z tych przyjemnych kwietniowych chłodów dających dziwne uspokojenie i ukojenie, poczucie lekkości, które dają też pierwsza spowiedź i kąpiel w morzu – najlepiej o podobnej, zaciemniającej się porze, około ósmej wieczorem. Delikatny szum i nieznający się ludzie, którzy tu, właśnie w tym miejscu niespodziewanie są razem i zaraz znowu będą gdzieś zupełnie osobno. Ale na razie są tu razem i tłoczą się na dworcu jak ja.

– Mamy jeszcze całą godzinę, panie Karolu – powiedział dziwnie znajomy głos.

– Tak, całą piękną, spokojną godzinę – odparłem sam sobie i poszedłem po fajki. Fajki zawsze kończą się w podróży, gdzie by człowiek nie jechał, zawsze musi wyskoczyć do jakiegoś przydworcowego kiosku, choćby pociąg miał w tym czasie odjechać z całym bagażem, a choćby z psem, kotem albo własną żoną. Na szczęście pies ze mną nie jeździ, kota i żony brak, a ja pięknie czekam na dworcu, więc kiosk nie był tym razem walką o powodzenie podróży, a nawet pozwalał, jak to się strasznie mówi, zabić czas, a w każdym razie jego kawałek.

– No to co? Zapalimy?

– Zapalimy.

Pięknie się pali z bagażem na plecach w ciepły wieczór z perspektywą całonocnej podróży, wszak do Krakowa jedzie się długo, a właściwie nie długo, a stanowczo zbyt długo. Ale że chociaż nocą, to dobrze, to bardzo dobrze.

– Panie, a pan to co, Duch Święty? – usłyszałem zza rogu, nie widząc jeszcze postaci, jakby ktoś mówił właśnie do mnie, nie wiedząc jeszcze, że tu jestem.

– Czasem jak duch, oj, czasem jak duch, ale dlaczego święty? – odparłem do właściciela postaci, lekko już wynurzony powolnym krokiem zza budynku dworca, co gorsza, nieco odblaskowej, ni to policyjnej, ni chroniącej koleje.

– Tu się nie pali, nie widzisz pan tabliczki?

– Aj, widzę, teraz widzę, ale ona musi być dość młoda, nigdy jej tu nie było – próbowałem się ratować – a właściwie z jakiej pan firmy?

– Panie, młoda, nie młoda. Jak pan weźmie za młodą babę, to jeszcze gorzej pan na tym wyjdiesz, więc tak czy inaczej będzie mandacik – uśmiechnął się delikatnie, ale przyjaźnie.

– Więc może honoruje pan zniżki studenckie? Albo tułaczę? Czy jakiegokolwiek inne?

– Honoruję poczucie humoru, jako że obaj mamy dziś widzę dobre samopoczucie, papierosik będzie kosztował pięćdziesiąt złotych – wyduślił powoli i spojrzał badawczo, jakby chciał zapytać, czy to dużo dla mnie, czy mało. – No, cóż ja mogę, można od ręki? – Można, trzeba było tak od razu, to bym papierka nie wypisywał.

– Ach, można było... Więc gdzie mogę tu zapalić bez dodatkowych opłat? – znowu lekko się uśmiechnąłem.

– Tam, tam przy toaletach – rzucił na odchodne, zabierając niebieski papierek.

Dobrze, że przy toaletach chociaż, to w końcu jeden z kluczowych reliktyw każdego dworca, więc i zapalić można, i skorzystać prawie od razu, zapłaciwszy wcześniej obowiązkowe dwa złote tej samej co zwykłe kobiecie w średnim wieku. Ale to już przelotna rzecz, ostatni dymek, szybka wizyta w toalecie i na peron. Na peron trzeba powoli pędzić, jak to mówią niektórzy. Więc pędzę.

Pociąg przyjechał ze zwyczajowym opóźnieniem piętnastu minut. Zawsze mnie zastanawiało, czy gdyby w końcu przestawić planowany przyjazd pociągu o te piętnaście minut, czy spóźniłby się o kolejny kwadrans, czy przyjechałby na czas. Teraz to bez znaczenia. Wszedłem do trzeciego wagonu, znalazłem pusty przedział, tak, puste przedziały mają w sobie coś wyjątkowego, jakby nikt ich nie chciał, jakby nikt nie chciał usiąść właśnie tu, a siedzi się w przedziałach przed nim i po nim, teraz i w tym się siedzi, włącza się światło i bierze do ręki książkę. Nie byle jaką książkę, byle jaka nie nadaje się na podróż, zwłaszcza pociągową, nocną, zwłaszcza, kiedy noc taka piękna, a pięćdziesiąt złotych poszło, łagodnie mówiąc, na stronę. Więc może to była *Siekierezada*, może *Dzienniki Virginii Wolf*. W każdym razie w pociągu przede wszystkim trzeba umieć czytać, więc czytam partiami, odkładając książkę już po trzydziestu minutach, gdzieś w okolicach Wronek i wklejam twarz w szybę, a uszy w odgłosy pociągu.

Krajobraz jest dość typowy – drapane mury. Dworce, jak domy, powoli umierają bez ludzi. Coraz mniej ludzi, coraz więcej zabudowanych lub wybitych okien, jakby z uczuciem niepotrzebności dopełniały zbiorowe samobójstwa. Między dworcami szelest wczesnego zboża albo późnej wiosny, w każdym razie wiatr. Coraz wcześniej rośnie to zboże, więcej teraz odmian niż rolników, więcej maszyn niż rolników, wszystkiego więcej, tylko ludzie puciekali. No i czarny kot, jakby każdy kot w drodze i na drodze musiał być czarny, ale właśnie chyba jest, bóg jeden wie, skąd się wziął, idzie wzdłuż torów i czeka na pociąg. Nagle hop, między szyny, i tylko zapiszczy, jakby chciał wejść w pamięć, odcisnąć się w wierszu lub piosence wiejskiej. Co można więcej osiągnąć, no co? Ale nawet tego pisku z za stukotu nie słyhać, więc może wcale nie wskoczył, tylko zniknął gdzieś na krawędzi albo jakimś cudem przeżył, a nas jadących czeka teraz pech? Dziwne są te przesady, jakim prawem i z jakiego nadania ten kot miałby mnie, ba, nas wszystkich narażać teraz na nieszczęście? Z samego faktu przecięcia drugi, jak i my jemu przecinamy?

– Bileciki proszę – z lekkim zaśpiewem poinformowała uroczą konduktorka w uroczym konduktorskim odzieniu. Uroczą może nie, na pewno nie z wyglądu, bo tu wręcz przeciwnie, uroczą raczej jak uroczy jest każdy pracownik kolei, który gdzieś przecież mieszka, a jeździ i jeździ, jakby domu nie miał, rodziny, a przecież ma rodzinę jak wszyscy. Jak wszyscy.

– Kiedy będziemy w Poznaniu? – zapytałem ciekawo, ile wolności zostało, ile jeszcze samotności, bo samotność na trasie Gorzów Wielkopolski – Kraków kończy się zawsze najpóźniej właśnie tu, tu i tylko tu.

– Planowo za dziesięć minut – odpowiedziała, nie patrząc nawet na mnie nawet i zamknięta drzwi przedziału.

Planowo, to z pewnością jedno z ważniejszych kolejarskich słów, można stworzyć słownik takich słów, planowość będzie tam z pewnością z różnych względów poza alfabetem. W każdym razie jesteśmy blisko, co zresztą pokazują unoszące się coraz wyżej światła miasta. Istnie oczy bloków. I kiedy oczy rosną, zwalniamy, jeszcze tunel, jeszcze pisk hamulców i już, już wlewa się poznański lud całą Wartą.

– Dzień dobry, wolne? – zapytał, zdjąwszy kapelusz facet ni to młody, ni stary, z wąsem ni to siwym, ni czarnym.

– Dobry wieczór, jasne – odpowiedziałem, spoglądając jak zawsze gdzieś w okolice twarzy, ale niekoniecznie w oczy.

– Masz pan rację, wieczór już, wieczór.

Skinąłem tylko głową twierdząco, bo o ile przez przypadek, zwłaszcza w podróży, można spotkać najciekawszych ludzi, to nie zawsze ma się jednak na to ochotę, zwłaszcza kiedy nie śpi się poprzedniej nocy, co było moim udziałem. Na szczęście gazeta na razie zaspokoila jego chęć rozmowy, która wisiała w powietrzu. I tak obyło się dość szczęśliwie. Poznań rzadko kończy się poniżej czterech osób w przedziale. Nie chcąc prowokować rozmowy, założyłem na uszy słuchawki i znowu spojrzałem za okno, żeby stało się zadość zwyczajowemu rekonesansowi przed końcem dnia, a raczej już po dniu, ale jeszcze przed drzemką. A działo się sporo, zwłaszcza że od ostatniego snu minęło nie osiemnaście godzin, jak to jest zazwyczaj, ale już blisko

czterdzieści. Pomyślałem więc, jaki piękny był wczoraj dzień, a był to jeden z tych dni, kiedy światło zmienia wszystkie kolory na brązy, może poza jaskrawoniebieskim, ciemnym niebem, poza tym było mniej pięknie, ale jeszcze za wcześnie, żeby głębiej myśleć o rozstaniu z kolejną kobietą. Nie ma nic gorszego niż myśli, kiedy emocje jeszcze są w locie, zanim spadną i rozbiją się, a właściwie roztrzaskają o ziemię. Zresztą kłóciliśmy się strasznie przez pół dnia, a jak mówiłem, był to piękny dzień i ona pięknie wyglądała, a nie każdej kobiecie do twarzy w sari koloru ultramaryny. Cóż później – spacer, herbata i przypadkowe wtargnięcie, bo wejście nie może być przypadkowe, na wystawę świetnych czarno-białych zdjęć, nie wiem nawet czyje to zdjęcia, ale czy to ważne? Czy autor w ogóle jest ważny? Ot człowiek, jak każdy, tyle że nie rąbie drzewa, nie pracuje w fabryce, a najwyczejniej robi zdjęcia. Ale jakie zdjęcia! Ach, jakie zdjęcia, szczególnie jedno, przy ścinie drzew właśnie – czarne spocone kroplami wody plecy zginające się, by ręce sięgnęły leżącej na ziemi siekiery. I dlaczego w ogóle siekiera leży na ziemi, skoro plecy spocone, więc człowiek w czasie pracy, a jakiej pracy, skoro drzewa, skoro siekiera, skoro jeszcze widoczne resztki śniegu walczące z silnym, zbyt silnym już dla niego słońcem? Może to dobywanie siekiery to zwyczajnie krótkiej przerwy, ale na co talerz zupy, kanapka, papieros, rozmowa z kompanem, którego rozmazany kontur widać kilka kroków dalej? Nikt, absolutnie nikt z nas nie może tego wiedzieć, nie może wiedzieć dokładnie, co przedstawia ta sztuka w tym konkretnym egzemplarzu, więc czy można nazwać coś sztuką, skoro się tego nie rozumie? I ten podpis pod zdjęciem: „Janek Pradera ścina swoją gałązkę jabłoni”. Jakby ta gałązka była faktycznie jego, może to nie z odpočzynku sięgał po siekiere, a z wahania, czy faktycznie ściąć tę gałązkę, skoro daje mi powietrze, skoro pójdzie na opał, meble albo kartkę papieru? Moja gałązka, ta, która zależy ode mnie i od której zależę, czy dać ją na tę kartkę, na której przecież nie ja będę pisał? A może właśnie wcale nie chodzi o to i ja nie mogę wiedzieć o co? Tak czy inaczej, piękna rzecz.

– Janek jestem – krzyknął nagle zza gazety przedziałowy sąsiad, wyrwywając mnie z miejsca, a nawet z zamyślenia głosem tak głośnym, że ani Republika, której chciałem teraz słuchać, ani nawet Acid Drinkers nie byłiby go w stanie stłumić.

– Karol – powiedziałem sucho.

– Panie, co to teraz się dzieje, czytał pan dzisiaj gazetę?

– Nie, nie czytałem, właściwie od dwóch dni jestem nieco poza światem, a co się stało? – odparłem, udając lekkie zainteresowanie, dobrze już wiedząc, że ta rozmowa musi się odbyć.

– No, nie słyszał pan o tym morderstwie na gorzowskim bulwarze?

– No proszę, nie słyszałem, a kiedy mordowali? – zapytałem już z rzeczywistym zainteresowaniem.

– No, ze środy na czwartek, znaczy się zeszłej nocy, około drugiej, podają.

– Co pan powie, ja właśnie z Gorzowa jadę i całą noc w mieście spędziłem, na bulwarze też byłem, ale nie wiem właściwie o której.

– To może coś pan tam słyszał? A co pan tak w mieście w nocy? Nie wygląda Pan na bezdomnego ani innego degenerata.

– Rozmyślałem, eh, dużo by gadać – powiedziałem ospałym tonem dającym do zrozumienia, że nie jest to ciekawy temat do rozmowy – ale co oni tam piszą w tej gazecie?

– Słuchaj Pan – wziął gazetę do ręki i z wielkim zaciekawieniem, jakby to był co najmniej dobry kryminał, zaczął czytać. – Dziennikarz tak opisuje: „Z przebiegu zdarzeń ustalonego przez policję wynika, że mogło to wyglądać tak – człowiek siedzi na przedostatnim ze stopni prowadzących prosto do wody, pali papierosa i patrzy spokojnie na rzekę. Słyszy ciche kroki, nie zwraca jednak na nie uwagi, po kolejnym zaciągnięciu się zostaje z przysiadu poderwany mocnym szarpnięciem na równe nogi i w ciszy otrzymuje kilka mocnych uderzeń tęnym narzędziem. Istne wyrwanie z zadumy, po ciężkim dniu pracy w fabryce telewizorów – jak nieoficjalnie dowiedzieliśmy się od jednego z policjantów – po wcześniejszych naukach, wszystkich rodzinnych spotkaniach, wreszcie dziewięciomiesięcznym oczekiwaniu na narodziny córki i niezliczonych innych oczekiwaniach, dniach i miesiącach przeróżnych wrażeń i spraw, kilka sekund walki, koniec”.

W pierwszej chwili pomyślałem, że opisuje historię naszego tu spotkania, kiedy mnie właśnie podobnie brutalnie wyrwał z patrzenia za okno, podobnie brutalnie, ale jednak inna to brutalność, pozostawiająca mnie przy życiu, więc jednak jestem w lepszej sytuacji, zdaje mi się, że jestem w tej perspektywie nawet w zupełnie dobrym położeniu.

– Jak to dziennikarze, panie, dodali od siebie trochę dramatyzmu, no, wiesz pan, żeby się lepiej czytało – dodał Janek.

– Dodali dramatyzmu, powiada pan? A czy tam jeszcze coś można z dramatyzmu dodawać? Chyba już nic więcej.

– No wiesz pan, niby nie, ale jednak.

– Ale jednak – powtórzyłem.

– Wiesz pan, dalej piszą, że nic nie ukradli, zabili człowieka i już, że pewno przypadkowy był, nic osobistego.

– Może być coś bardziej osobistego niż zabicie człowieka? – rzuciłem, co ślina przyniosła.

– No nie, właściwie nie, ale wiesz pan, o czym mówię, pan tam byłeś, tam gdzieś, w okolicy, mogło paść różnie.

– Ano mogło, mogło, na szczęście dla mnie, jeśli można tu o szczęściu, na mnie akurat nie padło. Ale mogło, ale mogło. – Obaj zamyśliliśmy się i ucichliśmy, ale nie była to cisza zwana niezręczną, ba, była nawet dość zręczna, właściwie brzmiała to, jakbyśmy uczcili ofiarę minutą ciszy. Jak zwykle bywa w podobnych sytuacjach, była to minuta dość krótka, a do przedziału znowu zawiała mocnym szarpnięciem drzwi konduktorka, spojrzała na mnie i poprosiła o bilet Janka. Ja tym razem miałem kilka chwil, żeby lepiej się przyjrzeć tej kobiecie i pomyślałem, że musi być nieszczęśliwa, bo źle, naprawdę źle wyglądała, ale chłopca pewno ma, zresztą, która teraz nie ma chłopca? Która kiedykolwiek nie miała? Zawsze się jakiś, jakaś znajdzie. Mniejsza, co innego mnie tu zaciekawiło, mianowicie, że jak konduktor jaki, to przystojny, zawsze ogolony, w miarę wysoki, większość w każdym razie prezentowała się jak najlepiej, ale jak kobieta jaka, nie zawsze przecież, bo nie, ale najczęściej, to twarz jakaś zniszczona, jakieś kurczki, ogólnie strach aż ciarki po plecach, że może w tych pociągach dzieje się coś złego, że z nich już wychodzi się takim właśnie, zużyтым przez czas i miejsce, nieprzyjemnym z wyglądu, ale przecież nie można powiedzieć, że wchodziło się młodym i zaraz było starym, bo nie.

Janek, zdaje się, nie palił, więc i ja nie paliłem przy nim, ale w okolicach drugiej nocnej godziny poszedłem do toalety zapalić, czas był najwyższy, a że tu nie chciałem, musiałem iść, chociaż właściwie nie musiałem, bo nikt nikomu nie może kazać czegoś do końca, ale jednak szedłem, bo tak chyba powinno być. Kiedy wróciłem, szybko, ale dokładnie przyjrzałem się Jankowi, wyglądał na mądrego człowieka, mądrego raczej życiowo niż z książek. Był ubrany raczej praktycznie na tę porę roku i dnia niż dobrze. Długie spodnie z materiału, koszula zapinana na dwanaście guzików i letnia, jak to się ładnie mówi, kurtka, nie wiosenna, ale letnia właśnie. Niewielki bagaż, raczej podręczny bagaż, kapelus i gazeta, po chwili znałem już nawet większą część tego bagażu.

– Piwka?

– A daj pan, panie Janku, piwo dobre na sen. Wracając do tego morderstwa, faktycznie, mogłem mieć mniej szczęścia. Ze zbiegami okoliczności i czasu nie ma żartów, jest tak, jak i ty jesteś, nie ma go bez ciebie, a ciebie bez niego, a jednak możecie współpracować albo siłować się na rękę, ale z tego siłowania nikt jeszcze nie wyszedł żywy. Nikt jeszcze czasu nie oswoił, można brać jego drobiny mocno do ręki, a i połknąć je nieraz, ale te drobiny, to jak wygrana bitwa, nigdy wojna, takie pyrrusowe zwycięstwo, panie, bo ten czas to zbyt wielka rzecz, żeby z nim wygrać w poważniejszych starciach albo chociaż mocno za tę złapać – Janek spojrział, lekko przytakując, jakby nie do końca zrozumiał moje myśli.

– Młodzi robią teraz wszystko, żeby wypełnić czas, a przecież chodzi właśnie o to, żeby pracować, żeby pracować i znaleźć w dobie taką chwilę przed snem dla samego siebie i świętego spokoju, a później ze spokojem zasnąć.

– Tak, właśnie tak, wie pan, czasem łatwo i dość jeszcze nieświadomie można zejść na złą drogę – ciągnąłem dalej – czy to marnując czas, czy samego siebie. Przypomniało mi się, jak jeszcze będąc brzdącem, ukradłem ze straganu dwie pomarańcze i banana, chociaż bananów nigdy nie lubiłem, a nawet nie jadłem, i potem gonili mnie albo nawet nie mnie, ale te pomarańcze właśnie. Parę jeszcze razy jako szczeniaka mnie ganiano, ale zawsze miałem wątpliwości, czy to faktycznie mnie właśnie gonia, czy nie, a jednak uciekałem.

– Wiesz pan, nie ma człowieka bez grzechu, ale żeby tak mordować, przypadkowego człowieka, bez powodu, ot tak, kto to widział?

– Prawda to, prawda, ale zawsze jest jakiś powód, wybór jakiś – dodałem.

– Nie ma nic gorszego niż możliwość wyboru, ja to bym wolał mieć coś dane, zasłużyć na to jaką ciężką pracą, ale mieć to coś jednego, a teraz wszystkiego tyle i domyśl się pan, co tu lepsze, co gorsze.

Znowu nastała dłuższa chwila ciszy, ale nie była to cisza z tych niezręcznych, ba, była nawet bardzo zręczna i raczej pełna zrozumienia niż nieporozumienia. Zacząłem rozglądać się po przedziale i po raz nie wiem już który w życiu zastanowiła mnie numeracja siedzeń. Jakby nie mogła być prosta – 64, 65, 66, 67 i tak dalej, to przypadkowe, zapewne nieprzypadkowe, ale dla mnie jednak przypadkowe ułożenie jest dość znamienne. Osiem numerów w każdym przedziale, osiem miejsc i osiem numerów, które nie są przypadkowe zupełnie, bo przecież jeśli wziąć wszystkie z przedziału, można je ułożyć kolejno, ale wcale nie wiszą kolejno, więc wiszą przypadkowo, jak przypadkowe głowy siedzą pod tym, co wisi, niemal każdy z innej parafii, a nierzadko nawet diecezji. Może dlatego właśnie tak jest z tymi numerami, żeby przypomnieć podróżnym, że ta podróż, jak wszystko w życiu, jest przypadkowa. I może nawet ma jakiś sens, na pewno ma zresztą. I sens ma, i cel, ale ile w tym przypadku. I jak bardzo taki przypadek może zmienić całą podróż, czy to na lepsze, czy gorsze. Pamiętam, jak kiedyś wracając z Wrocławia pociągiem, postanowiłem zatrzymać się w Zielonej Górze, żeby obejrzeć miasto. Pamiętam też, że była to sobota, co wbrew pozorom było rzeczą dość ważną. Pozwiedzałem więc, poszwędałem się, zjadłem, wypilem i poszedłem na dworzec PKS wiedząc, że o 21.00 odjeżdża autobus do Gorzowa, gdzie to miałem wrócić. Więc przychodzę na dworzec, na peron, upewniam się, jest pięknie, zostaje trzydzieści minut do autobusu, płacę więc dwa złote za toaletę, zupełnie już za darmo dostaję okrzyki od pani pobierającej opłatę, która właśnie odłożyła mopa i wiaderko, że też nie miałem kiedy przyjść, ale przyszedłem akurat teraz, kiedy ona sprzątnęła, a ja pobrudzę, ale skoro już jestem, to niech idę. Więc poszedłem, wyszedłem, zapaliłem i czekam pięknie dziesięć minut na autobus. Ale czekam i dwadzieścia, i dwadzieścia pięć, i przestaje być pięknie, oczywiście w międzyczasie sprawdzając dwukrotnie, czy aby na pewno dobrze patrzę, czy aby te wszystkie duże „w”, duże „m” i małe „n” oznaczają w legendzie dokładnie to, co chcę, aby oznaczały, żeby pojechać do domu. I zdaje mi się, że oznaczają, bo przecież zawsze jest tak, że jeśli przy kursie jest zaznaczone, że kursuje w niedzielę, oznacza to zwyczajnie, że kursuje „również w niedzielę”, a nie „tylko w niedzielę”. Przynajmniej do tego dnia wszystko wskazywało, że tak właśnie jest. Ale tak nie było. Było tak, że faktycznie autobus jedzie tylko w niedzielę, a mi zostało zostać w obcym mieście bez dachu, poza tym dworcowym, który też przestaje być dachem o 23.00, pociągów nie ma tym bardziej, więc stoję między dworcem a Biedronką (nawet Biedronkę zamknęli) i myślę, co dalej, ale nic wymyślić nie mogę, więc biorę plecak i idę przed siebie, wiedząc już, że autobus dopiero przed pierwszą w nocy. Tylko przydrożny bar, kilkanaście metrów od dworca, nic więcej w najbliższej zziębniętej okolicy, więc ja do baru, że autobus, że trzeba czekać, że piwo, więc piwo i czekam zziębnięty, przy otwartych drzwiach, bo:

– Pan usiądzie przy drzwiach, bo o drugiej zamykamy, więc podłogę zaczynam myć. – Spojrzałyby na zegarek, gdybym nosił, ale nie noszę, więc spojrzałem na komórkę.

– O drugiej? Toż jeszcze do północy kawał, do drugiej to tu jeszcze i naniósł, i huragan będzie, i jakiś rząd zdążyć w Afryce obalić.

– W Afryce to może i zdążą, tutaj już o tej porze nawet flaszki się nie obala, w domach to i pewnie tak, ale tutaj już nie. Gdyby nie, że tu PKS i PKP, i szwędający się podróżni albo i ci, którzy mieli być podróżni, ale nie mają czym, dawno bym zamknęła bareczek. Tu tylko obcy albo element.

Przytaknąłem tylko i przez chwilę zapatrzyłem się na niby typową nocną barmankę, nocną nie z klubu nocnego, ale właśnie z baru i pomyślałem, że też się nie boi, utarg w kasie, ona jeszcze zupełnie z urodą przeciw biegowi czasu, który dawałby jej około czterdziestu jeden lat na tym padole, ale i ładna całkiem, zadbana, więc to, na lekkim odludziu, kiedy nie ma już dziennego ruchu przybyłych i wybywających, jednak trochę liche na dłuższą metę. Ale i jakże ciekawe środowisko można poznać, dowiedziałem się za moment, kiedy do baru wszedł dość młody, ale widocznie zmęczony życiem i alkoholem chłop.

– Zbieram kasę na bilet, dorzucisz dwa złote?

– Raczej nie – odpowiedziałem dość niejasno, chociaż równie jasno wiedziałem, że nie dorzucę się z całą pewnością.

– Zbieram kasę od godziny, za następną godzinę mam pociąg do Poznania, potrzebuję trzydziestu siedmiu złotych, mam ledwie dwanaście.

– Cóż, nie będę w stanie pomóc – powiedziałem bardziej zdecydowanie.

– Ale fajki masz – spojrział na papierosa, którego właśnie wkładałem do ust.

– Ano mam, weź dwie.

– Dzięki – powiedział z uśmiechem – nie bardzo wiem, co z tą kasą zrobić, będę chyba musiał skroić coś na mieście. Przedwczoraj odwiesili mi warunkowe, kurwa. Mam dwadzieścia siedem lat, z czego siedem w kryminale.

– Oj, niedobrze, niedobrze – powiedziałem z jednej strony zaciekawiony, z drugiej zastanawiając się już, czy najlepszym rozwiązaniem nie będzie przerwanie rozmowy.

– Niedobrze? Co za pojebany kraj, jak ukradniesz gruszkę, wsadzą cię na dziesięć lat, a pedofila wypuszczą po roku.

– A tak, to prawda, coś w tym jest. Mawiają, że jak kraść to miliony.

Stażysta zakładów karnych zaciągnął się tylko, wstał i wyszedł. Ja tymczasem dokończyłem piwo, oczekiwałem jeszcze i poszedłem na dworzec, gdzie już bez wielkich niespodzianek, za to z niewielkim spóźnieniem, podjechał autobus relacji Jelenia Góra – Szczecin. Wsiadłem zatem, a nawet usiadłem i zacząłem lekko przysypiać.

– Nie śpij, bo cię okradną – szturchną mnie nagle Janek, wyrrywając z realistycznego snu.

– A tak, tak, trudno nie zdrzemnąć się nawet na chwilę, kiedy całą noc przychodzi jechać pociągiem – rzuciłem na pół przytomny.

– Prawda to, panie, prawda. Nie chciałem budzić, ale na wszelki wypadek, miło się z panem gadało, ten morderca to musi być ciekawy człowiek, negatywnie ciekawy, można by powiedzieć. A ja zaraz wychodzę w Kędzierzynie i nie chcę, żebyś się tu pan śpiąc na jakiego zbira napatoczył.

– No tak, dziękuję, ale i nie sędzę, żeby ten morderca jechał z nami jednym pociągiem – uśmiechnęliśmy się do siebie.

– A wie pan, u nas w Kędzierzynie to taki spokój, nie ma strachu spać nawet całą noc na ulicy. Nikt nie da w gębę, nie okradnie, nawet obcych, co dopiero mówić o jakimś mordowaniu – powiedział z dumą Janek.

– Nawet obcego, pan powiada?

– Nawet. Ale u nas w ogóle jest dziwna ta cała okolica. Wie pan, że Kędzierzyn Koźle jest większy od Opola? Tylko mieszkańców znacznie mniej, bo to zbitek dwóch miasteczek, a jeszcze więcej wsi. Wymyślili, żeby tak zrobić, żeby miasto miało ponad sześćdziesiąt tysięcy mieszkańców i mogło wybrać prezydenta, ale tak naprawdę to jesteś pan dajmy we właściwym Kędzierzynie i żeby się dostać do właściwego Koźla, w obrębie miasta przecie, to pan musisz jechać drogą, która po obu stronach ma pola i tymi polami to parę kilometrów. A na Azoty, panie, to jeszcze inna historia, tam jest taki Hotel – Zacisze, to pod tym hotelem nawet las się zaczyna, ale mówię, miłe to miasto, rozległe, a jednak takie małe jakoś, przytulne.

– A widzi pan, brzmi ciekawie, może kiedy będzie po drodze, to i zatrzymam się na parę godzin albo i na noc do tego Zacisza, lubię miejsca.

– No, to zapraszam, tymczasem spokojnej drogi – rzucił na zakończenie.

– Tymczasem. I niech pan, panie Janku, czyta te gazety, może się czegoś więcej o tym mordercy kiedy dowiemy – uśmiechnęliśmy się jeszcze raz do siebie.

Janek machnął jeszcze ręką na pożegnanie i poszedł w swoją stronę, pociąg ruszył, a ja w przedziale zostałem sam i spodziewałem się, że sam zostanę już do Katowic, bo i w Gliwicach o tej porze ruch na dworcu raczej niewielki. Zacząłem się zastanawiać nad końcem rozmowy z Jankiem i nad lubieniem miejsc. Bo właściwie może to nie ludzie lubią miejsca, ale te miejsca lubią ludzi i dlatego ich przyciągają? Przecież to od miejsc zależy, jak one wyglądają, a nie od ludzi, którzy do nich jadą. Więc to miejsca stoją na wygranej pozycji, we własnym miejscu. I przede wszystkim to człowiek idzie do miejsca, a nie miejsce do człowieka, więc tak, to nie ja lubię miejsca, to raczej one mnie lubią.

Znowu się zdrzemnąłem. Świetne są chwile w nocnych podróżach, kiedy tak człowiek przez kilka godzin jest gdzieś na granicy i sam nie wiem czy – a jeśli tak, to ile – spał, a że, jak wspominałem, zegarka nie noszę, czasem kończy się to poszukiwaniem w nocnej mgłę napisów na kolejnych stacjach, co bywa dość trudne. Ale mniejsza. Dojeżdżamy do wspomnianych Katowic, więc i dobrze, że czuję się teraz dość wyspany, bo mimo że mamy środek nocy, więc czas na sen dość naturalny, w tłoku może być o niego trudniej. Oho.

– Dzień dobry, wolne? – zapytała młoda naturalna blondynka, jak to się zwykle z grzeczności pyta nawet przy siedmiu na osiem wolnych miejscach.

– Jasne – powiedziałem, lekko tylko spoglądając w jej kierunku i skręcając głowę znów w szybę, bo przecież nie tylko dzieci zawsze w pociągach chcą siedzieć przy oknie, czego kolejnym dowodem była moja nowa współpasażerka, która wyjąwszy z plecaka laptopa, usiadła naprzeciwko mnie, mimo że przecież nie miała zamiaru razem z laptopem patrzeć wspólnie przez okno. A i miejsce zabrała nam obojgu. Miejsce przecież nie nasze, ale jednak nasze, dzierzawione od państwowej firmy na to, ażeby móc chociaż trochę prostować czasem nogi, kiedy nie ma nikogo naprzeciwko. Ale nie, siedzimy więc twarzą w twarz, to znaczy ja twarzą w szybę, a ona twarzą w ekran.

Po dwudziestu minutach zacząłem wyczuwać jakąś dziwną sytuację. Było to jakieś nietypowe uczucie, jakby z innego wymiaru, jakby coś w tym przedziale było jeszcze poza dwójką ludzi, ale nie mogłem odgadnąć, co to jest. Coś wysokiego z pewnością i łagodnego, nic, co przychodzi mi do głowy, nie będzie bliższe niż właśnie te słowa – wysokość, a nawet wysoka ulotność i jakaś piękna łagodność. Zacząłem więc powoli, ale intensywnie poszukiwać czegoś – oczami, węchem i jakimiś odczuciami, które do zmysłów nie są zaliczane. Ciągle jednak bez rezultatu. W akcie desperacji zacząłem się ukradkiem przyglądać dziewczynie i dopiero teraz zacząłem zauważać, jakie to dziewczę piękne, anielskie, można by powiedzieć, a nieczęsto można tak nazwać kobietę. Na twarzy była ta łagodność, subtelność, tak, subtelność bardziej niż łagodność, chociaż i łagodność z pewnością. Pełna czystość, harmonia, piękno. Jeśli bym coś teraz mówił, musiałbym napisać, że zaniemówiłem, ale nic nie mówiłem i nie miałem zamiaru, szkoda burzyć to coś tak pięknie delikatnie wiszącego, co spoglądało na nas oboje. Tymczasem zacząłem zauważać, że i ona, równie dyskretnie, zaczęła zerkać, zupełnie jakby poczuła to samo. Po kilku minutach zacząłem odczuwać wręcz pewien podniosły nastrój, uroczysty, o ile może być uroczyste w środku nocy w pociągu pospiesznym z metalicznie widocznym, tak, widocznym, zapachem. W każdym razie nadal zerkałem i chłonałem to piękne uczucie, nie wiem, czy ona zerkała nadal, ale i mojego zerkania chyba nie widziała, więc albo oboje robiliśmy to na tyle umiejętnie, albo może żadne z nas nie patrzyło. Ja jednak z pewnością patrzyłem. Ale tylko przelotnie, delikatnie, spokojnie, najważniejszym było nie burzyć, więc jednak prawie cały czas patrzyłem w szybę, a że w szybie odbijała się jej twarz, był to najlepszy sposób, bo i tak zupełnie niezauważenie, bez choćby ruchy głową, można było patrzeć i na slajdy krajobrazów, i na nią. Pomyślałem, że takie lustro musiało być wymysłem nie narcyza, a romantyka, właśnie dla takich sytuacji.

Patrzę więc w jej lustrzane, a właściwie szybowe odbicie i w pewnym momencie widzę w nim, jak odkłada laptopa i również zaczyna patrzeć przez szybę, co więcej, jej odbicie w pewnym momencie zaczyna patrzeć na mnie i zastyga w tym patrzeniu, a ja nie przerywając patrzenia, czuję znowu jakieś dziwy, jakieś ciepło, jakąś niepewność i zakłopotanie, jakąś radość i nie wiem, odchodząc od romantyzmu, co na to nauki ścisłe. A konkretnie fizyka, bo jak to jest? W odbiciu obraz nie jest ten sam, co rzeczywiście, weźmy jeszcze dwa kąty patrzenia – jej i mój – oraz nas dwoje rzeczywistych. I kto mi teraz powie, czy jeśli ja patrzę na nią odbitą, a to odbicie patrzy na mnie, to czy ona rzeczywiście patrzy na mnie? Czy może równie rzeczywiście tylko to odbicie mnie widzi, a ona patrzy gdzieś tam, daleko za okno? Nie mam pojęcia, więc teraz ja patrzę i ona patrzy, ale może nie patrzy i może też się zastanawia, czy ja patrzę albo ma większą wiedzę ode mnie i wie, jak to jest z tymi odbiciami, ale może przecież wcale nie patrzy, więc nawet nie zastanawia się, czy moje odbicie również ją widzi, skoro wtedy mojego odbicia sama w ogóle nie zauważa. Sam się w tym gubię, ale patrzę, bo i trudno tak nagle przestać patrzeć. Szukam podobieństw bardziej i teraz już widzę, że odłożyła laptopa na dłużej, że teraz oboje słuchamy muzyki i oboje miewamy dziwne ruchy gałek ocznych, związanych pewnie z jakimiś uczuciami wyższymi związanymi z muzyką, a może z czymkolwiek innym. Mnie w każdym razie uciekają gałki oczne, kiedy słucham *Persephone Dead Can Dance*, a przy czym jej? Albo przy kim, bo przecież jak wiemy, a właściwie nie wiemy, może u niej nie jest to kwestia muzyki? Schodząc nieco na ziemię, dość nawet dosłownie, a nawet bardziej dosłownie niż metaforycznie, trzeba zauważyć, że ta muzyka, a może zmęczenie pozycji jest powodem minimalnych poruszeń nóg z obu stron przedziału. Nie muszę mówić, że na tak małej przestrzeni wszelki ruch musi prowadzić do dość delikatnych spotkań i kiedy ona w końcu zastyga swoją lewą nogą przy mojej prawie na tyle blisko, że ruszając nią w rytm muzyki, minimalnie przesuwam się po jej nodze,

znowu zaczynam się zastanawiać, co to może znaczyć. Musi przecież czuć te minimalne muśnięcia i może sprawia jej to przyjemność jak mi, wzniecając już do granic to, co tak naprawdę może w ogóle nie istnieć, a może jest dla niej zupełnie obojętne. Ale jak może być obojętne wchodzenie w ciało innej osoby, choćby tak powierzchowne, tak delikatne, a może szczególnie takie. Więc ona tu jest, z tą anielską twarzą i z doskonałym wyrazem twarzy, właśnie tak, gdyby mi ktoś kiedyś kazał opisać doskonałą twarz, z pewnością przypomniałbym sobie właśnie te kilkanaście, może kilkadziesiąt minut. Ach, jakże bym chciał, żeby pobyła tu ze mną jeszcze trochę. Jedziemy jednak dalej, a przecież i ja nie będę jechał tym składem całą wieczność, więc każda chwila i każde kolejne muśnięcie jest jakimś wielkim prozaicznym i może nic nieznaczącym świętem. Jak to dobrze, że nikt więcej nie dosiadł do nas w Katowicach, byłoby to straszne zburzenie tej harmonii, bez której cała przyjemność błyskawicznie musiałaby zniknąć, ba, nawet nie udałoby się jej rozpocząć. Myśląc o tym wszystkim i chłonąc w siebie, nieopatrznie przestałem ruszać nogą, zatrzymałem ją w jednym miejscu. I co teraz zrobić? Znowu zacząć, udając, że to rytm przerwał, a teraz zaczął się nowy? Ale czy to będzie ten sam rytm? I jaki on w ogóle był? A jeśli ona poczuje, że tym razem będę już dążyć do kontaktu, wycofa się? Co wtedy? Ucieknie, zabierze nogę, a może zabierze ją ot tak, bo przecież nie wiem nic o tym, co jest w niej i czy w ogóle jest to cokolwiek związanego z przedziałem? Więc nogę mam zastygłą i wręcz bronię się przed ruchem, tak będzie najlepiej, tak myślę, kiedy one są teraz centymetr od siebie, a dokładniej, właściwie dzins w sztruks są zupełnie razem. I z całą pewnością, mimo kolejnych minut, nikomu to nie przeszkadza, bo przecież miejsca ogrom, można spokojnie wygodnie wyciągnąć nogi, ale nikt nie chce ich sobie wyciągać, uciekać, bo może jeszcze coś się zdarzy, może te nasze nogi jeszcze się do czegoś przydadzą. Tymczasem ona opiera się o stolik, więc jest to jakiś krok albo może wcale nie jest, ale pytać nie będę, więc założę, że jest, bo tylko to mogę przecież założyć. Więc ona na stolik, to ja na szybę, ciut bliżej, opierając głowę o wystającą końcówkę oparcia, co daje jakieś kilkanaście, przynajmniej, centymetrów bliskości. Oczywiście nie natychmiast, po odczekaniu stosownej chwili, żeby znowu nie splotyć, nie przestraszyć, nie przerwać, więc znowu, a właściwie ciągle w szybę i teraz dopiero poczułem jakąś niezręczną ciszę, którą chciałbym jakoś przerwać, ale jak? Co jej powiem, czym zainteresuję, mógłbym ją zainteresować setką tematów, nawet tych rzuconych niby od niechcenia, ale przecież może żadnym z tych tematów bym jej nie zainteresował, bo i tak może być, więc nie albo raczej jeszcze nie. Ale kiedy, ale kiedy?

Nagle z myśli wyciągnęła mnie brutalnie komórka wibrująca z kieszeni, więc naturalnym odruchem sięgam do kieszeni i wyciągam, i dopiero wtedy widzę, że przez ten ułamek sekundy, może nie ułamek, ale pół sekundy, więc jednak ułamek, kiedy nie patrzyłem, ona też właśnie teraz wyjęła telefon z torebki i uśmiechnęła się do niej, jakby był sens uśmiechania się do przedmiotów martwych, więc kto to był, do kogo się uśmiechnęła? Czy to jej chłop, jakieś świetne chłopiszczce z poczuciem humoru, które wywołuje tak szybki uśmiech? Więc co dalej w tej sytuacji? Bo jeśli jest zajęta? Ale nawet jeśli jest zajęta, to czy ja mam czuć się winny z powodu tej atmosfery i tych delikatnych ruchów tektonicznych nóg? Po chwili poczułem, że sam też się do komórki uśmiechnąłem, a nie była to przecież moja dziewczyna, której nie miałem, chociaż może i miałem, ale nie czas ani miejsce na to. Nawet koleżanka to nie była, a zwyczajnie – albo i niezwyczajnie, bo kobiety jednak częściej piszą – ot, znajomy z Krakowa, którego nie widziałem od wieków, a dokładnie od paru miesięcy, który miał mnie odebrać z dworca, żebym się po nocach, a właściwie po nocy, po mieście nie włóczył. Czuję więc, że i ona jest usprawiedliwiona, że jednak ta sytuacja niczego nie zmienia, a my po chwili wyrwania wracamy do stanu sprzed chwili i zaczynamy mieć potrzebę, by jednak te nogi rozciągnąć, jakby w strachu, żeby już nie zostały takie pokurczone, na zawsze, więc ja prostuję, odsuwając z konieczności prawą, jakbym zamykał jej drogę ucieczki, a ona szachuje mnie, swoją lewą ustawiając przy mojej, ale i pomiędzy moimi obiema, więc ja lewą między jej i ona prawą pod oknem. To dopiero musi komicznie wyglądać, ale wyglądać może jak chce, skoro przedłuża tak przyjemną chwilę między czymś mistycznym a być może niczym zupełnie. Znowu oddech, jakbyśmy nabierali sił i odwagi na nowe pomysły albo jakbyśmy w ogóle nie przywiązywali do tego wagi. I kiedy wyładowała mi się bateria, co brutalnie przerwało *Bolero* Ravela, bo i takich rzeczy słucha się w pociągu, ona znowu do torebki, ja wymieniam baterie i zużytą wrzucam do śmietnika, chociaż mówią, żeby tego nie robić, ale kto by się teraz przejmował jedną baterią, z której później zrobi się dziesięć, sto, tysiąc, a niechże i milion. Więc ona sięga do torebki, wyjmuje kanapkę, otwiera sok, je kanapkę, popija sokiem, wyrzu-



ca woreczek, zahaczając dłonią o moje kolano i wyjmując z torebki tabletki antykoncepcyjne. Nienachalnie, niby w ukryciu, ale dobrze widzę i widzę, że ona dobrze wie, że ja tak dobrze widzę. Połyka tabletkę, popija, nie odwrotnie, chowa tabletki i sok, a ja już wiem, że musi mieć chłopca, bo i bez chłopca nie brałaby tabletek, chociaż może to jakieś problemy hormonalne, bo i tak może być, ale przecież wszyscy doskonale wiemy, że tak nie jest. Więc ten chłop faktycznie istnieje, ale i przecież nikt nie bierze tabletek antykoncepcyjnych w nocy, bo co dobrać, nikt nie jest na nogach każdej nocy, nikt, więc wiem, że jest chłop, albo prawie wiem, ale równie wiem albo tylko mam nadzieję, ale rozsądnie podchodząc wiem, że to też musi być jakiś znak, a jeśli znak, to do mnie, bo i przecież do kogo? A może zwyczajnie zapomniała w dzień. Może bierze o 22.00, ale że akurat, jak sądzę, musiała się w tym czasie pakować, zapomniała i wzięła teraz, więc to nie musi być znak. Ale może być. I teraz może to być zaproszenie do dalszego ciągu, chociaż ciągle nie wiem czego, bo i czego? Albo i wręcz przeciwnie, i teraz wszystko, co zrobię, może się skończyć dobrze, ale i równie dobrze może i bardzo źle. W każdym razie, jakby się miało skończyć albo i zaczynać, nadal nie wiem, jak miałbym się do niej odezwać, napomknąć się albo jak poprowadzić apostrofę. Jeśli powiedziałbym: „Cześć, Karol jestem” – byłoby to sztuczne i niezbyt zachęcające.

Mógłbym też powiedzieć: „Dziewczyno bez imienia, nazwiska, z lekko przybliżoną datą urodzenia. Dziewczyno bez rodziny, szkoły, pieniędzy i wierszy. Dziewczyno w czarnych włosach i szarej sukience. Odezwij się choć słowem, żebym cię usłyszał albo otwórz ręce tak szeroko, jak tylko potrafisz” – z pewnością uznałaby mnie za szaleńca i czym prędzej uciekła z przedziału, a tego nikt by nie chciał. Więc co? Nic.

Nagle jak nie trzaśnie, nie szurnie, nie pęknie, nie pociemnieje.

– Jezu – nie spodziewałem się, że tak właśnie będzie brzmiało jej pierwsze słowo, jakby się właśnie narodziła i rzekła – niech to szlag.

– Oho, nie ma to jak pękające świetłówki, zawsze pękają w nocy – powiedziałem bez namysłu, w pierwszej chwili myśląc, cóż za przypadkowe i trafne spostrzeżenie, wszak rzeczywiście świetłówki zazwyczaj może nie pękają, ale przestają działać nocą, po czym uświadomiłem sobie, że dość oczywistym jest, że coś się psuje wtedy właśnie, kiedy się tego używa, a nie wtedy, kiedy się nie używa.

– Tak, teraz już na laptopie nie pracuję.

– Ale przecież już pani nie pracuje tak czy inaczej, a tak chociaż zewnątrz lepiej widać, skoro już patrzymy za okno.

– Nie żadna pani, Aśka jestem – powiedziała dokładnie to, co chciałem usłyszeć – musiałam odpocząć od ekranu i zamyśliłam się tylko dłuższą chwilę, oj, mocno dłuższą – w tym momencie spojrzała na zegarek.

– No tak, teraz nawet od takich cudów techniki się odpoczywa – uśmiechnąłem się lekko – Karol, miło poznać.

Uśmiechnęła się i podając rękę dodała:

– Może nie tylko od techniki, co od ludzi. Od rana jestem w podróży i czytam o tym Wampirze z Gorzowa, słyszałeś o tym?

– Najwidoczniej mam dzisiaj szczęście do tych, którzy słyszeli – uśmiechnąłem się znowu, wstając z miejsca i przekopując w kącie resztki rozsypanej na podłodze żarówki – coś tam słyszałem, ale nie wiedziałem, że już dorobił się ksywki, dość banalnej zresztą.

– No tak, mnie od dziecka interesują mordercy, zwłaszcza seryjni, a to morderstwo wyglądało wystarczająco przypadkowo, żeby sądzić, że znowu uderzy. Jestem psychologiem na „Ujocie”, zajmuję się też medycyną sądową, chcę jutro porozmawiać o tym ze studentami, dlatego od rana czytam wszystko na ten temat.

– I co tam piszą? Znaleźli go już? – rzuciłem od niechcenia.

– Ciągle nic, wciąż szukają jakichś śladów, ale na razie nic – odparła z fascynacją Joanna.

Oboje spojrzeliśmy w okno na lepiej teraz widoczną noc za szybą. Właściwie i przed szybą była noc, ale za nią zdawała się być bardziej. Zwłaszcza kiedy przejeżdżaliśmy przez kolejne małe, zazwyczaj opustoszałe stacyjki. Zdaje się, że na niektórych stacjach są już tylko bezdomni, jakby ludzie na nich nie czekali już na pociągi, tylko na śmierć. Ale dość śmierci na dzisiaj, dwie żywe, przypadkowe osoby mówią do mnie o jednej śmierci. Jakby tej było więcej od żywych. Tymczasem konduktor wszedł niemal niezauważenie do przedziału,

spojrzała na miejsce po świetlóвке, na podłogę, pokręcił głową i bez słowa wyszedł. Tymczasem Joanna wyszła do toalety, wróciła po około minucie, również spojrzała w sufit, jakby upewniając się, że światło będzie już połowicznie do końca podróży, usiadła i niemal szeptem powiedziała:

– Co za paskudna złośliwość, akurat teraz, kiedy mam jeszcze robotę.

– A widzisz, skoro miała pęknąć, kiedy by tego nie zrobiła, komuś na złość musiała wpłynąć.

– Tak, już nie tylko ludzie, nawet przedmioty nas nienawidzą – rzuciła bez namysłu, jakby w pewnym momencie uznając, że nie do końca stosowne jest to, co mówi, jakby chciała się zatrzymać, ale nie zatrzymała.

– Na szczęście przedmioty nie czują, gdyby było inaczej, faktycznie musiałyby nas nienawidzić – odparłem, nie chcąc, żeby źle się poczuła swoimi słowami – hmmm, widzisz, wczoraj byłem akurat w kinie i pewna nienawiść strasznie mnie uderzyła. Byłem na *Generale Nilu*, wiesz, o tym Fieldorfie z AK – Joanna skinęła głową – cały film, jeśli niesie jakiś przekaz, to taki, że nikt nie ma moralnego prawa niszczyć, ogólnie mówiąc, normalnych ludzi, a nawet tych pozytywnie wybijających się, dla jakichś chorych idei, a i nie stosować nigdy zbiorowej odpowiedzialności. Było za to dużo o fanatykach, o źródle tamtejszego zła – faszyzmie i dalej o życiu Fieldorfa za komunę, krótkim niestety. W każdym razie na filmie były trzy osoby, poza mną jakiś młody chłopak i mocno starsza kobieta. Więc światło się włącza, ona zapłakana, ja się zbieram, chłopak podchodzi do niej, obejmuje, pociesza, ona na to: „Przepraszam, młody jesteś, nie pamiętasz czasów, kiedy rządziły te czerwone świny”. Prawda czy nieprawda, w większości pewno prawda, sam nie bardzo pamiętam, ale jakieś to niechrześcijańskie, niemiłe po takim wzruszającym filmie jednak. On do niej, że rozumie, że wie, że było ciężko i takie rzeczy, a ona na odchodne: „Wiesz chłopcze, jestem katoliczką, pamiętam tamte czasy i dlatego tak bardzo mnie denerwuje, że te komuniści i żydy nadal rządzą”. Byłem w szoku, raz, że katoliczka mówi takie słowa w jednym zdaniu z tym, że właśnie jest katoliczką, a dwa że po takim filmie, gdzie tyle było o nienawiści, gdzie tak dobrze pokazano, do czego nienawiść i chora ideologia jest wykorzystana, ona czuje jeszcze większą nienawiść do komunistów, ponieważ uzasadnioną jeszcze, ale do Żydów?

– Niestety Karolu, tak to już jest, skoro Kościół uczy nienawiści, zamiast Biblii, mamy znowu coraz więcej rasistów, którzy o chrześcijaństwie nie mają pojęcia, a to przecież ci, którzy najmocniej deklarują wiarę. To straszne jest, ale nie wierzę już, że polski Kościół będzie jeszcze kiedyś Kościołem katolickim, zresztą nie tylko polski przecież. Coraz mniej Boga, coraz więcej kłamstwa, tylko tyłek sobie Bogiem podcierają.

– A, prawda niestety, i ci mordercy głównie z takich zakłamanych rodzin podobno się biorą, często właśnie niby wierzących.

Dojeżdżaliśmy powoli do Krakowa i mimo że nie było już tego nastroju, który towarzyszył nam, a na pewno mi wcześniej, nie chciałem się z Joanną rozstawać, ale co zrobić, tak to już jest, że czasem choćby się bardzo nie chciało, rozstać się trzeba, co zrobić. Dziwne to uczucie jednak, kiedy ma się sentyment do kogoś, z kim ciągle się przebywa, a na dodatek zna się ledwie kilkadziesiąt minut, z czego większość wyłącznie ze wspólnego przebywania. Tak czy inaczej, czas się pakować.

– No, czas się pakować – rzuciła Joanna, jakby właśnie czytała mi w myślach.

– Oho, czas, czas, też wysiadasz w Krakowie? – uśmiechnąłem się.

– Tak – odpowiedziała, lekko pochylając się przed lustrem przyczepionym do ściany – mieszkasz w Krakowie?

– Niestety nie.

– Dlaczego niestety? To ja zapraszam na herbatę, niedaleko dworca jest fajna knajpka czynna całą dobę – powiedziała niespodziewanie, gwałtownie odwracając się w moją stronę. Byłem nieco zaskoczony, a właściwie na tyle mocno zaskoczony, na ile może być zaskoczony facet, któremu atrakcyjna kobieta po kilku minutach znajomości proponuje herbatę w środku nocy.

– Chętnie – wydusiłem z siebie, zapominając zupełnie o pierwszej części pytania. Albo uznając, że to zbyt oczywiste, jak mógłbym przecież nie chcieć mieszkać w tym mieście, o ile oczywiście w jakimkolwiek chciałbym mieszkać na stałe, ale to dość oczywiste, że większość ludzi mieszka gdzieś na stałe, więc pytanie było jednak dość zwyczajne, może nawet bardzo zwyczajne, ale jednak nie dla mnie. Pozbieraliśmy resztę rzeczy, stanęliśmy na równych nogach, a kiedy pociąg hamował żadne z nas nie wpadło na to drugie. Joanna otworzyła drzwi przedziału, odwróciła się lekko, wyszliśmy.

# Teatr poza teatrem

Przyznam, że przed ponad rokiem na premierę *Pokojówek* Jeana Geneta jechałam bez przekonania. Jakiś wiejski teatrzyk z podzielonogórskiego Zaboru porwał się z motyką na słońce. Do tego to pierwsza jego teatralna próba. Czegóż się spodziewać? Kto na to przyjdzie? Po obejrzeniu spektaklu zmieniłam zdanie.

Na premierze były tłumy. W dużej sali gminnej ze sceną zabrakło krzeseł, więc część widzów stała pod ścianami. Z Zaboru i okolicznych wiosek zjawilo się około 150 osób.

Jak widzowie przyjęli tak trudną sztukę? Zaskakująco dobrze. Wbrew przekonaniom miastowych inteligentów, którzy na ogół uważają, że wiejska publiczność oczekuje, jeśli już, to kabaretu, jasełek lub rewii, a nie sztuk Jeana Geneta, jednego z czołowych przedstawicieli powojennej awangardy teatralnej, dramatopisarza kontrowersyjnego, tak jak kontrowersyjne było całe jego życie.

W *Pokojówkach* zawarł on historię dwóch sióstr służących u zamożnej Pani, które pod jej nieobecność wchodziły zarówno w jej suknie, jak i rolę. Przebywanie w świecie pozorów pomagało im przetrwać życiowe upokorzenia. Jak choćby słowa: „Dzięki mnie istniejesz! Nie byłoby sługi, gdyby mnie nie było”. Chęć uwolnienia się od zależności prowadzi siostry do próby zamordowania chlebodawczyni, do której czują tylko pogardę i nienawiść. Mówią o niej ironicznie: „Jaśnie Pani nas kocha, uwielbia. Kocha nas, jak swoje fotele, jak bidet”. Kiedy próba zabójstwa spęta na niczym, pokojówkom pozostaje mord symboliczny. Claire, wcielająca się w rolę Pani, zażąda od

posługującej jej Solange podania zatrutego wywaru. Wypicie go jest jednak równoznaczne z całkiem realną śmiercią.

## Wśród swoich najtrudniej

Zanim w Zaborze wystawiono *Pokojówki*, musiał tu przyjechać ze Śląska Jan Fręś, człowiek z teatralną pasją. Los zrządził, że na początku zamieszkał w gospodarstwie agroturystycznym w Czarnej obok Zaboru. Było lato 2007 r. Wtedy jeszcze właścicielka tego gospodarstwa, Jolanta Jarmoch nie wiedziała, że zostanie Jaśnie Panią w futrze i z pierścieniami. O tym, żeby być pokojówką Solange, nie myślała też rolniczka z pobliskiej Tarnawy, Danuta Rosińska. Podobnie jak Irena Karkosz, rodzinny kurator sądowy, nie przypuszczała, że będzie pokojówką Claire. Po prostu znajome panie spotkały się na letnim grillu, na który został też zaproszony Jan Fręś z żoną Dagmarą. Chyba także on nie spodziewał się, że od trzech pań w dojrzałym, jakby nie było wieku, usłyszy: „Zawsze chcieliśmy założyć teatr”. Szybko okazało się, że obie strony myślą o tym jak najbardziej serio, chociaż po chwili panie trochę przestraszyły się swojej deklaracji.

Teraz pozostawało znaleźć odpowiednią sztukę, koniecznie z damską obsadą. Jan Fręś przypomniał sobie, że właśnie w *Pokojówkach* Geneta są trzy odpowiednie wiekowo postaci. Czy pomyślał też, że sztuka może być za trudna? Dla aktorek? Dla widzów? W każdym razie postanowił spróbować. W swoim zawodowym życiu teatrologa i organizatora życia teatralnego zdążył zbierać niemało doświadczeń.

W dniu premiery najbardziej chyba denerwowała się najbliższa rodzina Claire, Solange i Jaśnie Pani. Tremę miały też same występujące. Bo przecież na widowni siedzieli nie tylko obcy ludzie, ale nauczyciele, którzy je kiedyś uczyli, wójt, ksiądz proboszcz, dyrektorka gimnazjum, do którego chodziły lub chodzą ich dzieci, miejscowy lekarz, rodzina i sąsiedzi. Najtrudniej jest zagrać wśród swoich.

Kiedy przed premierą w Zaborze i innych wioskach zawisły afisze, ludzie mówili: „To nasze baby grają!”. Wiadomo, że tacy widzowie potem będą surowymi recenzentami.

Opinii wszelakich po spektaklu nie brakowało. Najlepszą recenzją dla reżysera i aktorek było jednak chyba to, że za rok, na kolejnej premierze Teatru Zza boru (taką przyjął nazwę) znowu sala była pełna. Tym razem wystawiono *Dziewczynki* Ireneusza Iredyńskiego, czyli znowu sztukę niekojarzącą się z amatorskim teatrem i wiejskim widzom.

## O nielojalności i manipulacji

Iredyński, pisarz, dramaturg, scenarzysta, zaliczany do Pokolenia '56, młody gniewny debiutujący po Październiku, dorobił się określenia „polski Genet”. Zarówno życiorys, jak i styl życia oraz twórczości usprawiedliwiały takie porównanie. Z nazwiska krytykował pisarza na XIII Plenum KC PZPR sam Władysław Gomułka, waląc o mównicę *Dniem oszusta* i krzyżąc: „Ten człowiek żyje tak jak pisał!”. Iredyńskiemu zarzucano „hulaszczy i chuligański tryb życia, kontakty z osobami z kręgów znanych z rozróbek i różnego rodzaju burd”, np. z Janem Himilbachem czy Romanem Śliwonikiem. Służba bezpieczeństwa wciąż szukała na niego haków. Wyłądował w więzieniu, podobnie zresztą jak kiedyś Jean Genet. Obaj zmarli niemal w tym samym czasie, Genet w 1986 r., Iredyński w 1987 r.

*Dziewczynki* są ostatnią sztuką Iredyńskiego. Kanwą tekstu jest weekendowe spotkanie w pałacu na zapadłej wsi grupy zaprzyjaźnionych kobiet „po przejściach”. Postanawiają założyć klub pań, połączonych ideą, sprowadzającą się do tego, że kiedyś kobiety obejmą władzę nad światem, bo „tylko kobieta uczyni życie znośnym i łagodnym”. Dalszy przebieg wypadków jest tego założenia całkowitym zaprzeczeniem. *Dziewczynki*, bo tak o sobie mówią zgromadzone panie, mają coraz bardziej okrutne plany, do tego je realizują. A cała

sztuka jest pięknym studium walki o władzę, zwycięstwa nielojalności i ułudy demokratycznych wyborów. W gorzko-ironiczny, czasem wręcz groteskowy sposób mówi też o stosunkach damsko-męskich, potrzebie prawdziwego uczucia, samotności, feminizmie i manipulacji.

## Bliskość publiczności

Tym razem spektakl w zaborskiej świetlicy nie rozgrywał się na scenie. Długi stół, przy którym toczyła się akcja, stał na środku sali. Widzowie siedzieli wokół na ławeczkach gimnastycznych, krzesłach, stołach, ale i na scenie, bo już zabrakło innych miejsc. Powszechna mobilizacja wśród członków i sympatyków zespołu, dotycząca zbierania poduszek i materaców powiodła się, więc było wygodnie. Niektórzy oglądający martwili się tylko, czy najbliżej siedzący nie będą zaangażowani do udziału w spektaklu. Zaś grające panie nieco obawiały się tego, że bliskość publiczności spowoduje, że będą słyszeć jej uwagi, wypowiedane w trakcie spektaklu.

Za stołem zasiadła Zofia (Danuta Rosińska), pochodząca ze wsi socjolog, która bardzo chce być „z miasta”. Obok Irena (Dagmara Łanucha-Freś, wychowawca w ośrodku socjoterapeutycznym w Zaborze), czyli podstarzała sfrustrowana aktorka, której dyrektor teatru nie chce obsadzać w spektaklach. Była też Ewa, lekarz anesteziolog (Agnieszka Pankiewicz-Woźniak, rodzinna kuratorka sądowa z Zielonej Góry). Ewa to kochanka Justyny. Ich związek jest jednak w kryzysie z powodu młodzieńczej Kajki, wyrzuconej ze szkoły za ćpanie (Maja Jabłońska z Droszkowa, prywatnie całkiem porządna maturzystka). Nie mogło w takim towarzystwie zabraknąć ostrej feministki Anny, reporterki, chwilowo bez zajęcia, która od razu chciała tworzyć feministyczne struktury (Marta Pohrebny, winiarka z Łazu). Zaprosiła je wszystkie do pałacu Justyna (Irena Karkosz), która w wyniku przeróżnych manipulacji wkrótce straci życie. Do grupy kobiet dołączył nieproszony gość, Bożena, docent od „ukulturalniania kultury”. Osobowość silna, ale prosta. Wcieliła się w tę postać Jolanta Jarmoch z Czarnej.

## Brawa długie i gorące

Artystki-amatorki świetnie odnalazły się w swoich rolach, tworząc wiarygodne dla widzów postaci. Nikt

się nie nudził, nie wychodził z sali, brawa były długie i gorące.

W spektaklu po raz pierwszy pojawili się też mężczyźni – statyści. Dwóch panów zdecydowało się później dołączyć do zespołu, więc być może przy wyborze kolejnej sztuki Jan Fręś nie będzie ograniczony płcią występujących w niej osób.

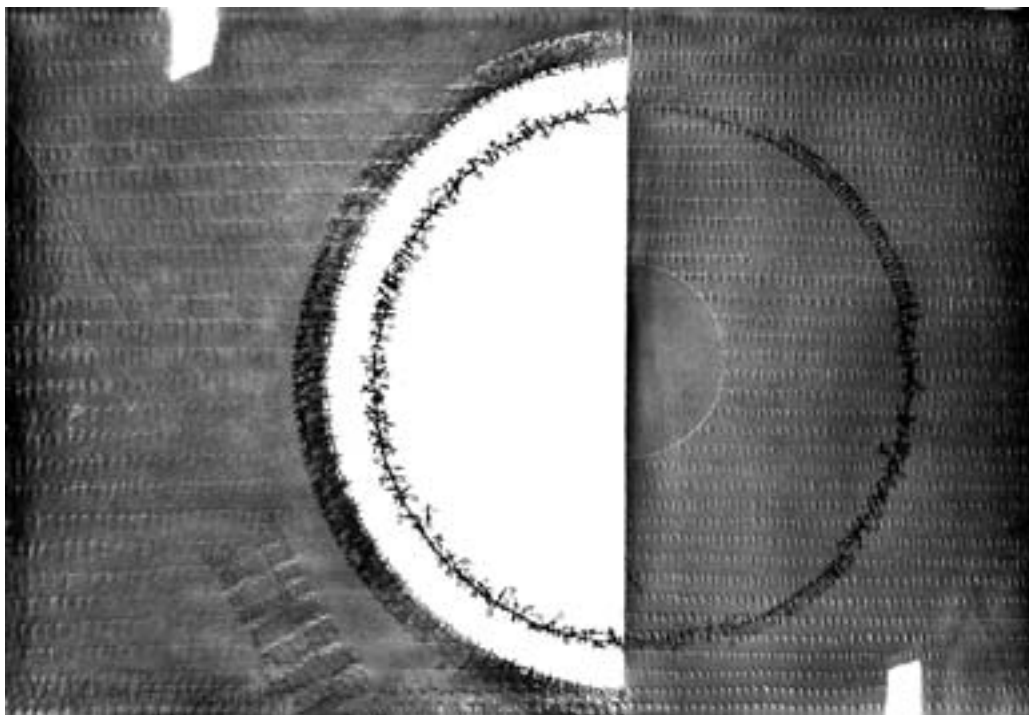
Grające w *Dziewczynkach* panie mówiły, że największym chyba problemem podczas prób było dla nich sprawne zgranie ze sobą kwestii wypowiedzianych przez poszczególne osoby. Oczywiście bały się też tego, że nagle podczas premiery zapomną tekstu. Nad tym, żeby nie było z tego powodu katastrofy czuwała, siedząca wśród widzów Celina Diaczuk z Zaboru, na co dzień pracownik administracji w miejscowej firmie.

Po obu spektaklach, tak jak po premierze w prawdziwym teatrze, był bankiet z szampanem. Część

ciast ofiarował zaborski piekarz, resztę upiekły panie z rady sołeckiej.

Oczywiście tylko część mieszkańców Zaboru i okolic obejrzała *Pokojówki* i *Dziewczynki*. Niektórzy z tych, którzy zdecydowali się przyjść, byli na teatralnym spektaklu pierwszy raz w życiu. Gdyby nie teatralny bzik Jana Fręsia i grupy kobiet, nie miałiby okazji do takich przeżyć, nie wyszliby poza krąg telewizyjnych filmowych opowieści. Dla tych nielicznych, którzy odwiedzają czasem teatry zawodowe, głównie ten w Zielonej Górze, spektakle były okazją do dodatkowego teatralnego doświadczenia.

Potem panowie popijający pod sklepem, jak co dzień, piwo, którzy na spektaklach nie byli, widząc idącą do pracy jedną z występujących pań, wołali: „O, to ta, co w tym kabarecie tańczy”. Zaś inni po premierze pierwszej sztuki mówili, że żałują, że nie poszli, bo słyszeli, że na scenie były tancereczki, kelnereczki i pokojóweczki.



# Nie konkurujemy z zawodowcami

Wywiad z Janem Andrzejem Fręsiem przeprowadziła Grażyna Zwolińska

## – Jak trafił pan do Zaboru?

– Przez przypadek. W pewnym momencie uznaliśmy z żoną, że nic nie trzyma nas na Śląsku. Ustaliśmy, gdzie chcemy mieszkać. A więc przede wszystkim jak najdalej od Katowic i tam, gdzie nie ma podziału na swoich i obcych. Chodziło też o to, żeby na mapie było dużo zielonego, a między tym niebieskie. Wytypowaliśmy woj. warmińsko-mazurskie, zachodniopomorskie i lubuskie. Było nam obojętne, w którym z nich osiadziemy. Ważne było, żeby znaleźć pracę dla żony, która jest po resocjalizacji. Ja dopracowałem się już nauczycielskiej emerytury, więc na chleb mam. Żona rozsyłała CV, więc jeździliśmy na rozmowy, a przy okazji rozglądaliśmy się po okolicy. Dwa lata temu dostaliśmy kolejną porcję ofert, z Olsztynka i Zaboru. Najpierw przyjechaliśmy do Zaboru. Stwierdziliśmy, że do Olsztynka nie jedziemy, bo ładniej niż tu już nie będzie. Kupiliśmy mieszkanie i przeprowadziliśmy się.

## – Czyli żona w pracy, a pan w domu...

– Niezupełnie. Postanowiłem, będąc już na miejscu, spokojnie poszukać też czegoś dla siebie, na przykład w teatrze. W Katowicach pracowałem 5 lat w Teatrze Śląskim jako specjalista edukacji teatralnej. Ponieważ jednak w Lubuskim Teatrze następowała akurat zmiana dyrektora, odłożyłem wizytę i najpierw poszedłem z papierami na Uniwersytet Zielonogórski. Po tygodniu telefon, że potrzebują kogoś takiego jak ja, bo na animacji kultury jest bardzo dużo zajęć, których nie ma kto prowadzić, ponieważ dyr. Andrzej Buck zrezygnował z nich odchodząc z teatru. Potem wybrałem się z ofertą m.in. spektakli edukacyjnych do nowego dyrektora Lubuskiego Teatru i też dostałem zajęcie.

Poza tym od lat współpracuję z kilkoma wydawnictwami, jestem autorem piętnastu, bardzo różnorodnych książek (np. *Karol Wojtyła. Opowieść o świętości* ze zdjęciami Adama Bujaka). Szybko więc okazało się, że nudzić się w Zaborze nie będę.

## – Więc wziął pan jeszcze sobie na głowę bawienie się w amatorski teatr. Dlaczego?

– Całe swoje zawodowe życie lawirowałem między edukacją a teatrem. Jestem polonistą i kiedy pracowałem jako nauczyciel, zawsze prowadziłem szkolny teatr. Potem przeszedłem do pracy w Instytucie Kształcenia Nauczycieli, a następnie na Uniwersytet Śląski i zająłem się już tylko sprawami teatru. Doktoryzowałem się z tej dziedziny. Ostatnie osiem lat przed przeprowadzką do Zaboru prowadziłem teatr w Tychach. Zresztą jeszcze na studiach grałem w studenckim teatrze i byłem na specjalizacji teatrologicznej.

## – Czyli w Zaborze prędzej czy później jakiś teatr musiał powstać?

– Okazało się, że prędzej niż się spodziewałem. Bo kiedy, nie mając jeszcze mieszkania, zamieszkałem z żoną w gospodarstwie agroturystycznym w Czarnej, trafiłem na osoby, które jakby tylko na kogoś takiego jak ja czekały.

## – I od razu wskoczył pan z nimi na głęboką wodę, sięgając po *Pokojówki*. Nie było to zbyt ryzykowne?

– Okazało się, że nie. W teatrze amatorskim problemem jest zawsze stworzenie postaci wiarygodnej dla widza. Zbudowanie jej z siebie, ale tak, żeby nie była mną. Amatorowi najtrudniej przychodzi stworzenie postaci, która jest różna od niego, ale wszelkie soki i energię czerpie z niego. Zawodowiec

to potrafi. To umiejętność warsztatowa. Amatorzy tego nie mają. Złe amatorstwo polega na tym, że albo postać jest całkiem poza grającym, co więcej on wstydi się, że taką postać gra, ona mu przeszkadza. Albo odwrotnie, za wszelką cenę próbuje się w nią wcielić, staje się nią, co daje taki sam komiczny efekt.

**– Jak więc pan sobie z tym radzi?**

– Zanim zaczną się próby, zawsze bardzo długo ze sobą pracujemy. Na przykład w *Dziewczynkach* jest scena autoprezentacji. Każda z postaci musi coś o sobie powiedzieć. Pracowaliśmy nad tym parę tygodni. Całe ustawianie postaci opierało się o te kilka zdań wypowiedzianych na początku spektaklu przez każdą z bohaterek. Reszta poszła już szybko. Jeśli chodzi o obsadę, to w dużym stopniu była robiona w trakcie adaptacji tekstu Iredyńskiego. Już wtedy wiedziałem, jakie słowa mogę włożyć w usta konkretnej pani, bo jej to będzie bliskie, bo ona podobne sytuacje przeżyła.

**– A skąd taki pomysł zbudowania widowni, gdzie widzowie siedzą amfiteatralnie wokół stołu, przy którym toczy się akcja?**

– Można być pod ogromnym urokiem tekstu sztuk Iredyńskiego, natomiast jak przyjdzie do roboty już ściśle teatralnej, zaczynają się potworne schody. Bo Iredyński jest świetny, jeśli chodzi o myśl, o tekst, ma wspaniałe, błyskotliwe kwestie, ale to są „słuchowiska”: postacie siedzą i gadają. Jeśli ten tekst miał pójść w miarę zgodnie z intencją autora, to one muszą siedzieć przy stole, ale zrobiliśmy wszystko, żeby to ożywić. A sam pomysł takiego zbudowania

widowni wyrósł z konstrukcji sali. Mieliliśmy dwa wyjścia. Albo „ostatnią wieczerzę” na scenie, czyli wszystkie postaci płasko siedzą po jednej stronie stołu, frontem do widza, tak się zresztą robiło *Dziewczynki*. Albo stół stoi na środku sali, ale wtedy problemem staje się widownia. Trzeba mieć trzy „piętra”, amfiteatr, żeby widzowie cokolwiek widzieli. Tak więc cały wysiłek, poza moją adaptacją, bo trzeba było przecięć ścianą ogromną część tekstu, to był wysiłek czysto teatralnej natury, nadanie temu tekstowi życia. Teatralnego, nie intelektualnego, nie myślowego, bo ono jest tam wystarczająco dużym ładunkiem.

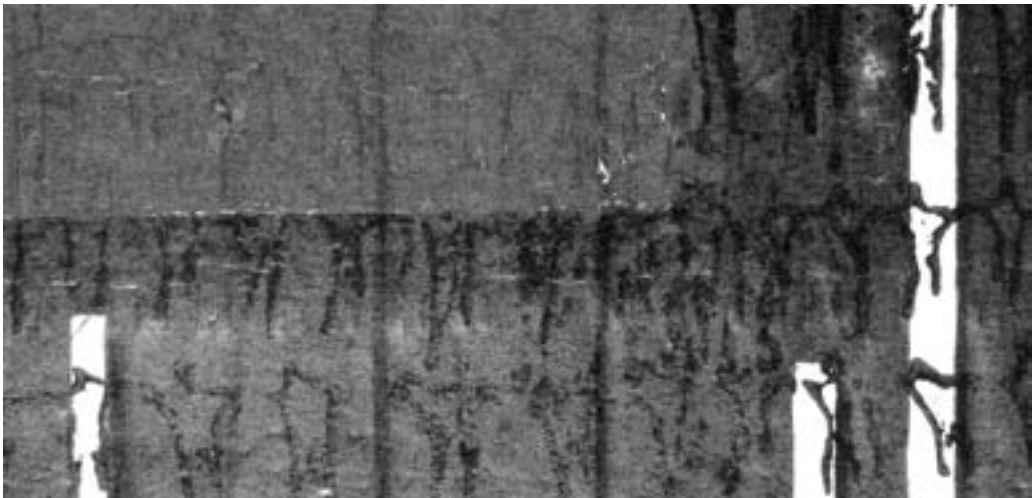
**– Jak pan uważa, dlaczego tak wiele osób przyszło zarówno na premierę *Pokojówek*, jak i *Dziewczynek*? Co pan sądzi o tej wiejskiej publiczności?**

– To fenomen socjologiczny. Ci ludzie przychodzą chyba głównie z dwóch powodów. Pierwszy wynika z elementu sensacji: zobaczyć w tak nietypowej roli krewną, sąsiadkę, mieszkankę swojej wsi. Drugi to świadomość uczestnictwa w czymś bardzo dziwnym, nowym, niebanalnym, co się dotąd tutaj nie zdarzyło. No i pewne zdziwienie, co też takiego nasz, miejscowy, zaborcki teatr może pokazać.

**– Czy pokaże za jakiś czas kolejną premierę?**

– Na pewno. Może nawet dwie, bo rozbudował nam się zespół, dołączyli dwaj panowie, więc możemy rozszerzyć repertuar. *Wesela* jednak na pewno nie wystawię, bo przecież nie chodzi nam o konkurowanie z zawodowcami.

**– Dziękuję za rozmowę.**



# Okruchy wspomnień

## Komplet

Maj. Kwitnienie. Pastelowa zieleń liści i traw. Idę nad kanałem łączącym stawy. Trzcina, tatarak, dalej gdzieś pływająca rdestnica. Pełna słoneczność. Wiatr północno-wschodni. Ciągnie chłodem. Jest już kilku wędkarzy. Zajmuję stanowisko. Dmucha, faluje. Zarzucam zestaw. Pod wiatr. Pytam o efekty. Wzruszenia ramion, czyli nic. Nie biorą. Zanęcone i zero. Patrzę w spławiki; jak zaczarowane ani drgną. Spławiki, które po zasiadkach śnią się później... Kto fowił liny, ten wie. Ryby te niejednemu dały się we znaki. Z linami nigdy nic nie wiadomo... Człowiek przysypia w domu, a tu widzi, jak spławik drga, odjeżdża, zanurza się – trzeba zacinać... sny, sny, sny. Obrazy utrwalone po długich nieraz godzinach fowienia. A teraz. Co jest...? Nikt nie ma nawet skubnięcia. Zbieram się i idę w lewo na przeciwległy brzeg. Wchodzę w tatarak. Przysiadam. Zaczajam się. Słońce przygrzewa. Zdejmuję kurtkę. Woda jak lustro. Zawietrzna. Ustalam grunt. Płytko. Zarzucam. Po chwili, drgnięcie, odjazd – zacinać.... Jest. Do podbieraka. Jak najmniej hałasu. Do kasiorka. Pomarańczowe wargi, złociste podbrzusze, reszta oliwkowa w różnych odcieniach. Tłuscioszek, koło kilograma. Piękny, majowy. Widzę poruszenie wśród wędkarzy, którzy tkwią tam, gdzie i ja byłem. Na tamtym brzegu z falowaniem i wiatrem prosto w twarz. Tu gdzie jestem; wypłynięcie. Zacisznie. Ha – ryby się tutaj zgromadziły. Wygrzewają się. Mam następne branie. Po pewnym czasie, pięć sztuk, pięknie wybarwionych majowych, aksamitnych, „prosiaczków”. Komplet. Jak w książkach wędkar-

skich piszą. Zauważam poruszenie. Niektórzy wędkarze przemierzają się w moim kierunku. Ruszyło ich. Na sto dwa. Narobili hałasu. Nie mieli tam nawet branka. Ja szukałem. Za rybą trzeba chodzić. Znaleźć się w odpowiednim miejscu w odpowiednim czasie. To jest to. Wkładam kurtkę, składam sprzęt. Wyciągam kasiorek. Nie robię uwag, gdy mijam kolegów po kiju. Nie ma co. Wiem, jak to jest. Ten nałowił, a my nic. Wracam do domu. Cześć. Cześć.. Komplet to komplet. Wystarczy.

## Kocia

Kocia była damą. Wysmukłą i delikatną. Nosiła się z wysoka, ale nie była zarozumiiała. Poruszała się lekko i z wdziękiem. Była kotką o połyskliwym czarnym futerku z białymi dodatkami na łapkach, pyszczku i ogonie. Miała również biały krawacik.

Z nikim za bardzo się nie spoufała, ale lubiła, kiedy oczywiście miała na to ochotę, ocierać się o nogi i żeby ją za uszami podrapać też. Chodziła sobie tylko znanymi drogami, ale dom odwiedzała regularnie. Od pewnego czasu Kocia stawała się coraz grubsza, najwyczejniej przytyła. I nagle schudła. Co jest? Przychodziła, prosiła o jedzenie. I zniknęła. Gdzie? Zacząłem podpatrywać. Kiedy pewnego razu po posiłku Kocia ostrożnie wyszła, ja za nią. Przebiegła podwórce i po drabinie weszła na stryszek tam, gdzie składowane było siano. A tam gniazdo. W nim kociaki. Ślepe maleństwa o różnej maści. Kocia popatrzyła na mnie trochę zaniepokojona, jakby dawała mi do zrozumienia – tylko krzywdy im nie zrób, bądź ostrożny, bo pazury



w razie czego mam. I wcale się ciebie nie boję. Pomyślałem, że kocięta trzeba by do domu zabrać. Przygotowałem posłanie w dużym kartonie i jak pomyślałem, tak zrobiłem. Pomysł nie był dobry. Patrzę, a tu ni Koci, ni kotków w kartonie nie ma.

Zaglądam przez okno na podwórze, a tam Kocia wnosi już ostatnie z piątki swoich dzieci po drabinie... Kiedy wyszedłem na ganek – jakby na chwilę zatrzymała się, spojrzała na mnie, dając do zrozumienia: kociaki mają być tam, bo tak trzeba i wara, nie waż się ich więcej zabierać, bo tu wszystko ma być inaczej. I... basta... Przyjąłem do wiadomości. Ma być po kocie. Każdy ma swój rytm, sposób bycia i styl. Kocia... ma własny, koci. Któregoś wieczoru ciszą podwórka targnęła niesamowity pisk i wrzask. To Kocia gonila coś, czego nie widziałem. A to coś darło się wniebogłose. Mogła to być kuna domowa... Intruz pewnie znalazł się w pobliżu gniazda... Wiał teraz niby wiatr i ratunku szukał na drewnianym słupie tuż przy bramie i furcie. Kocia za nim. Tak przerażającego wrzasku nie słyszałem nigdy przedtem ani potem. To coś, co mogło być zapewne kuną, skoczyło ze słupa w ciemność i tak to się skończyło. Kocia wracała do dzieci. Pogłaskałem ją. Cała była rozdygotana.

W małym ciełe wielki duch, ogromne matczyne oddanie. Waleczność.

Mogła przecież narazić na szwank zdrowie, a kto wie, może i życie. Wiedziała, czego się trzymać. Miała charakter...

Na jej pociechy trzeba było poczekać. Podrosły. Już widziały. Przyszła pora, kiedy sama przyprowadziła całą gromadkę do domu. Kocia i pięć kociąt. Tak miało być...

Po kocie. Mu.

## Ręka do ryb

Wybieramy się nad Małe Jezioro. Ja i młodsza siostra. Zanęta, przynęta to gotowane w mundur-

kach ziemniaki – zwyczajnie kartofle. Wędziska leszczynowe ze szczytówkami z jałowca. Spławiki własnego wyrobu z akacjowej kory. Schodzimy w dolinę obsianą żytem i owsem. Dalej już tylko las. Starodrzew poprzetykany zagajnikami. Korzenie sosen wystają na piaszczystym poboczu. Idziemy. W prawo w obniżeniu zaczyna się woda. Widać stąd jej koniec. Zresztą zależy, z której strony się spojrzy. Kiedyś jezioro ciągnęło się na odległość pięciu do siedmiu kilometrów. Zarosło. Teraz są tam nieprzebyte torfowiska, gdzie gnieźdzą się żurawie. Przed zmierzchem słychać ich głos. Kilometr za wodą jest przejście z żerdzi ułożonych na torfowisku, zmruszałych teraz i bardzo śliskich. Zrobiono je zapewne po to, by robotnicy leśni mieli krótszą drogę do pracy. Na tamten brzeg. My korzystaliśmy z niego, wybierając się na jagody. Kiedy tam się szło, każdy mówił: trzeba iść na Orle Gniazdo albo na Spalony Las. Tam za torfowiskiem, porośniętym karłowatą sosną, brzozą, bagnem, rosiczkami i wełnianką, w kępie starych sosen mają gniazdo orły bieliki. Często widać, jak patrolują z wysoka swoje terytorium. Wiele lat temu był tam pożar. Do dzisiaj kora sosen jest osmolona i czarna. Nad jeziorem spotykamy sąsiada. Starszy pan. Liniarz że ho, ho. Łowi na dwie wędki. Po „dzień dobry” pytamy o wyniki. Odpowiada, że na razie nic. Siedzi na mostku. Siostra idzie w bok. Podsypuje zanętę z pogniecionego w dłoni ziemniaka. Łowimy. Cisza jak makiem zasiał. Późne popołudnie. Siostra coś ciągnie. Linek – trzydziestak. Sąsiad i ja wpatrujemy się w spławiki. Siostra złowiła następnego. Tuż przy brzegu. Ona ma brania, a my nie. Po trzecim wyholowanym przez nią linku – rusza nas. Pytamy, na jakiej głębokości łowi, jak dużą kostkę zakłada na haczyk. Przesuwamy spławiki. I nic. Siostra holuje kolejnego. My z sąsiadem patrzymy po sobie. Co jest grane...? I zdaje się, że bór sosnowy za nami powtarza: ręka do ryb, ręka do ryb..



### **między pociągami**

Jestem niestosownie ubrana jak na poczekalnię.  
Marzę w cienkich pończochach. Wszystko dla wrażenia.  
W końcu zjawiasz się ciepłem.  
Po długim niewidzeniu poznajesz zapach kotki  
i że włosy dłuższe.  
Smakujesz ciemny Junan, który piłam wcześniej.

Zaczynamy drgać sobą.  
Wspięci na bliskości łagodzimy obrzęki.  
Musisz wracać.  
Ale jeszcze nie teraz.  
Jestem niestosownie ubrana jak na pożegnanie.

### **ballada wiejska**

Wydeptujesz pokrzywy z ruin,  
bo chcesz mnie w środku zakołysać.  
Wpisani w klimakterium miejsca,  
w historii, których nikt już nie opowie,  
na zmurszałych deskach odciskamy siebie.  
Pocierana skóra nasącza się ciszą.  
Ktoś tu wcześniej robił to samo, tylko wtedy  
drzwi zamykano kluczem.

Proponujesz spróbować studni. Smakuje powitaniem.

**spotkanie**

Podszedłeś do gardła  
łapczywie szukając przestrzeni.  
Jesiennym swetrem przykryłeś rozgwiezdy  
rysowane włosami rozrzuconymi na piasku.

Piwnice ud zaczęły nasiąkać zapachem  
rdzawych jeżyn, które rozgryzałeś.  
Rozjątrzone morze łaskotało.

To ostatni taki ciepły dzień  
przed powrotem do domu.

**Givenchy Gentleman**

Masz taki sposób rozpinania bezmlecznych,  
że zaczynam rozumieć. Szukasz tej właściwej,  
której przecież nie ma. Dopiero się staje.  
W palcach o rozmiarze czternaście i rozprutych  
wargach aż do podniebienia.  
Przychodzi skraplaniem krzyku.  
Śladami kolan wgniecionych w dywan  
rozciąga spełnienia.

Nim zasną będziesz oblizywał inny gorset.

# Kobieta jako człowiek

Ulubionym dziełem filmowym mojej córki Julki „teenagerki” na dziś i już od paru lat jest *Titanic*; Niemcy wymawiają za Amerykanami ‘tajtenik’. Jest to film z gatunku „coś pięknego”. Do tegoż gatunku należy *Out Of Afrika*, co na niemiecki przetłumaczono *Jenseits von Afrika*, po polsku byłoby *Po drugiej stronie Afryki*, polski tytuł filmu: *Pożegnanie z Afryką*, ale lepiej jest pozostać przy tytule oryginalnym – bardziej pojemnym, głębszym. *Out Of Afrika* jest, jak wiadomo, „przeniesieniem na ekran” autobiograficznej powieści duńskiej pisarki Karen Blixen, którą pod tytułem *Den afrikanske Farm* (duński tytuł zrozumiały w większości języków europejskich) opublikowała autorka pod pseudonimem Isak Dinesen w 1937 r. Na niemieckiej kopii tegoż filmu dystrybutor pozostawił angielski tytuł, w omówieniach używa się raczej *Jenseits von Afrika*, natomiast książka w niemieckim tłumaczeniu (1938), zgodnie z manierą niemieckich wydawców nazywała się „o wiele lepiej”, bo *Afrika, dunckel lockende Welt* (dosł. *Afryka, mrocznie pociągający świat*) – oczywiście miała dzięki temu lepiej się sprzedawać.

Karen (Tania lub Tane) Blixen (podaję dane biogr. za *Harenbergs Lexikon der Weltliteratur*, Bd. 1), wł. Karen Christence von Blixen-Finecke, panieńskie nazwisko Dinesen, ur. 1885, zm. 1962, napisała przed *Afrykańską farmą*, a zwłaszcza po niej, jeszcze kilka książek, jednakże ta właśnie opowieść o „przygodzie życia” zadecydowała o randze pisarki w literaturze jej kraju, a po sfilmowaniu powieści w 1985 r. w Hollywood przez Sydneya Pollacka, o jej pozycji w historii literatury światowej.

Karen Blixen spędziła w Afryce 27 lat (1914-1931); przeżycia kilku lat wstępnych posłużyły za kanwę powieści. Powieść autobiograficzna nie jest ścisłym dokumentem realności, będąc powieścią, należy do literatury jako sztuki. Byłoby błędem utożsamiać *tout court* postać protagonistki *Afrykańskiej farmy* z pisarką, mimo że nosi jej nazwisko: Karen Blixen. Przypomnijmy przy okazji, że np. „Witold Gombrowicz” w *Trans-Atlantyku* nie jest identyczny z realnym Witoldem Gombrowiczem, natomiast w *Porno-grafii* pisarz opowiada najzupełniej zmyśloną historię, w której uczestniczy bohater tej powieści pod imieniem i nazwiskiem autora: rzecz dzieje się w Polsce w czasie hitlerowskiej okupacji, podczas gdy żywy Gombrowicz przebywa od 1939 r. w Argentynie. Wracając do *Afrykańskiej farmy*: także inne postacie powieści noszą rzeczywiste nazwiska i zgadzają się z rzeczywistością – o tyle, o ile zgodna jest z nią cała powieść pisarki Karen Blixen.

Jak to często bywa (vide *Blaszany bębenek* Grassa czy *Popiół i diament* Adrzejewskiego), film *Out Of Afrika* wg *Den afrikanske Farm* robi powieści przysługę. Kierując na nią jupiter, wydobywa z cienia, uaktualnia jej obecność w obiegu kultury. Będę mówił o fimie *Out Of Africa* i tylko o filmie. Tym bardziej że film Pollacka wykorzystuje także inne teksty pisarki, np. jej *Listy z Afryki* (*Breve fra Afrika*, wyd. pośmiertne, 1978). Najpierw przypomnę tak zwany bieg wypadków. Jest rok 1913. Młoda Dunka z bogatej rodziny, Karen Christence Dinesen (genialna rola Meryl Streep) pragnie wyrwać się z nudnego bytowania (bywanie, świecenie, rutynowe rozrywki).

Zawiera tzw. przyjacielski układ z coraz mniej zamożnym od siebie szwedzkim arystokratą, baronem Brorem Blixenem (Klaus Maria Brandauer). Wyjeżdżają do Kenii, ówczesnej kolonii brytyjskiej, biorą ślub (niekościelny), w wyniku którego panna Dinesen staje się *baronesse*, za pieniądze w głównej mierze matki Karen zakładają plantację kawy. Wkrótce Karen Blixen zakochuje się „bez pamięci” w Angliku nazwiskiem Denys Finch Hatton (Robert Redford), zarabiającym na życie organizowaniem safari dla bogatych Europejczyków. Z wzajemnością – wzajemne uczucie zbliżających się do siebie duchowo w kierunku ideału ludzi rozwija się w warunkach konfliktu między „kobietą” a „męską” naturą (uwarunkowaną zarówno „naturą”, jak i „kulturą”). Jest to kluczowe wg mojej oceny zagadnienie filmu i zasadniczy temat tego tu eseju – o tym za chwilę. W międzyczasie baron Blixen prosi protagonistkę o rozwód, pragnąc poślubić lepszą od niej „partię”, „koleżeńskie małżeństwo” zmierza ku rozwiązaniu, pozostaje przy życiu związek („nieco zdystansowanej”) przyjacieli. Karen przy pomocy krajowców i europejskiego zarządcy prowadzi skutecznie kawową farmę, gdy nagle spada na nią nieszczeście: wybucha pożar, który niszczy zbiory i zabudowania gospodarcze. Oznacza to ruinę protagonistki, praktycznie jej *out of Afrika*. Odrzuca ona ofertę pomocy materialnej, ofiarowywaną jej przez Denysa, który w kilka dni po zasadniczej rozmowie z Karen ginie w katastrofie pilotowanego przez siebie samolotu. Karen jest w rozpacz (tu zwłaszcza przejmująca gra Meryl Streep). Jednak spokojnie likwiduje swoje afrykańskie interesy i wraca do Europy. Jest już po I wojnie światowej. Opowiedziana niniejszym historia ukazana jest w filmie z perspektywy starszej się w swojej duńskiej posiadłości Karen Blixen, po latach.

Tematem filmu *Out Of Afrika* jest walka protagonistki – kobiety – o samorealizację w świecie, który jest światem męskim – takim ukształtował się w wyniku rozwoju naszej kultury. A także jest światem cywilizacyjnie mocnych (Europejczycy)

wobec słabych (Afrykańczycy), tak jak i ogólnie światem „panów” wobec „służby”. Pamiętajmy, że czas fabuły filmu przypada na lata tuż przed i w czasie I wojny światowej, w wyniku której upadł (jeszcze na lat dwadzieścia niecałkowicie) stary porządek społeczny (we wspomnianym na początku filmie *Titanic* mamy obraz sytuacji wyjściowej tego upadku – cały film można by uznać za jego metaforę, gdyby reżyser nie zamulił go sentymentalizmami; oczywiście i *Out Of Afrika*, jako również hollywoodzka produkcja, nie jest od nich wolna). Teraz powiem rzecz bardzo ważną: Karen Blixen w filmie Sydneya Pollacka walczy o samorealizację nie „jako kobieta” lecz „jako człowiek”, w sensie jako Poszczególne Istnienie (termin Witkacego) bez szczegółowych określników, jako Ja-Karen Blixen – po prostu.

Interesujące jest, że protagonistka rozgrywa swoje partie wśród mężczyzn, ale nie przeciw mężczyznom, chociaż z pewnością przeciw światu, który, jak już stwierdziliśmy wyżej, jest światem męskim. Inne postacie kobiece zarysowane są w filmie tylko szkicowo, dla uwyraźnienia postaw głównej bohaterki. Kontrastują one albo wspierają jej zachowania. Natomiast partnerami dla bohaterki są wyłącznie mężczyźni. Ktorzy jej sprzyjają – jako dzielnemu człowiekowi walczącemu o swoją rację – i którzy zarazem adorują ją – jako atrakcyjną kobietę: Karen lubi piękne stroje i wytworne perfumy. Jedno drugiemu albo pomaga, albo przeszkadza, albo jedno i drugie.

...Spróbujmy przyjrzeć się temu, co w postaci Karen Blixen w filmie Sydneya Pollacka jest „ludzkie” i temu co „kobiece” na tle tej historycznej ukazanej w filmie rzeczywistości obyczajowo-społecznej, a i politycznej (kolonializm w Afryce, odbłaski wojennego konfliktu w Europie).

Zasadniczą cechą osobowości Karen jest nieprzyjmowanie do wiadomości „wszelakiego przymusu formy” (nie bez kozery wspominałem wyżej o Gombrowiczu). A zatem: bohaterka robi, co uważa za słuszne, właściwe, zgodne z jej naturą, z jej



światopoglądem, z jej „etosem osobowym”, a nie to, co „się robi”. Na samym początku wszakże swojej historii, zamiast wstąpić na uniwersytet, jak Maria Skłodowska lub Dąbrowska (Szumska), by podnieść jako kobieta swój status w męskim świecie, wychodzi za mąż, zostaje Panią Baronową Blixen. To „ustępstwo” jest świadomym posunięciem taktycznym. Karen jest mężatką i jest baronową, i to wzmacnia jej pozycję wyjściową wobec mężczyzn, których pragnie zmusić do uznania jej wobec nich równowartości. Z bliskich partnerów najbardziej opiera się jej baron Blixen, który wszakże daje za wygraną, nie „dla świętego spokoju”, lecz z autentycznego podziwu wobec żony – nie-żony. Właśnie tak, bo w sprawach damsko-męskich Karen jest od początku „kobietą wyzwoloną”: przed ślubem sypia z bratem późniejszego męża, jako dla mężatki zanurzanie się w romans z Denysem Hattonem nie jest dla niej kwestią przełamывania „moralnego tabu” (zachnęłaby się na słowo „zdrada”), lecz zwykłym odruchem niczym niekrępującego się uczucia miłości. Takie uczucie budziło się zresztą między małżonkami Blixen w jakiś czas po ślubie, nie wytrzymało jednak swej próby. „Tane” – mówi Bror – „lubię cię. Bardzo cię lubię...”. Karen zmusza męża do uznania w niej partnerki w interesach, nie toleruje jego „męskich wycieczek” (do których „mężczyzna ma prawo”, kobieta nie), ich drogi się rozchodzą. Nie uznaje przewag mężczyzn wobec kobiet i nie uznaje także przewag „białych” wobec „czarnych”, jak i „panów” wobec „służby”. O dziwo, w otaczającym ją męskim świecie Karen budzi nie opór i protest, lecz przyjazny respekt – swą otwartością, swą siłą psychiczną, swą wiarą w wartości, które z determinacją realizuje. Ona najpierw przyjaźni się z mężczyznami, a później ewentualnie idzie z kimś z nich do łóżka. Przyjaciół ma wielu i wśród białych, i wśród czarnych, wśród „panów” i wśród „służby”, do łóżka idzie z Brorem (bo lubi swego męża), a następnie z Denysem (bo kocha mężczyznę, który ją oczarował – jako człowiek). Karen bez oporów pertraktuje z czarnym wodzem, który udziela jej swych współplemieńców do prac na farmie – wywołuje to zrazu konsternację u krajowców, bo z jednej strony ich pracodawczyni jest „bwana kubwa” (pan wielki), ale z drugiej kobieta dla tych Afrykanów znaczy tyle, co inwentarz domowy. W innej scenie angielski lord pyta protagonistkę, czy jako Dunka jest „za Niemcami” – wojna wisi już na włosku. „Jako Dunka jestem za Danią, jest

to zgodne z tradycją mego narodu” – pada odpowiedź. Karen „wypracowuje” sobie swą pozycję w męskim świecie z wolna i konsekwentnie. Jej indywidualny sukces ilustrują dwie bliźniacze sceny w klasycznym angielskim *club for gentlemen*, który funkcjonuje w kenijskiej kolonii tak samo jak w Londynie. Szukając męża (jeszcze nie zaślubionego), Karen wbiega do pomieszczenia, w którym stoją lub siedzą nobliwi panowie z cygarami w zębach, dzierżący w rękach szklanki z whisky; są zagłębieni w rozmowie lub lekturze „London Telegraph” i „Times”. Wtargnięcie kobiety wywołuje pełną konsternację, czarny majordom w turbanie na polecenie prezesa klubu wyprowadza Karen natychmiast na zewnątrz. „No women”. To jedna z początkowych scen filmu. Druga: Gdy nasza protagonistka przygotowuje się do powrotu do Europy, tenże prezes klubu prosi ją na szklaneczkę whiskey do tego samego pomieszczenia, z którego niegdyś kazał ją wyprosić. Panowie milną, podnoszą się z miejsc. Prezes wznosi uroczyste toast za „panią baronową”, rozlega się ogólne „Cheers!”. Karen mówi „Thanks”, wychodząc myśli: „Mam was w nosie”.

Człowiek jest zwykle albo światową, albo kobietą. To co „kobiecie” w bohaterce *Out Of Afrika* uwyraźnia się przede wszystkim w jej stosunku do ukochanego mężczyzny. Miłość Karen Blixen do Denysa Hattona jest z rodzaju „od pierwszego wejrzenia”, jakkolwiek potrzebuje czasu, by dojrzeć. Czym ujmuje ten mężczyzna tę kobietę? Tym, że od początku znajomości uznaje jej rację: jej równość wobec siebie jako człowieka. Więcej: on żąda równości. Daje jej to odczuć w wielu sytuacjach i wobec innych mężczyzn. Przywołam dwa przykłady. Jest początek wojny światowej, w której Niemcy zagrażają Anglikom także w Afryce. Karen z karawaną krajowców idzie przez pustynię do miejsca brytyjskiego zgrupowania, gdzie przebywa jej mąż, Bror. Jest wyczerpana, błędzi, kończy się woda i żywność. Natyka się na oddział krajowców sprzyjających Anglikom, któremu towarzyszą dwaj biali: Denys i jego przyjaciel Berkeley. Berkeley przekonuje Karen, by zaprzestała marszu i oddała się pod jego i Denysa opiekę. „Denys, powiedz jej, iść dalej samej z tymi paroma tubylcami jest nie na jej siły!” Denys: „Daj spokój, ona wie o tym...”. Daje Karen swój kompas, oddziałek oddała się, Karen idzie dalej – wkrótce dociera do celu. Tłum mężczyzn patrzy na nią z uznaniem. Jest brudna, ma podarte ubranie,

rozkudłane włosy. „Jakoś zmieniłaś uczesanie” – mówi ze śmiechem Bror. Inna sytuacja: Denys mieszka już od dłuższego czasu w domu małżeństwa Blixen (zbudowanego z funduszu matki Karen), Bror przebywa w mieście, ma teraz własne życie, odwiedza Karen, by pożyczyć od niej pieniądze. Żegnając się, mówi w cztery oczy do Denysa: „Życzę wam szczęścia... Ale mogłeś zapytać...”. Denys: „Pytałem, ona się zgodziła”.

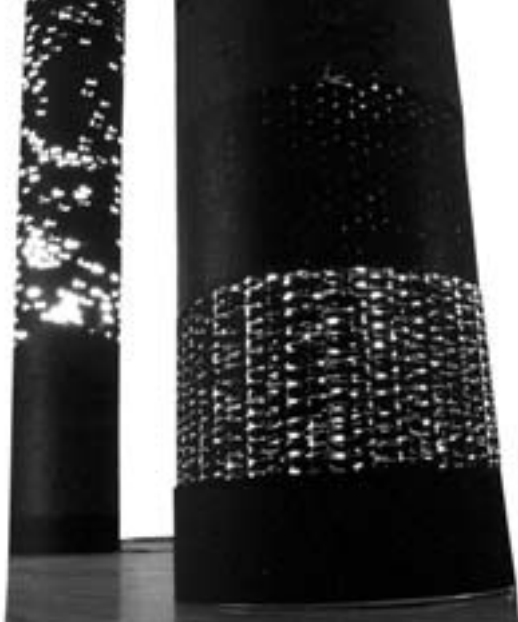
Napisałem powyżej, że Karen poślubiła barona Blixena w ramach swej życiowej taktyki. To ona zaproponowała mu małżeństwo, gdy upadły jej nadzieje na poślubienie jego brata. Jak najszybciej nęcąc go swoimi pieniędzmi dodała: „Ty też jesteś baronem i przecież jesteśmy przyjaciółmi...”. Otóż w związku z Denysem Hattonem Karen znów pragnie małżeństwa. Lecz z powodów poważnych i zasadniczych. Nie taktycznych i nie strategicznych. W swoim już długim dość życiu stwierdzam, że małżeństwo, sformalizowany związek z mężczyzną, jest nieuniknionym pragnieniem kobiety. Niewątpliwie z przyczyn „organizacyjno-bytowych” – też. Ale sprawa jest głębsza, fundamentalna i łączy się wg mnie z sięgającym początków ludzkości „syndromem ogniska”. Ów „syndrom ogniska” (czy „gniazda”), żeński, kobiecy, konfrontuje się – i tak jest w przypadku Karen i Denysa – z męskim, również odwiecznym, „syndromem drogi”. Znam wiele związków bezmażeńskich (w Niemczech są znacznie bardziej powszechne niż w Polsce) ogólnie rzecz biorąc szczęśliwych (tak jak i wiele niezbyt szczęśliwych mażeńskich), w których jednak kobieta chciałaby być żoną, kościelnie czy przynajmniej cywilnie poślubioną (jakże pięknie śpiewa Marlene Dietrich swą sławną piosenkę *Heirat*) – mężczyzna się wymiguje, jemu służy tak zwany brzydki konkubin. W wielu wypadkach, które znam, kobieta w końcu postawiła na swoim. „No i jak?” – pytam małżonka. Ten się uśmiecha, odpowiedź daje poważnie wymijającą. Ujmując rzecz najbanalniej, kobieta potrzebuje bezpieczeństwa, a mężczyzna potrzebuje wolności. W przypadku bohaterki *Out Of Afrika* i jej ukochanego konflikt ogniskuje się w samotności. Karen cierpi, gdy Denys opuszcza ją na długie tygodnie, natomiast Denys inaczej czynić nie może. Małżeństwo złągodziłoby moje cierpienia – sądzi Karen. „Czyż nie jesteśmy szczęśliwi? Co zmienić jakiś papier między nami?” – argumentuje Denys. I myśli: Kocham ją, lecz muszę być wolny. Wolny = samotny.

Dla Karen samotność = brak ukochanego mężczyzny – jest zabójcza. Konflikt jest nierozwiązywalny, jeśli oboje partnerzy pragną zachować swoje poczucie suwerenności – jako dwie równowartościowe ludzkie istoty. Tak więc ich drogi się rozchodzą. Dramat „od męskiej strony” werbalizuje Denis: „Popsułaś mi radość bycia samotnym”. Tak więc mężczyzna stoi przed wyborem między miłością a wolnością. Ciężki, trudny, krwawy wybór. Karen nic nie mówi, tylko patrzy pustymi oczami. Już wcześniej mu powiedziała: „Nie można mieć wszystkiego”. Następnie Denys proponuje Karen, że poleci z nią na wybrzeże swoim samolotem, odprowadzi ją na statek do Europy. Karen zgadza się z radością. Następnego dnia do opustoszałego już afrykańskiego domu, w którym wśród reszty zapakowanych rzeczy siedzi Karen, przyjeżdża Bror i informuje ją, że Denys miał wypadek: jego samolot spadł na sawannę i spłonął.

Następuje scena pogrzebu, w której Karen odchodzi od otwartego grobu, nie mogąc zdobyć się na rzucenie garści ziemi na trumnę Denysa. Ale wcześniej następuje scena, która jest ważna dla charakterystyki obojga – jako kobiety i mężczyzny. Karen Blixen likwiduje resztę swoich spraw w Afryce. Rzeczą dla niej najważniejszą jest, by tubylcze plemię, którego członkowie byli jej pracownikami, mogło pozostać na terytorium utraconej przez nią afrykańskiej farmy. Według prawa muszą iść precz. Karen idzie po szczeblach biurokratycznej drabiny brytyjskiej władzy kolonialnej, urzędnicy okazują dobrą wolę, ale rozkładają ręce. Wreszcie staje przed obliczem nowego gubernatora – piękna, dumna, elegancka kobieta. Ten jest pełen zrozumienia, tłumaczy się jednak postanowieniami prawnymi, do których uchylecia brak mu kompetencji. Nagle Karen kłęk przed nim. I tu uwaga: Rzecz taką może zrobić tylko kobieta. Denys, obecny przy tej scenie, rzuca się gwałtownie w stronę Karen. Poniżenie, to za duża cena dla mężczyzny. Karen do gubernatora: „Błagam pana”. Zmieszany dostojnik prosi, aby wstała, zapewnia, że zrobi w sprawie wszystko, co będzie mógł. „Proszę mi to przyrzec” – mówi Karen. I na to występuje starsza pani w wytwornym stroju, dostojna żona dostojnika: „Proszę, niech pani wstanie. Ja pani przyrzekam”.

Myszę, że jest to dobre zakończenie tego eseju.

Z dedykacją: *Mojej córce Julii na 17 urodziny*



## POLEMIKI

Zbigniew Kozłowski

# Myślenie waginą albo riposta na cztery karty

Na początku był Chaos. Z tego zamętu w oparach mgły wyłonił się człowiek z całą jego potrzebą wykształcania i potrzebą przetrwania gatunku. Kult ciągłości, rodzenia nowego życia i karmienia go własną piersią, pozwolił na uzyskanie w przyrodzie władzy i pierwszeństwa kobiecie. Nastąpiła era matriarchatu z dominującą rolą samicy w gatunku *homo*

*sapiens*. Przedstawiciele płci męskiej zostali wypchnięci do roli dodatku i pomocy domowej (szafasowej), w konsekwencji więc spełniali większość posług niewolniczych i usługowych. W początkowej akceptacji takiego stanu rzeczy pomagała im wrodzona atencja dla kobiety-rodzicielki życia, co w ówczesnych warunkach uświadamiano im na-

ProLibris



ocznie w bycie codziennym. Stan taki trwałby może jeszcze dłużej, gdyby nie istniejący w organizmie ludzkim pierwiastek zła, który ewokował u samicy imperatywem bycia ponad inne, najlepszą, jednym słowem władzy także nad innymi kobietami. Początkowo w swoim plemieniu, potem wśród innych rodów i dalej, dalej, aż po krańce znanego świata. Dla osiągnięcia tego prymatu kobieta zaczęła nieopatrznie używać mężczyzny w celach bojowych. Niestety, tutaj matka-rodzicielka zawiodła się absolutnie, owi pogardzani faceci zwrócili swe maczugi oraz siłę fizyczną przeciwko tyranizującym ich babom-ciemiężczyinom i obalając tabu, wojnę tę wygrali. I nastał potem błogosławiony dla nich czas patriarchy, kiedy to kobieta została odsunięta w szafasowe zacisze, a hegemonem stał się silny, polujący na zwierzynę osobnik z fallusem. Męskie szczęście także trwało długo, aż do początku XX wieku, kiedy to kobieta słusznie wywalczyła równouprawnienie. Nie minęło jednak kolejnych 100 lat, a okazało się, iż jest to dla niej za mało, otóż baba zapragnęła powrotu do wyłonionych z pierwotnego chaosu form swojego pełnego przywództwa, nadania sobie praw nadzwyczajnych, osiągniętej równowagę aberracyjnie i szowinistycznie zakłócających. Taką sytuację mamy właśnie dzisiaj, kobieta pragnie pełnej hegemonii i zepchnięcia mężczyzny do roli użytecznego i przestraszonego przedmiotu. Posługuje się w tym celu potężnym arsenałem wypracowanych przez pokolenia metod i narzędzi, jak „słaba płeć”, „dominujący samiec”, poniżana godność, seks (!), „znęcanie się”, prawo do dzieci, *e tutti quanti*, dających kobiecie przewagę i możliwość manipulacji swoją rzekomą słabością. Nieśmiało i z bojaźnią przytoczę kilka przykładów: oboje rodzice mający po rozwodzie podobny status pragną sądowego przyznania dziecka. Komu sąd je przyzna? Oczywiście matce. Kobieta samotna wychowująca dziecko bez trudu znajdzie sobie partnera i „ojca” (1/5 mężczyzn żyje w takich związkach), lecz pokażcie mi kobietę, która w pełni zaakceptuje u mężczyzny nie swoje dziecko. W każdym sądzie sprawy sporne są tendencyjnie rozstrzygane na korzyść kobiety – szczytem było sławne oskarżenie mikrogo (163 cm) chłopa o gwałt na ołbrzymce (192 cm), która jednym pstryknięciem palca mogłaby złamać mu kręgosłup. Około 70% pobić w rodzinie, to lani przez żony na odlew mężczyźni „po wypiciu”, a proszę mi pokazać statystykę pobitych kobiet za np.

wielogodziną wyprawę do fryzjera. W takim USA kobiety w przypadku zmyślnego oskarżenia mężczyzny o molestowanie, za fałszywe zeznania pod przysięgą są zwalniane od kary. Przypomina się Orwellovskie stwierdzenie, że wszystkie zwierzęta są równe, ale niektóre (kobiety) równiejsze.

Nigdy nie byłem przeciwnikiem kobiet, zawsze popierałem równouprawnienie oraz zdrową i potrzebną swego czasu walkę emancypantek o jednakowy status płci. Nastąpiło jednak przechylenie równowagi, przekroczenie granicy w stronę typowego matriarchatu, a to już zakłócenie równości i wolności. Aberracyjne dyskryminowanie mężczyzny za pomocą makiawelicznych chwytów socjotechniczno-relatywistycznych, uważam za sprzeczne z logiką i prawami człowieka. Kobiety zaczęły myśleć waginą. Podkreślałam, że optuję za rozumem i normalnością, więc w wachlarzu mojej argumentacji odwołam się i do Kościoła, i do prostytucji. Odkładałam jednak do żartobliwych towarzyskich przekomarzań teorie typu „kto z czyjego zebra”, ponieważ kieruje mną realizm i normalne poczucie rzeczywistości. *Ergo*: dlatego widzę, że w dzisiejszych czasach to mężczyzna wykonuje w domu większość prac niewolniczych i ciężkich (trzepanie dywanów, rąbanie drzewa na wsi, obieranie ziemniaków, przybijanie, wnoszenie i wynoszenie mebli etc.) oraz co najmniej partycypuje we wszystkich innych w każdej normalnej rodzinie, co zresztą uważam za właściwe.

Dlaczego więc afirmuję dokonaną emancypację, a sprzeciwiam się feminizmowi? Ponieważ uważam, że nastąpiło niebezpieczne odstępstwo od praw natury. Uzasadniając swoją tezę, odślonię pierwszą kartę – w kolejności brydzowej kolor trefl, symbolicznie personifikujący wiarę i ideały.

Wbrew twierdzeniom nawiedzonych goszystek, pierwszą instytucją, która wywindowała kobietę na piedestał, był średniowieczny Kościół katolicki. Dokonał tego za pomocą deifikacji Matki Boskiej jako rodzicielki Chrystusa, dzięki czemu płeć nadobna po raz pierwszy w znanych nam dziejach doczekała się adoracji i doświadczyła jej w pełni poprzez wytworzoną katolicką kulturę rycerską. To w średniowieczu kobieta stała się istotą, której oświadczano się na kolanach, całowano po rękach i walczono na turniejach o jej względy. Z zazdrością i rozrzewnieniem pomarzę sobie, że to mężczyzna stoi na blance wieży z chusteczką w rękę, a tam w dole na dziedzińcu dwie niewiasty biją w siebie kopiami w nadziei

spełnienia mglistej obietnicy sympatii, a kiedy już jedna zostanie ubita, młodziąn pozwoli zwyciężczyni ucałować skraj swojego podkoszulka i śpiewać wieczorem płynące ku jego oknu serenady. Tak, tak, moje panie, to dzięki katolickiej rycerskości mężczyźni walczyli o was, za was, chronili i bronili, to wasza kobiecość i subtelność wyzwalały w nich szlachetne porywy nadstawiania karku. A dzisiaj? Kiedy mężczyzna kocha, to was boli głowa, a w takim autobusie boję się ustąpić miejsca kobiecie, bo a nuż jest feministką i oskarży mnie o jakiś seksizm. Nie mogę też bezpiecznie powiedzieć, że pani mi się podoba, tylko muszę okólnie stwierdzać, że np. jaka ładna bluzka czy pantofelki, gdyż ta pierwsza forma grozi oskarżeniem o molestowanie. Niemal do ziemi kłania się pytanie, dlaczego dzisiejsze feministki nienawidzą Kościoła. Otóż dlatego, że bardzo wiele mu zawdzięczają na swej drodze do hegemonii.

A tak już jest na tym świecie, że największym wrogiem zostaje ten, który kiedyś pomagał (nieznośne zobowiązanie wdzięczności). Oczywiście Kościół niesie ze sobą i inne hasła, jak rodzina, macierzyństwo i moralność, więc i te przymioty zostają przez feministki odrzucone. Wszyscy znamy zdanie polskiej arcywyzwolonej, niejakej K. D., że największym wrogiem nowoczesnej kobiety jest rodzina i to właśnie ją trzeba zwalczać. Identycznie uważają lesbijki – wszystkie są feministkami.

Wróćmy jednak do praw kobiety. Faktem jest, że mimo kultu, jakim je otoczono, nie posiadały statusu równego we wszystkim mężczyznom. Dopiero wiek XIX ze swoją industrializacją zwiększył odpowiedzialność i ilość obowiązków kobiet, wyganiając je z braku siły roboczej do fabryk. Zarysowała się wówczas jaskrawa nierówność w podziale ról wewnątrz rodziny, więc zupełnie naturalnym stał się ruch na rzecz równouprawnienia. Emancypantki cel swój osiągnęły, a dzisiaj żądają przyznania sobie cech boskości. Znowu kłania się Kościół. Głoszone przez kapłanów przykazania dekalogu prowadzą do jednego podstawowego wniosku, iż jako istoty ludzkie nigdy nie będziemy idealni, zawsze będziemy błędzić (grzeszyć), ale też dysponujemy kultem deizmu, wzorcem, do którego staramy się zbliżyć, a już samo dążenie powoduje, że staramy się być coraz lepszym i doskonalszym tworem jako *homo sapiens*. Odchyleniem jest przydawanie istocie ludzkiej wymienionych cech boskości (możesz wszystko), ponieważ jest to już kolejną aberracją. Dziwi mnie także brak

oddzielenia Kościoła katolickiego z całym jego humanizmem od religii pochodnych, lecz skrajnie odmiennych. Dlaczego feministki nie niosą sztandaru i miecza równouprawnienia w świat muzulmański, gdzie kobieta jest naprawdę dyskryminowana? Jakim cudem żądają u nas, w równoprawnej Europie tolerancji i poszanowania dla islamu, religii ze skrajną nierównością płci? Doznałem szoku, kiedy porównano dwa „dzieła” – genitalia na krzyżu i karykaturę Mahometa. Z jednej strony feministyczny okaz sztuki niby wyzwolonej i pełnej rzekomej tolerancji, a z drugiej raptem obraza uczuć religijnych. Jak to rozumieć? Jednych taka sztuka nie ma prawa razić, a innych ma? Bo to Kali ukraść, a tamto Kalemu? Wydaje mi się, że albo jest to w obu przypadkach obraza wierzących, albo w żadnym. Cóż, okazuje się, że w waginalnym myśleniu nie ma równości. Do takiej „sztuki” jeszcze wrócimy, na razie trzymajmy się jednego szlaku. Dlaczego feministki obnoszą się z popieraniem religii dalałamów, wiary o fundamencie niewolniczo-feudalnym, gdzie „świętobliwi” lamowie jeszcze niedawno oddawali się klasztornej kontemplacji, a w przerwach sładzy dowodzili im dziewczęta porywane z podległych wiosek? Dlaczego goszystki nic nie mówią o protestantach, przecież to oni przeprowadzili 90% procesów o czary. Tak, to nie inkwizycja (2% skazanych), lecz protestanci i sądy świeckie skazywały „czarownice” hurtowo na stos. Cały XVI oraz XVII wiek to w Europie dominacja religii protestanckiej. A słynne Salem?

Jednak wbrew faktom wszystkie najgorsze cechy feminizm przypisuje nie odmiennym religiom, a Kościołowi katolickiemu. Powód jest tylko jeden – katolicyzm to miłość obojga płci, moralność i rodzina, a zasady te są waginalnemu myśleniu wrogie. Szokiem dla neofeministek były ostatnie wyniki badań naukowych (Cameron), w których dowiedziono, iż homoseksualizm można leczyć terapią jak każde uzależnienie.

Nasz kraj ma swój chwalebny udział w dziele wielkiej tolerancji oraz prekursorskim przyznaniu kobietom prawa do czynnego udziału w wyborach, z czego np. jestem osobiście bardzo dumny. Gdyby nie lewacka propaganda m.in. feministek, dziś cały świat podziwiałby Polskę, jako kraj najbardziej przyjazny dla innych kultur. W podobny sposób deprecjonują nasz, tym razem męski wkład w pionierskie przyznanie kobietom prawa głosu w wyborach. Odniosę się do artykułu w „Pro Libris” nr 1/2009

pt. *Bunt kur*. Autorkę artykułu darzę wielką estymą i cenę za szczęśliwą uwagę między wierszami, iż z feminizmem nie należy przesadzać. Jednak opis powstania dekretu Naczelnika o prawie udziału w wyborach uważam za wysoce babsko tendencyjny. Według marszałkowskiej legendy wyglądało to zupełnie inaczej. Cytuję: „pewnego zimowego wieczoru Piłsudski spełniał w pocie czoła swój obowiązek małżeński. Trud ten został przerwany odgłosami walenia w szyby małżeńskiej sypialni. Kiedy Ziuk w końcu wyrwał się z rozochoconych żonnych objęć i wciągnął kalessony, to nie tylko nie wezwał policji, by za zakłócanie spokoju aresztowała »wesofę sufrażystki«, ale powodowany właśnie katolickim duchem rycerskości, udzielił płci pięknej nocnej audyencji, z której zresztą nic nie wynikało”. Tylko dziewicza naiwność może zakładać, że człowiek, który powstrzymał nawałę barbarzyńskiej bolszewii mógłby ulec parasolkom. Tak całkiem poważnie, to Naczelnik wydał ten słynny dekret pod wpływem kodeksu praw demiurga nowożytnej wolności i równości – Bonapartego, o czym wielokrotnie publicznie informował (Piłsudski był Napoleono-filem). *Ergo*: przypisywanie wszelkich zasług w dziele emancypacji działaniu tylko kobiet jest stronicznym naciąganiem i przekłamywaniem faktów, czego autorka artykułu nie uniknęła.

Odkryjmy kartę koloru karo – sztuka.

Najlepiej zilustruję tę dziedzinę, przywołując kolejny artykuł „Pro Libris” 1/2009 pt. *Geniusz macho...*, składnąd bardzo zgrabny, lecz także i staroświecki. Czytamy tam bowiem, iż w sztuce dominuje mężczyzna-władca, gnębiciel płci nadobnej, widzimy także (artykuł *O sztuce kobiet*) jakiś masochistyczny ból kobiety uciśnienia i jej dramatyczne próby uwolnienia z tego kompleksu zależności. Dalibóg, odnoszę wrażenie, jakbym przeniósł się w czasy Łokietka.

Jestem tylko odbiorcą i powodowany pokorą nie podejmę jakiegokolwiek polemiki z historykiem sztuki na temat niuansów, stylów i wiedzy fachowej w tej dziedzinie. Jednak właśnie jako człowiek kultury, wrażliwy i estetyczny nie akceptuję prezentowanych w tekście trendów, zwłaszcza w zaprezentowanych obok „dziełach”. To właśnie ten trend negocjowania dorobku i ciągłości kultury (cywilizacja istnieje od dzisiaj) powoduje zjedanie własnego ogona oraz patologicznie zakompleksioną *quasi*-odkrywczą twórczość *quasi*-wyzwolonych feministek, stawiających z premedytacją swój status zniewolonej myszki

naprzeciw drapieżnego (macho) kota. A autorki apolożują, czy też wręcz gloryfikują tzw. antykulturę jako awangardę i sztukę postępową. Przyjrzyjmy się w takim razie bliżej kanonom tej sztuki. Podstawowymi jej założeniami są: sztuką jest wszystko; celem jest nie wrażenie estetyczne, lecz prowokacja; każde dzieło wymaga werbalnego objaśnienia autora, albowiem odbiorca dostrzeże tylko bohomasz lub skatologię.

Pomijam sprzeczność, którą każdy czytelnik artykułu zauważy, mianowicie przytoczenie demiurgowej prawdy, iż „nie ma ludzi bez płci, nawet w sferze wyobraźni”, a jednocześnie jego kompletne zaprzeczenie lansowaną tezą „człowieka binarnego” bez płci (nie hermafrodyty). Mam wrażenie, że właśnie w tym miejscu autorka zajada przytoczony już własny ogon, chociaż możliwe, iż jest to odmiana relatywizmu. Powtarzam, tekst jest zgrabny, nie mogę jednak zaakceptować w nim wyniesienia na piedestał tego rodzaju sztuki. Przejdźmy jednak do symboli, czyli załączonych obok tekstu fotografii dzieł.

A sztuką jest tu wszystko. Symbolizm, potrzebujący przystawki werbalnego opisu dla pojęcia idei autorki, z załączeniem cytatów różnych guru, cytatów pełnych wysublimowanego przeintelektualizowanego bełkotu. Zapewne jest to pochodną naszego sposobu kształcenia, gdzie wyrocznią czyni się różnorakie *quasi*-autorytety, jednocześnie całkowicie eliminuje przejawy samodzielnego myślenia i wnioskowania. Kłaniam się tym „guru” żelazną prawdą, iż im bardziej autorytet inteligentny i prezentujący wyobraźnię przestrzenną, tym bardziej przemawia językiem logicznym i przystępnym, bez jakichkolwiek pseudokulturowych udziwnień i niezrozumiałych sprzeczności. Niestety, tak właśnie „nieodbiorczo” działają załączone obrazki. Przyjrzyjmy je kolejno.

Najpierw akty męskie. Stwierdzam, że absolutnie nie są rażące, jako zwolennik równouprawnienia chętnie widzę je obok aktów kobiecych (oczywiście bez kosmicznych, artefaktowych i jakichkolwiek odniesień), no, może wolę faceta lepiej zbudowanego. Sztuka jest wrażeniem estetycznym i przesłaniem, dopóki nie powoduje odruchów wymiotnych, w pełni zgadzam się na każdą jej interpretację. Następnie oglądam tryptyk przedstawiający męzczyznę i psa. Oczywiście jest to typowa propagandowa agitka o rzekomym ponizaniu (ach, ten masochizm waginy)

kobiety, lub też gomułkowski klasyk, jak to robotnik pokaże burżujowi. Behawiorysta (nie bez kozery przywołuję ten kierunek psychologii, bowiem odrzuca on wszelkie środki zewnętrznego nacisku antykultury) odbierze obrazek w sposób osobisty; ponieważ oglądał już sporo widoków kobiet zabawiających się z dogiem, więc czemu nie, przyszedł czas na mężczyznę. Nie mamy w tym „dziele” żadnej złożonej metafory ani wielowymiarowej pointy, ale jakież bogactwo możliwości interpretacji... Sztuką jest wszystko. Następne obrazki przypominają mi obscenę i goszystowskie dzieło waginowego artysty, przedstawiające pejcz wepchnięty w odbyt. Po prostu cudo. Sztuką jest już koprofilia.

A ten obrazek „genitalia na krzyżu”? Już pisałem o relatywistycznej dyskryminacji katolicyzmu przy jednoczesnym tchórzliwym wobec fundamentalnego islamu gloryfikowaniem Koranu. W czambuł potępiam brak jednakowej miary w ocenie różnych religii i wybiórczej tolerancji. Znowu kłania się Kali.

A sztuką jest podobno wszystko. Nie elitaryzm estetyczny, a egalitaryzm w dół, i nie szans, a efektów jest domeną waginowej sztuki. To właśnie ona stawia znak równości architektonicznej między katedrą Notre Dame a szałasem pasterskim. Wróćmy jednak do obrazu. Patrząc znowu behawiorystycznie (instyktownie i skojarzeniowo), zauważymy przegromnie niezaspokojoną chuć autorki. Wiemy, ponieważ jest to już naukowo dowiedzione, iż kobiety są bardziej poligamiczne (poliandria) niż mężczyźni. Tak, kobieta zdradza częściej niż samiec (*vide* przedruki wyników badań – „Newsweek” oraz „Forum” z 13.10.2002 r.) i najwyższy czas obalić fałszywy mit o babiarzu macho. Niewierność jest jedną z podstawowych biologicznych cech niewiasty, co nauka wykazała dobitnie. Przed kompletną rozwiązłością hamuje kobietę tylko katolicka moralność, za co zresztą feministki Kościół prześladowują. I taki właśnie jest prawdziwy i scjencyzyczny odbiór tzw. dzieła „genitalia na krzyżu”. Autorka, żadna pełnej swobody seksualnej: to idealizuje męskie narządy niczym zbawienie chrystusowe; to z drugiej strony poniża je, ponieważ biologicznie ich pragnie.

Gdyby feministki walczyły z nierównością i niedostatkami praw kobiet islamskich (czego nie dostrzegam), to „awangardowa” i kompilacyjna recenzja karykatury Mahometa wyglądała by tak:

„Dzieło z pogranicza obrazu i nie-obrazu. Istotą jest personalizacja brody Mahometa jako pierwiastka

żeńskiego i jej uwikłanie w konteksty znaczeniowe. To swego rodzaju galaktyczna rejestracja przebiegu myśli jako transakcji dychotomicznej (destrukcyjna konstrukcja), w wyniku czego powstaje nowa jakość pojęciowa i wizualna, która odpowiada niebytowi zaprzeczającemu istnieniu rzeczy i zjawisk, a więc brakowi absencji (!), czyli ubytkowi czegokolwiek. Wykrzywienie rysów to nic innego, jak pitagorejski romb, obraz transakcji związanej i kolejnej dychotomii znaczenia oraz jego kontekstu. Rozstrzelone oczy proroka epatują binarnością wręcz hermafrodyczą, co można porównać do wspólnego strumienia światła słońca i księżyca. Zjawisko to potwierdza uniwersalność dzieła i jego kosmogonię równoznaczną z wszechtalentem Leonarda da Vinci.”

Szkoda, że ten obraz nie został okrzyknięty arcydziełem. A już chciałem się śmiać...

Karta koloru kier – seks.

Sztandarowym przykładem zniewolenia kobiety serwowanym nam przez feministki jest prostytutka. Obalenie tego tabu zaczniemy od stwierdzenia, że feministki stanowią wręcz promilową grupkę w populacji, chociaż bogato finansowaną i dzięki mediom tzw. opiniootwórczą. Przemawiają bez pytania o zgodę w imieniu wszystkich kobiet, pozując na ich guru. Niestety, ponad 90% niewiast uważa się za normalne i tej goszystowskiej filozofii nie popiera, a co najbardziej dla guru szokujące, lansowanym przez nie opiniom sprzeciwia się 100% prostitutek. Dlaczego? Posłuchajmy najpierw kilku opinii (Łysiak – *Salon*). Oto szefowa brytyjskiego stowarzyszenia prostitutek syczy: „niech feministki od nas się odchrzanią, my jesteśmy już wyzwolone”. Młoda prostytutka: „ja ustalam reguły gry, więc seks daje mi radość. Mam naturę wojownika, zawsze chcę być prymuską”. Tak w ogóle, to wszystkie indagowane, bez wyjątku, roztaczają poczucie satysfakcji i przyjemności, jakie daje im uprawiany zawód. W tym kontekście nie dziwi fakt, że prostytutki są przeciwnie feminizmowi, a lesbijki nie. *Primo* – ogromna część populacji pięknej wykonującej tę pracę w przeszłości to arystokratki i kobiety bogate, a te wcale nie musiały martwić się o materialne zabezpieczenie egzystencji. *Secundo* – prawdą jest, że wiele kobiet uprawiało prostytutkę w powodu braku możliwości utrzymania, a później korzystając z seksu bez miłości, przez szacunek dla poświęcenia rekompensowali to wynagrodzeniem. Kobiety te angażowały dla zapewnienia sobie bezpieczeństwa opiekunów,

którzy po przekształceniu się w alfonsów i burdel-mamy, uprawiali bezwzględny biznes. Ergo: dlaczego zakorzeniono obyczaj, iż będący bez pracy mężczyźni umierali z głodu, nie mając możliwości wykorzystania swego ciała jako źródła zarobku? Pojedyncze przypadki żigola-Casanovy tylko to potwierdzają. Znowu kłania się feministkom tradycyjna rycerska kurtuazja i tylko osoby waginą myślące nie dostrzegą historycznego upokorzenia mężczyzny w kulturowym ograniczeniu prawa do prostytucji.

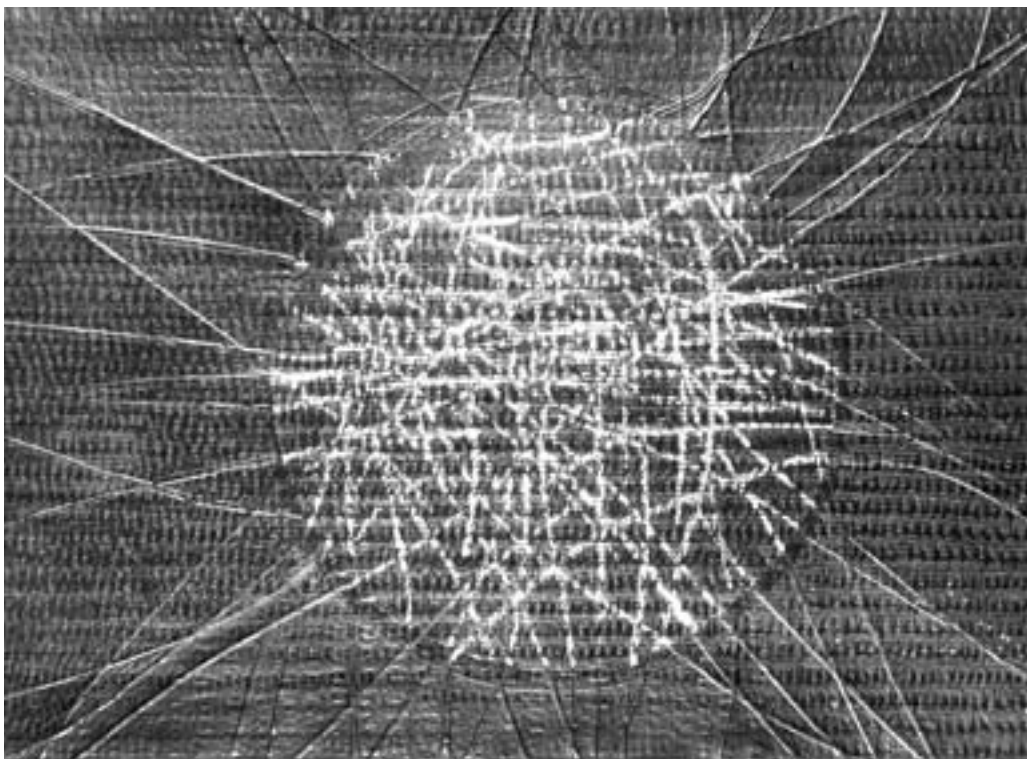
Oto karta pik – obyczaje.

Niepotrzebne mędrca szkiełko, gdyż gołym okiem widać przekroczenie granicy idei równouprawnienia i wstąpienie w sferę irracjonalnych „błędów i wypaczeń”. Weźmy pod lupę chociażby wychowanie. Dzięki działaniu m.in. feministek już w szkołach podstawowych rozdaje się dzieciom prezerwatywy, sugerujące współżycie szkrabom zupełnie niegotowym i niedojrzałym. Efektem tego jest szok kulturowy i wulgaryzm oraz cięże 13-latek. Co to ma wspólnego z wychowaniem seksualnym i właściwym przygotowaniem do tej pięknej

dziedziny życia, kiedy głupia jeszcze i naiwna dziatwa może sięgać po wszystko? Po broń też, amen.

Oglądaliśmy chyba wszyscy plakat wyborczy partii kobiet, gdzie niejaka Magdalena czy Manuela prezentowała powabną nagość koleżanek. Kobiety owszem, zgrabne i ponętne, popieram, plakat można zawiesić w przedpokoju, ale gdzie tu program wyborczy, mądrość umysłu i dyplomacja? Odbiorca widzi tylko zachętę do seksu i epatujące: wagina rządzi, tym podbijemy świat. Nagim biustem, pępuszkiem i depilowaną okolicą łechtaczki? Czy to są argumenty w polityce gospodarczej? Eheu, neo-feministki...

Spotykamy się z coraz częstszym zjawiskiem tzw. wyzwalań kobiet od rodziny, zwłaszcza dzieci. Różnego rodzaju tele-matki z pocztą dla pociech przypiętą do lodówki, czy na coraz większą skalę „pójście w tango”, jako sposób swoistego realizowania się części feministek (*nec plus ultra*). Dzieci najlepiej oddać do „dziadków”, ich wychowaniem i edukacją niech zajmie się przedszkole, szkoła czy ostatecznie organizacja kulturowo-socjalna. A co



z facetami? Nawet taki tabloid jak „Metro” z 26.03.09. zamieścił artykuł *Nękanie mężczyźni...*, gdzie wyraźnie napisano o ich dyskryminacji w rodzinie. Zaprezentowane rodziniki w szykanach kobiet, to szantażowanie rozwodem, nastawianie dzieci przeciwko ojcu, utrudnianie mężowi kontaktów z dzieckiem z poprzedniego związku, stała kontrola, publiczne obmawianie etc. Wszystkie przytoczone środki składają się na przemoc psychiczną, co do fizycznej, statystyka oscyluje *fifty-fifty*, chociaż tylko jeden facet na tysiąc przyzna się do pobicia przez kobietę. Jednak coraz więcej mężczyzn zgłasza się na terapię i problem zaczyna być co najmniej publicznie równy prześladowaniu kobiet. Wniosek jest prosty, przemoc w rodzinie występuje po obu stronach i nie zależy od płci, lecz osobowości.

A feministki szaleją. W Europie (Szkocja, Hiszpania) w ramach „równouprawnienia” funkcjonuje zakaz mówienia „tata” i „mama”, zastąpiony urzędowo zwrotem „rodzic A” i „B”. Nie wolno obejrzeć się za kobietą, bo to molestowanie, nie wolno pogłaskać po główce dziecka sąsiada, bo to pedofilia, w danych personalnych nie podaje się płci (człowiek binarny?) oraz wiele innych bzdurnych zarządzeń doprowadzających cywilizację do absurdu, np. nakaz dla chłopców w przedszkolu bawienia się lalkami.

Nie jestem przeciwnikiem aborcji, chociaż za bardziej naturalne od skrobania uważam oddanie nowo narodzonego (dla dobra populacji) dziecka do np. zakonnego „okna życia”, co jest prawnie dozwolone i zdrowsze dla kobiety.

Bodajże w 1936 r. niemieckie gazety opublikowały adresowany do Hitlera dramatyczny list matki chorego dziecka, w którym bolejąca kobieta stwierdza, iż brak jej już siły miłosiernej i prosi wodza o eutanazję dziecka. Efektem tego było zastosowanie „ostatecznego rozwiązania” na skalę światową. Chyba w lutym br. feministki opublikowały w „GL” podobny list nieszczęsnej usidlonej w opiekę matki, która prosi o to samo premiera. Pójdźmy może

dalej tą ścieżką: ileż mamy osób niepełnosprawnych (niejaka Kazimiera publicznie w telewizji naśmiewa się z kaleki), upośledzonych, z wodogłowiem itp., dążmy do rozszerzenia eutanazji, jakież będziemy mieli zdrowe społeczeństwo, jakież wolne i wyzwolone z zależności kobiety. W naszym kraju żyje ponad 3 miliony bezużytecznych emerytów, dajmy im ostateczne rozwiązanie tej kwestii, oczywiście tylko wobec starych samców. Nie rozumiem, po co istnieją różnego typu hospicja (patrzcie panie – akurat kościelne), dokąd bez problemu można przekazać osobę chorą, tzw. roślinę.

Rozumiem eutanazję, ale tylko na własne życzenie.

Świat cały czas się kręci, ale nikt nie będzie w stanie podważyć istniejącej różnicy płci, rzecz w tym, by zachować równowagę w przyrodzie i wzajemny szacunek.

Jestem marzycielem. Mam sen... gdzieś hen, w złocistej chmurze widzę mężczyznę i kobietę równo dzielących obowiązki domowe, nie myślących ani waginą, ani penisem, szczęśliwych w rodzinie na swoją miarę.

Jeżeli tak nie będzie, prześladowane samce znowu chwycą za maczugę i skończą z neomatriarchatem, chyba że wcześniej uczyni to feministkom „przyjazny” islam.

Możliwe, że wojujące kobiety będą chciały niczym sępy „rozszarpać” treść tego skromnego eseju. Cóż, wyraziłem w nim pogląd bazujący na obserwacji zjawisk kulturowych (nie anormalnych przypadków), pogląd epatujący osobistym przesłaniem równego traktowania płci.

*Hoc erat in votis.*

PS

Wprawdzie treść eseju jest wynikiem obserwacji życia zewnętrznego, to jednak muszę nadmienić, iż sam doświadczyłem skrajnie niesprawiedliwego traktowania mężczyzny w sporze z kobietą, kiedy to prawda może przegrać z pomówieniem, a czarne może stać się białe.

# Szanowny Panie, myślący czym tam Pan sobie chcesz...

Zastanawiałam się, jak potraktować Pana tekst. Pisze Pan, że to „skromny esej” – to samokrytyka czy przejaw dobrego samopoczucia? Nie znam definicji eseju, która jako cechę gatunkową podawałaby dopuszczenie ewidentnego obrażania potencjalnych polemistek lub czytelniczek. Dowiedziałam się bowiem, że kobiety są generalnie rozwiązłe i niewierne, feministki, czyli także ja, dodatkowo się skrobią (ach, ta subtelność sformułowań zdeklarowanego estety!), marzą o eutanazji swoich niepełnosprawnych dzieci, pozują na sponiewierane myszki i mają masochistyczne waginy, którymi myślą. I ta nieustanna generalizacja – zamiast powiedzieć: ja tak myślę, podpira się Pan nieustannie jakimiś „wszystkimi”, którzy tak sądzą albo także o tym wiedzą. Czyżby nie był Pan pewny swoich poglądów i potrzebował oparcia?

Ma Pan problem ze zrozumieniem zjawisk; feminizm to określenie dla całej gamy poglądów i ruchów kobiecych, wrzucanie ich (nas) wszystkich do jednego worka świadczy, że żadnej publikacji naukowej o ruchu feministycznym w ręku Pan nie miał. No i to nieustanne stosowanie zamienników – feministki i goszyszki. Chrześcijananie i frankiści to chyba nie to samo, nieprawdaż? Skąd Pan także wie, że wszystkie lesbijki to feministki, a prostytutki nas nie lubią – przeprowadzał Pan jakieś badania ankietowo-terenowe? A te kwestie o gloryfikowaniu przez feministki Koranu i sympatii dla lamów-gwałcicieli?

Skąd Pan to wytrzasnął? Śmiało! Feministki uprawiają też voo doo i kanibalizm. Pan, zdaje się, jakieś legendy pisał?

Nienawidzimy Kościoła katolickiego, bo hamuje nas przed kompletną rozwiązłością – gratuluję wyobraźni (obsesji?). W samym Kościele katolickim jako wspólnocie wiernych istnieją ruchy feministyczne popierane przez Kościół jako instytucję, wystarczyłoby poczytać *Przekroczyć próg nadziei*, polecam także *Orędzie na XXVIII Światowy Dzień Pokoju* Jana Pawła II.

Pan woli powoływanie się na rzekome autorytety naukowe (Cameron) – o jakim Cameronie mowa? Tym, którego koledzy po fachu wyrzucili ze swojego grona? Ale co ja tam będę mówić, pewnie amerykańscy psychologowie i psychiatry to sami geje, lesbijki i żydzi, więc skrzywdzili człowieka. *À propos* naszego szoku na „odkrycie”, że homoseksualizm można leczyć. Bardziej mnie szokuje, że już się leczy – w Afryce gwałtami na lesbijkach, co wedle powszechnych wierzeń ma je uleczyć z owej aberracji.

Nie lubi Pan „makiawelicznych chwytów socjo-techniczno-relatywistycznych”, a przeciwstawia Pan rzekomą „normalność” „nawiedzonym” feministkom i goszyszkom. Na tym poziomie debatować nie sposób. Choć mogłabym ewentualnie zastosować klucz psychologiczny i przywołać mechanizm wyparcia. Jeśli się tak bardzo pogardza kobietami, choćby

tylko częścią z nich, tak ich nienawidzi, przy nieustannym deklarowaniu rzekomego szacunku, to musi to mieć swoje uzasadnienie w braku akceptacji jakiejś części swojej osoby lub traumatycznych doświadczeniach z płcią piękną. Prostacko generalizując – kryptohomoseksualista albo impotent. Udowodnij Pan teraz, że nie jesteś wielbłądem, to ja będę udowadniać, że się nie skrobie, nie zdradzam męża, nie myślę jedynie o kopulacji, nie chodzę „w tango”, podrzucając byle komu moje dziecko i nie zabiłam żadnego staruszka. Sądzi Pan, że czytelnicy „Pro Libris” mieliby używanie z takiej polemiki? Wyżej ich cenię i sądzę, że nie czekają na takie obrzucanie się pomówieniami, bzdurami i inwektywami.

Kilka cytatów z Pana wynurzeń:

„Myślenie waginą”. Skąd to obsesyjne powtarzanie, że feministki (kobiety, goszyszki, lesbijki) myślą waginą? Podejrzewam, że ma to na celu deprecjonowanie intelektualnych zdolności kobiet. Nie wiem, co oznacza owo mityczne myślenie waginą, pewnie jest odpowiednikiem myślenia penisem, tylko co oznacza myślenie penisem? Sądziłam naiwnie, że do myślenia służą mózgi. Jeśli sugerujemy, że mężczyźni służą do myślenia kawałek skóry, to przecież podważamy jego zdolność rozumowania. Kobiety używają tego sformułowania, chcąc obrazić mężczyznę, któremu skłonność do rozsiewania plemników przyszości miała rozsądek. Niestety to marny chwyt retoryczny. Mogę też Pana zapewnić, że wagina służy kobietom do całkiem innych rzeczy. A jeśli już o niej mówimy, to wielce mnie zaintrygował fragment poświęcony plakatowi wyborczemu Partii Kobiet: „depilowaną okolicą łechtaczki”. Szanowny Panie Kozłowski, w okolicach łechtaczki i na wargach sromowych mniejszych włosy nie rosną, pojawiają się dopiero na wargach sromowych większych. Kobiety depilują sobie często okolice bikini – czyli pachwiny, okolic łechtaczek nie muszą. Otworzyłam sobie w internecie reprodukcję tego plakatu – gdzie Pan widział te łechtaczki? Czy my na pewno mówimy o tym samym?

„Na początku był Chaos”. Rozumiem, że cały ten fragment o matriarchacie i patriarchacie to wizja literacka, nie stan badań antropologicznych. Każdy ma takie wizje, na jakie go stać i nic tu po moich komentarzach do nich. Podobnie fragment o pijanych mężczyznach bitych na progu domostw przez stęsknione żony. Użalający się nad sobą facet – od razu widzę Maksa Paradyśa, którego biła kobieta.

Przypomnę, że bez względu na płeć oglądających, wszyscy po tej kwestii wybuchali śmiechem. Zastanawiam się, jakiej Pan się spodziewa reakcji, pisząc o poniewieranych przez kobiety polskich mężczyznach. Od dziesięciu lat pracuję w organizacji udzielającej bezpłatnych porad prawnych i wiem, że są mężczyźni bici przez partnerki – to jakieś 4% w stosunku do 93% ofiar-kobiet. Bicie przez kobiety tym się różni od bicia przez mężczyzn, że socjalizacja wykształca u kobiet postawę niepozwalającą skutecznie się bić (skutecznie – oznacza krzywdę zrobioną drugiej osobie, kobiety raczej się bronią niż atakują). Bez względu na umiejętności i masę ciała kobiety, mężczyzna jest w tej sztuce biegłyjszy, zwłaszcza od kiedy nauczył się, żeby bić tak, by nie zostawiać widocznych śladów. Opowiastki o olbrzymkach gwałconych przez karłów muszą potraktować jako wyraz urojeń lub fantazji. Kobiętę o przeważającej sile fizycznej także można zgwałcić, wystarczy ją odurzyć lub zastraszyć, można ją zaszantażować, metod trochę jest. Ale kpina z czyjegoś bólu i poniżenia, kpina z gwałtu jest wysoce niesmaczna i słowo „niesmaczna” proszę potraktować jako eufemizm. Pogarda dla czyjegoś cierpienia, dla osoby skrzywdzonej, sponiewieranej? Panie Kozłowski, daruj Pan sobie.

„W takim USA kobiety w przypadku zmyślnego oskarżenia mężczyzny o molestowanie, za fałszywe zeznania pod przysięgą są zwalniane od kary”. Pana znajomość amerykańskiej jurysdykcji jest imponująca, porównywalna do wiedzy antropologicznej i anatomicznej, nie mówiąc już o sensacjach z europejskich przedszkoli.

„Nigdy nie byłem przeciwnikiem kobiet, zawsze popierałem równouprawnienie oraz zdrową i potrzebną swego czasu walkę emancypantek o jednaki status płci”. Coś takiego? Myśli Pan, że ktoś z czytelników wątpi?

„Kto z czyjego zebra” – sugerowałabym trochę poczytać semiotyki biblijnej, na przykład księdza profesora Jerzego Chmiela, żeby nie czerpać wiedzy o świecie z przekomarżań.

„Prawa natury” – na prawa natury powołują się ci, którzy nie potrafią przyporządkować swoich twierdzeń jakiemuś systemowi filozoficznemu. Ale jeśli mamy się na prawa natury powoływać, należałoby ustalić, co wchodzi w skład niezmiennej natury człowieka, z Pana wizji wynika jednakowoż, że zmienna jest ona niesłychanie.



Średniowiecze. Przypominam Panu, że kobieta, którą wywalczono w pojedynku, była przedmiotem i nie miała prawa wyboru jako trofeum. Niech Pan pójdzie dalej tokiem swojego rozumowania, skoro sobie siebie widział powiewającym białą chusteczką, i wyobrazi sobie, jak zmierza rześkim krokiem jako męskie trofeum silnej „rycerki”, nie tej miłszej, sympatyczniejszej, ładniejszej, inteligentniejszej i co tam jeszcze dla Pana ważne, ale tej, która skutecznie pobiła inną. I musi jej Pan służyć swym ciałem jako nagroda. Może to i fajny materiał na fantazję seksualną, ale mówimy o życiu. Tu by pasował ten fragment o „masochizmie wagin”, ale masochizm to dość rzadka rzecz, a wymuszony stosunek boli każdą kobietę.

„(...) a w takim autobusie boję się ustąpić miejsca kobiecie, bo a nuż jest feministką i oskarży mnie o jakiś seksizm”. Wielu mężczyzn podziela Pana obawy, zwłaszcza na widok ciężarnych, staruszek i kobiet obarczonych siatami.

„Nie mogę też bezpiecznie powiedzieć, że pani mi się podoba, tylko muszę okólnie stwierdzać, że np. jaka ładna bluzka czy pantofelki, gdyż ta pierwsza forma grozi oskarżeniem o molestowanie”. Panie Kozłowski, wyobraź Pan sobie sytuację: idzie Pan ulicą i dwie siedzące na ławeczce panie wymieniają głośno uwagi o zawartości Pana spodni. Fantastyczne uczucie, nieprawdaż? Redukcja człowieka do tyłka czy fallusa to na pewno jest to, o czym skrycie marzy każdy mężczyzna. Albo jakaś pasażerka w autobusie wkładająca Panu ręce do spodni... Gratuluję wyczucia.

„Oczywiście Kościół niesie ze sobą i inne hasła, jak rodzina, macierzyństwo i moralność, więc i te przymioty zostają przez feministki odrzucone”.

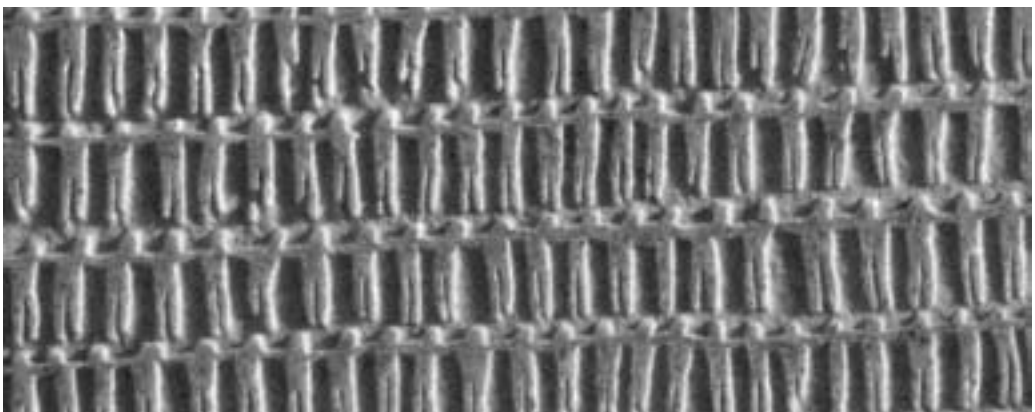
Rozumiem, że feministki są samotne, niepłodne i amoralne. Zaprawdę powiadam Panu, czerp Pan wiedzę o świecie z innych źródeł. Rodzina, macierzyństwo i moralność mogą być różnie definiowane i o definicję toczy się spór. Rodzina nie może być usprawiedliwieniem opresji, Maria i Józef mogą uchodzić za związek idealny wedle wielu feministek; Józef, jak wiadomo, ani Marii nie bił, ani nie gwałcił, uszanował jej życiowy wybór i powołanie, szanował ją i jej dziecko. Skądinąd wedle Pana opinii, dobrze się stało, że to Józef wychowywał niespłodzone przez siebie dziecko, bo Maria, jak każda kobieta, nie umiałaby zaakceptować dziecka, którego nie urodziła. Co Panu winne wszystkie matki zastępcze, adopcyjne, wychowujące dzieci swoich partnerów, że i je Pan poobrażał?

„(...) pierwszą instytucją, która wywindowała kobietę na piedestał, był średniowieczny Kościół katolicki”. Są trzy osoby boskie: Bóg Ojciec, Syn Boży i Duch Święty. Maria nie jest boginią, ale matką Boga. To wcale subtelna różnica, ale są kobiety, które chciałyby w tym męsko-boskim towarzystwie jakiegoś żeńskiego pierwiastka.

„(...) autorytet inteligentny i prezentujący wyobraźnię przestrzenną, tym bardziej przemawia językiem logicznym i przystępnym, bez jakichkolwiek pseudokulturowych uduwnień i niezrozumiałych sprzeczności”. Szkoda, że się Pan do swej rady sam nie zastosował.

„(...) wolę faceta lepiej zbudowanego”. I tu się z Panem zgadzam, ja też wolę. I skoro przyszło mi się z Panem zgodzić, to tu skończę.

*Howgh!* (nie sądzi Pan, że to efektowniejsze od łaciny?)



# Myślenie półpenisem

No i jak mam się wyzłościwić nad tekstem Zbigniewa Kozłowskiego *Myślenie waginą albo riposta na cztery karty*, skoro mimo wszystko pisze w nim o mnie ciepło? Darzy estymą, dostrzega, że nie jestem feministką nawiedzoną, no, może tylko troszkę. Wprawdzie uważa, że naznaczona jestem skłonnością do stronniczego naciągania i przekłamywania faktów, ale w powiązaniu z jakże przystającą kobiecie dziewiczą naiwnością.

W tych okolicznościach rozbuchanej wiosennej przyrody nie pozostaje mi nic innego, jak z możliwie wielką kobiecą łagodnością, ustosunkować się do niektórych wątków jego eseju. A na końcu wspomnieć coś nieśmiało o wywołanych do tablicy kalesonach samego Naczelnika Ziuka.

## Dramat męskiego poświęcenia

Zbigniew Kozłowski, przedstawiający się jako zwolennik równego traktowania płci, włączając się do dyskusji o feminizmie, zauważa, że „niepotrzebne mędrca szkiełko, gdyż gołym okiem widać przekroczenie idei równouprawnienia i wstąpienie w sferę irracjonalnych »błędów i wypaczeń«”. Dodaje, że nastąpiło niebezpieczne odstępstwo od praw natury. Doszło do tego, że „kobieta pragnie pełnej hegemonii i zepchnięcia mężczyzny do roli użytecznego i przestraszonego przedmiotu”.

Jeśli o użyteczność mężczyzny chodzi (zwłaszcza w wykonywaniu prostych prac domowych), to muszę przyznać, że autor ma rację. Tak, kobiety tego uparcie próbują, prośbą i groźbą, być może nawet

biciem. Bez tortur przyznaję, że zawsze usiłowałam skłonić swego byłego małżonka do mycia naczyń, a ponieważ robiłam to przez 30 lat z pewną taką natarczywością (wynikająca z bezskuteczności podejmowanych działań), to poszedł sobie w końcu do młodszej o 30 lat panienci i jak mi donoszą zaprzyjaźnione wieściorki, w zmywaniu naczyń nie ma sobie równych. Jako osoba z natury dobrotliwa, nie domagam się od niej podziękowań za mój wieloletni nauczycielski trud.

Z. Kozłowski zauważa też w swoim artykule, że w dzisiejszych czasach to mężczyzna wykonuje w domu większość prac niewolniczych i ciężkich (trzepanie dywanów, rąbanie drzewa na wsi, obieranie ziemniaków, przybijanie, wnoszenie i wynoszenie mebli etc.). Ponadto w każdej normalnej rodzinie co najmniej partycypuje we wszystkich innych robotach, co zresztą autor *Myślenia waginą...* uważa za właściwe. I znowu muszę się z nim zgodzić w kwestii trzepania dywanów, rąbania drewna i targania mebli. Kobiety od tych zajęć rzeczywiście się wymigują. Wykręcając się tym, że są zajęte gotowaniem, zmywaniem, sprzątaniem, praniem, prasowaniem, odkurzaniem, opiekowaniem się dziećmi (i tak w kółko, świątek – piątek), a więc robotami pasjonującymi, nie niewolniczymi, nie ciężkimi, choć jakoś nie wiadomo czemu, tak je po ich wykonaniu wieczorem bolą nogi. Co bardziej feministycznie skażone damskie osobniki potrafią jeszcze wypomnieć stłamszonym partnerom, że meble wnosi się lub wynosi raz na jakiś czas, dywany trzepie od święta, a kartofle nawet najbardziej upośledzony manualnie mężczyzna oberze w znacznie krótszym czasie niż zabiera ugo-

towanie całkiem przeciętnego obiadu. Trudno więc mówić o dramacie męskiego poświęcenia.

Jeśli zaś chodzi o męskie partycypowanie we wszystkich innych codziennych czynnościach, to podobnie jak Z. Kozłowski, uważam, że jest ono jak najbardziej właściwe. Różnię się z autorem jedynie w tym, że on uważa, że tak już u nas jest, a mnie (osobiste doświadczenia zaprzeczające tej tezie pomijam, jako zbyt jednostkowe) wpadły w feministyczne ręce badania CBOS-u z grudnia 2006 r., z których wynika, że zdecydowaną większość zmundniny domowych prac wciąż wykonują żony, konkubiny i kochanki (szczegóły tej statystyki w tekście *Bunt kur* w poprzednim numerze „Pro Libris”).

Na okrasę – telewizyjna reklama jednego z płynów do naczyń. Mężczyzna, zachwycony tym, jak wspaniale usuwa on paskudny tłuszcz z wielkiego kotła, pyta: „Czy mogę wziąć trochę dla żony?”. Wyobraźmy sobie sytuację odwrotną: kobieta, zachwycona skutecznością płynu pyta: „Czy mogę wziąć trochę dla męża?”.

### Katolicka narośl na sędziach

I znów muszę napisać, że zgadzam się całkowicie z autorem *Myslenia waginga...*, gdy pisze on, iż polskie sfeminizowane sądy niemal odruchowo w przypadku rozwodu przyznają dzieci kobietom. Tak, przyznają. Inna rzecz, że jak kiedyś zbierałam materiał do artykułu na ten temat i rozmawiałam z sędziami, wśród których byli też mężczyźni, usłyszałam, że przypadki, kiedy odchodzący (często do innej pani) panowie starają się o to, żeby to z nimi zostało dziecko, naprawdę nie są tak częste. Wielu wcale nie dobija się o to, żeby mieć taki kłopot na głowie, a wprost przeciwnie, wybiera wolność. Ci, którzy się jednak dobijają, natrafiają często na sądowy mur niezrozumienia ich ojcowskich praw. Tworzą więc różne stowarzyszenia i walczą. Trzymam za nich swoje feministyczne kciuki.

Nie zgadzam się natomiast z tym, że winę za to, że tak zachowują się sądy, ponoszą feministki. Nic podobnego! One uważają, że za wychowanie dziecka w równym stopniu odpowiada ojciec, jak i matka. To one od lat forsują, żeby dzieckiem, także małutkim, opiekowała się nie tylko matka, ale i ojciec. To im zawdzięczamy nieśmiałe urzędowe próby stworzenia urlopów zwanych tacierzyńskimi, choć ładniej byłoby nazwać je ojcowskimi.

Przekonanie, że dziecko najlepiej wychowa matka, bo macierzyństwo, a nie jakieś zawodowe ambicje, to jej główna powinność, ma korzenie wywodzące się z głębokiej religijnej tradycji, także katolickiej. Poglądy te wkładano kobietom do głów całe wieki, nic więc dziwnego, że tak trudno je wypłenić, także z głów sędziowskich. Kiedyś, mam nadzieję, to się stanie.

### A gdzie kult prawiczka?

Skoro już dotknęłam czegoś tak drażliwego jak religia, to muszę brnąć dalej. Zwłaszcza że brnie też Z. Kozłowski. Jego zdaniem instytucją, która wywinowała kobietę na piedestał był średniowieczny Kościół katolicki. Bo deifikował Matkę Boską, bo wytworzył katolicką kulturę rycerską itp. Dodam, że w jej ramach wymyślono też średniowieczną miłość platoniczną, istniejącą bardziej w ówczesnej poezji śpiewanej niż w życiu.

Wiemy, że chrześcijaństwo nie wyrosło na intelektualnej pustyni. Wzięło wiele z filozofii greckiej i prawa rzymskiego. Przyjęło też z nich bez zastrzeżeń niższy status kobiet. Tak zwany *Decretum Gratiani* z 1140 r. i był zasadniczą częścią Prawa Kanonicznego obowiązującego aż do 1916 r. (sic!) nie pozostawia złudzeń co do tego, jak Kościół widział miejsce kobiet. Córka podlegała bezwzględnie ojcu. Żona – władzy męża, który mógł ją karać. Nie miała prawa do majątku ani sprawowania jakichkolwiek funkcji publicznych, a już w Kościele zwłaszcza. Kobietom z nieco wyższych sfer na otarcie łez pozostawało, wspomniane przez Z. Kozłowskiego, machanie chusteczką z krążganków do swego rycerza (do czasu aż stał się jej pełnoprawnym właścicielem, czyli mężem).

Teolodzy średniowieczni piedestał dla kobiety przygotowali zatem dość specyficzny. Kult Maryi Dziewicy i dziewictwa w ogóle działał tylko w jedną stronę. Jakoś nie powstał kult np. Jeremiasza Prawiczka. Kobieta średniowieczna, i długo jeszcze potem, mogła być albo dziewicą, albo czyjąś żoną. Musiała być przypisana mężczyźnie, najpierw ojcu, potem mężowi. „Ku swemu mężowi będziesz kierowała swe pragnienia, a on będzie panował nad tobą” – biblijne słowa. Mąż swoje pragnienia kierował to tu, to tam. Właściwie bezkarnie.

To prawda, że mający długą tradycję sprzeciw kobiet wobec tego typu podporządkowania docenił

sam Jan Paweł II w liście apostołskim *Mulieris dignitate* z okazji Roku Maryjnego *O godności i powołaniu kobiety*. Nie omieszczał jednak zaraz dodać, że „ten sprzeciw nie może prowadzić pod żadnym warunkiem do maskulinizacji kobiet. W imię wyzwolenia się spod panowania mężczyzny, kobieta nie może dążyć do tego, by – wbrew swojej kobiecej oryginalności – przyswajać sobie męskie atrybuty. Zachodzi uzasadniona obawa, że na tej drodze kobieta nie spełni siebie, może natomiast zatracić i wypaczyć to, co stanowi o jej istotnym bogactwie”.

Nieco dalej Jan Paweł II pisze, jak rozumie ową „kobiecą oryginalność”. Podkreśla, że są dwa wymiary kobiecego powołania. To najpierw dziewictwo, potem macierzyństwo spełnione w małżeństwie. Bez nich trudno mówić o godności kobiety. Jakoś dziwnym trafem godność mężczyzny, wg katolickiej religii, nie zależy przede wszystkim od bycia najpierw prawnikiem, a potem ślubnym ojcem.

Nie rozumiem więc, dlaczego Z. Kozłowski dziwi się, że feministka tego nie zaakceptuje i będzie wołała porozmawiać o kobiecej seksualności, popływać w jeziorze czy podnieść swoje zawodowe kwalifikacje, zamiast modlić się pod figurą Maryi Dziewicy w intencji zachowania czystości (nie tej higienicznej).

### Promile czy miliony?

Zbyt wiele jest wątków w artykule Z. Kozłowskiego, żeby odnieść się do nich w pełni. Bo to i bicie mężczyzn przez kobiety; i lesbijki, które zawsze są feministkami (dobrze, że nie odwrotnie); i prostytutki, które nie lubią feministek (dlaczego? – radzę przeczytać *Dziwki w historii* Nickie Roberts); i katolicka inkwizycja, która nie była taka zła, bo więcej kobiet spalili protestanci; i wrodzona rozwiązłość kobiet, przed którą hamuje je tylko katolicka moralność; i eutanazja, na którą lekarstwem są kościelne hospicja, w których rzekomo jest tyle miejsc, że żaden potrzebujący nie czeka w kolejce; i islam, którego stosunkowi do kobiet rzekomo nie sprzeciwiają się feministki; i rozdawanie dzieciom w podstawówkach prezerwatyw, z czego potem biorą się ciąże 13-latek.

Autor *Myslenia waginq...* pisze, że feministki stanowią wręcz promilową, choć opiniotwórczą, grupkę populacji, a przemawiają w imieniu wszystkich kobiet. Tymczasem ponad 90 proc. pozostałych

pań uważa się za normalne i ich goszystowskiej filozofii nie popiera. I tu należałoby napisać może to, co powinno być napisane na początku. Kto to jest feministka? Czy to tylko zdeklarowana organizacyjnie przedstawicielka klasy średniej? Takich rzeczywiście aż tak wiele nie ma. A może feministką jest każda baba, która goni swojego chłopca do pomagania w domu, jeśli sam nie umie się tego domyślić? Takich są miliony, choć tylko niektóre przyznałyby się do feministycznych ciągót (tak zozydono opinii publicznej obraz feministki). Ja się przyznaję.

Z. Kozłowski zauważa (bardzo zresztą uprzejmie, dziękuję), że w *Buncie kur* stroniczo naciągam fakty, sugerując, że dzieło emancypacji kobiet dokonało się dzięki nim samym. Napisałam raczej, że gdyby nie te paskudne feministki, sufrażystki i inne emancypantki, to znacznie dłużej kobiety musiałyby czekać na to, żeby np. móc posiadać swoje konto w banku, studiować na uniwersytecie czy głosować w wyborach. Takie są po prostu historyczne fakty. Dziwnym trafem nie działa się tak, że to mężczyźni namawiali usilnie kobiety, żeby zechciały np. zdobywać wyższe wykształcenie czy rozporządzać swoim majątkiem. Panowie bronili swego stanu posiadania, jak niepodległości.

### Teraz obiecane kalesony Ziuka

Jak niepodległość, to marszałek Piłsudski. Opisalam w *Buncie kur*, jak to feministki wymuszały na nim przyznanie Polkom wyborczych praw, bo w odradzającej się po latach zaborów ojczyźnie początkowo miały być one dane tylko mężczyznom. Przyszły więc kiedyś pod wilę Ziuka i waliły parasolkami w okiennice, a w środku jego żona, zagorzała feministka Aleksandra Szczerbinińska, suszyła mu głowę, żeby przyjął panie i w końcu uległ w kwestii wyborczych praw. Z. Kozłowski zwrócił mi uwagę, że to niemożliwe, żeby człowiek, który powstrzymał nawałę barbarzyńskiej bolszewii, mógł ulec parasolkom. Nawała wprawdzie przysłała ponad dwa lata później, ale mniejsza o to. Marszałek był przecież bohaterem także wcześniej, kiedy to, o czym pisałam, się działo. Według jego legendy było tak, że gdy w pocie czoła spełniał swój małżeński obowiązek, usłyszał walenie w szyby małżeńskiej sypialni. Kiedy w końcu wyrwał się z rozochoconych żoninych objęć i wciągnął kalesony, nie tylko nie wezwał policji, lecz powodowany katolickim duchem rycerskości

udzieli paniom audyencji, w której zresztą nic nie wynikało.

Legenda przeciwko legendzie? Niekoniecznie. Obie sobie nie przeczą. Przecież mogło być tak, że susząca mężowi głowę w kwestii damskich głosowań feministka Ola, po wcześniejszej zmwowie z feministycznymi koleżankami, zagroziła swemu rycerskiemu mężowi (nieważne czy w kalesonach, czy bez), że jej objęcia przestaną być tak rozochoczone, jeśli dalej będzie się upierał przy daniu praw wyborczych tylko mężczyznom. Moment przedstawienia groźby wybrała wyjątkowo perfidnie, czemu nie ma się co dziwić, bo wiemy, jak perfidne potrafią być feministki. Ale to tylko tak półzartem.

Tu konieczna jest jeszcze dygresja, by nikt nie zarzucił mi, że mam luki w wiedzy na temat naszego narodowego bohatera, przepełnionego wspomnianym przez Z. Kozłowskiego „katolickim duchem rycerskości”. Otóż słowo „żona” używane jest w opowieści o stukaniu w okiennice na wyrost. W 1918 r. marszałek nie mógł też spełniać małżeńskiego obowiązku, lecz raczej obowiązek konkubencki. Ziuk i Ola nie byli przecież małżeństwem. Długo żyli na kocią łapę, dorabiając się zresztą po drodze dwóch córek. Pobrali się dopiero w 1921 r., kiedy zmarła żona Piłsudskiego, Maria Juszkiewicz. To po to, żeby móc ją poślubić (była rozwódką), przeszedł nasz bohater w 1899 r. na protestantyzm. Potem znów „wrócił” i z Olą wziął ślub jak najbardziej katolicki, co oczywiście nie oznacza, że wiarę traktował instrumentalnie. Już jednak trzy lata później poznał o 30 lat młodszą Eugenję Lewicką, którą obdarzył niemniej gorącym uczuciem, odwiedzał w Druskiennikach i zabrał na Maderę. Warszawa huczała od plotek, a Ola udała się potem do Geni, raczej nie na plotki. To tak w największym skrócie.

A do poważnych spraw wracając... Mój sympatyczny skądinąd adwersarz napisał, że Piłsudski wydał dekret o prawach wyborczych (w tym i dla kobiet) pod wpływem kodeksu praw demiurga nowożytnego pod wpływem kodeksu praw demurga nowożytnego wolności i równości Bonapartego, wielokrotnie publicznie podkreślając, że jest Napoleonofilem. No cóż, problem tylko w tym, że choć Kodeks Napoleona faktycznie wprowadził wiele nowoczesnych rozwiązań, to prawa kobiet akurat mocno ograniczył. Wprawdzie gwarantował równość przed prawem, wolność dla każdego, ochronę własności prywatnej itp., ale – co było wyraźnie zaznaczone na wstępie – tylko męskim obywatelom ówczesnej Francji. Jeśli chodzi o kobiety, to odebrał im prawa wywalczone w czasie Rewolucji Francuskiej, a konkretnie możliwość kształcenia się na równi z mężczyznami czy zarządzania własnością swoją i małżeńską. Wprowadzał silną władzę ojcowską i mężowską, co miało chronić rodzinę, a powodowało znacznie ograniczenie praw kobiet. Zniósł regułę zrównującą prawa dzieci ślubnych i nieślubnych. Wprowadził zasadę, że mąż mógł żądać rozwodu zawsze, jak żona cudzołożyła, natomiast żona tylko wówczas, gdy kochanka była utrzymywana w ich wspólnym domu. Może więc dobrze, że zauroczony tak mafo prokobiećm Kodeksem Napoleona Piłsudski miał tak feministyczną żonę? Myślącą waginą, czy raczej domagającą się oczywistych z dzisiejszego punktu widzenia praw?

A skąd tytuł mojej repliki *Myślenie półpenisem*? Bo nie uważam, żeby komentowany przeze mnie artykuł Z. Kozłowskiego zasługiwał na wyrzucenie z tytułu owego „pół”. Autor godzi się przecież, chociaż teoretycznie, z równouprawnieniem płci, kobiety szanuje po swojemu, a przede wszystkim zwraca uwagę na kilka rzeczywistych obyczajowych i kulturowych dziwolągów na polu damsko-męskich kontaktów. Szkoda, że giną one w morzu półprawd, nieścisłości i uprzedzeń.



# Feminizm po swojemu

Od jakiegoś czasu przedstawiciele Ministerstwa Rozwoju Regionalnego jeżdżą po Polsce i nauczają, jak w praktyce powinno wyglądać zastosowanie nowego podręcznika o projektach realizowanych w ramach Programu Operacyjnego Kapitał Ludzki, dotyczącego idei równościowych kobiet i mężczyzn\*. Nietrudno się domyślić, że są to kobiety, znacznie trudniej za to – jak wyglądają ich zajęcia i jak tak naprawdę wygląda podręcznik, pełen fatalnych sformułowań i topornego dydaktyzmu.

Otóż trzy autorki przekonują m.in., że w projektach nie należy więcej ludzi nazywać ludźmi czy osobami, ale kobietami i mężczyznami, co więcej, znajduje się tam nawet stwierdzenie, że jeśli w opisie projektu grupie objętej analizą problemu lub działaniami nadano nazwę „osoby”, to projekt utrwala niepokojące stereotypy nierówności społeczno-kulturowej obu płci. Strach pomyśleć po tych fatalnych sformułowaniach, że napisały go kobiety, aby wspomóc i utrwalić pozytywne przemiany, dotyczące zwiększenia obecności kobiet w życiu publicznym, co gorsza w kontekście bardzo częstych nawoływań o traktowanie kobiet właśnie jako osoby, obecnych chociażby w sztuce tworzonej przez artystki, określające się jako feministki. Przypomina to niedawne pomysły dotyczące zmiany tytułowania posłów i posłanek w Parlamencie Europejskim, bowiem dotychczasowe nazewnictwo („poseł” i „posłanka”) nie

spełnia kryteriów działań równościowych. Oba pomysły powstały w oparciu o te same podstawy – stosowne zapisy w traktatach UE i rozporządzenia Komisji, jak też ten sam skład Parlamentu Europejskiego.

Zacząłem od krytyki podręcznika, którego idea jest ze wszech miar słuszna – wymaga najwzyczajniej w świecie, aby poddać refleksji sytuację obu płci we współczesnym świecie, w celu wykrycia przyczyn nierówności oraz podjęcia działań zapobiegających, czyli faktycznego dążenia do korzystnej zmiany sytuacji. Podręcznik służy łopatologicznemu wyłożeniu, jak należy zajmować się problemem równouprawnienia i zmusza potencjalnych projektodawców do stosowania tej łopatologii. Być może tak trzeba...

Dlaczego jednak przeciętny facet zawsze odbierze tego rodzaju pomysły jako absurdalne? Dlatego właśnie, że tak je postrzega. O postrzeganiu zapominają autorzy i autorki podobnych inicjatyw, niezależnie od tego, czy mają rację, czy nie, co niestety częściej prowadzi do agresji, a nie zrozumienia. Co gorsza, zapominają również o empatii, o wczuciu się w sytuację innego człowieka, zapominają o wzięciu pod uwagę różnic światopoglądowych.

Przykro pisać, ale tych samych cech postrzeganych stereotypowo jako kobiece, brakuje właśnie mizoginom, domowym tyranom, facetom, którzy na co dzień gnębią kobiety, świadomie je upokarzając

\* M. Branka, M. Rawłuszko, A. Siekiera, *Zasada równości szans kobiet i mężczyzn w projektach Programu Operacyjnego Kapitał Ludzki. Poradnik*, dostępny w internecie: <http://www.efs.gov.pl/dzialaniapromocyjne/Documents/zasadarownociszans.pdf>

w różnych życiowych sytuacjach, a jeśli nie mają tego świadomości, to tym gorzej.

Problem feminizmu jest zresztą w moim mniemaniu znacznie szerszy niż dyskusja kto i co komu będzie kazał zrobić. To „kazał” jest tutaj kluczowe, od razu oznajmię, że jak dla mnie jest w ogóle niefemistyczne, jest opresyjne, aroganckie i co gorsza właśnie bezrefleksyjne. Dokładnie tak samo bezrefleksyjne jak porady bezmyślnego mizogina, stwierdzającego, że średniowieczny Kościół katolicki wyniósł kobiety (podkreślam liczbę mnogą!) na piedestał, że w minimalnym stopniu brał udział w kaźniach czarownic, że w XIX w. „feminizm” może i był potrzebny, ale obecnie to już nie i w ogóle każdy „normalny” dokładnie wie, co o tym myśleć. Takie niedopowiedzenia, operowanie hasłami, typu „normalny”, z definicją daną *a priori* (co to u diabła znaczy „normalny?”), przypomina małego Kazia, który jak lew będzie bronił zabawek i swojego miejsca w publicznej piaskownicy, które zostało mu dane, tak więc przy nim trwa. Wielu się takich znajduje.

Wydaje się pewnym błędem logicznym atakowanie wszelkich przejawów innego myślenia. Dotyczy to osób, odczuwających zagrożenie swoich światopoglądowych podstaw egzystencji. Błąd logiczny osób, stających jakoby w obronie tradycji, polega na tym, że kompletnie ginie im gdzieś kontekst tej tradycji, kontekst zmieniającego się świata i jego rozumienia. To jak zaprzeczanie faktom, które już się wydarzyły, próba zatrzymania pędzącej rzeki.

Dynamicznie zmieniający się świat i postęp w rozumieniu siebie samego, jak też siebie w społeczeństwie i współczesnym świecie wymaga wiecznej weryfikacji założeń dotyczących współżycia społecznego, bo problem nierówności jest przecież niewątpliwy. Im więcej wiemy na ten temat, tym bardziej powinny ewoluować zasady regulujące to życie, to jest fakt. Dynamika zmian społecznych z kolei generuje kolejne nierówności, raz górą będą górnicy i stocznioowcy, innym razem pracownicy energetyki, jeszcze innym razem geje i lesbijki, a każda większość mająca siłę wyznaczania praw i zasad będzie twierdzić że „normalność” to oni, co jest jak najbardziej zgodne z tradycją.

Nie mogę się zgodzić na lekceważenie, czy nawet zwalczanie feminizmu, nawet jako facet, który jako-by jest zagrożony przez „modliszkowate” dążenia zagorzałych feministek do całkowitej dominacji, cokolwiek by to miało znaczyć. Przede wszystkim dlatego, że w ogóle nie czuję takiego zagrożenia, feminizm bowiem postrzegam znacznie szerzej niż tylko walkę kobiet o równouprawnienie, czy też o całkowitą dominację nad mężczyznami. Dla mnie jest to zjawisko współczesnej kultury; proces, który trwa i z pewnością się nie zakończył. To stopniowe odejście od historii wojen i przemocy, w kierunku historii łagodnej, znaczonej doniosłymi zdarzeniami społecznymi, co zgodne jest z prymatem cech ogólnie postrzeganych jako kobiece.

Nie bardzo wiem, jak zdefiniować zjawisko feminizmu, określić kto to jest feministka czy wojująca feministka – hasło funkcjonujące w społecznej świadomości, o zabarwieniu raczej pejoratywnym. Dla mnie feminizm jest tak samo wielowątkowy i powszechny jak *new age*, który obejmuje niemal każdą sferę życia. To nie tylko analiza statusu płci, to sposób myślenia, metoda funkcjonowania i działania. Feminizm to coraz powszechniejsze funkcjonowanie cech miękkich, zwanych kobiecymi w różnych sferach życia. To zatem niekoniecznie miękkość, ale elastyczność w zarządzaniu, nie chaotyczność, ale uzupełniająca się wielowątkowość w działaniu, nie bezrozumne oddanie, ale gotowość i motywacja do maksymalnego zaangażowania. To również emocjonalność – zbyt często zapominamy, że emocje to nie tylko histeria i nieprzewidywalność, ale też empatia, czyli np. wyczuwanie trendów na rynku (!), umiejętność postępowania z ludźmi i co najważniejsze szczerłość względem samego siebie.

Dla mnie zatem historia feminizmu, to historia rozwoju wzajemnego rozumienia i... wybaczenie chłopy – w porównaniu z upartym trwaniem przy skorupie zwanej patriarchalną tradycją, która przy byle puknięciu rozleci się w pył, przy braku umiejętności krytycznego spojrzenia na historię tej tradycji (wciąż uparcie zastanianej Kościołem) brzmi o wiele bardziej atrakcyjnie.



## NA GRANICY

Michael Kurzweilly

### **Słubfurt bekommt ein Parlament**

Mit einem ungewöhnlichen Projekt verbindet der Verein Słubfurt e.V. die beiden Teile der deutsch-polnischen Doppelstadt Frankfurt- Słubice. Unter dem Titel „PARLAMENT“ finden in der Stadt Słubfurt seit ihrer Gründung im Jahre 1999 die ersten Kommunalwahlen statt.

Ab sofort kann sich jeder Słubfurter Bürger aktiv in die Gestaltung der Stadt Słubfurt einbringen und

Michael Kurzweilly

### **Słubfurt będzie miał własny parlament**

Stowarzyszenie Słubfurt e. V. połączy obydwie części polsko-niemieckiego miasta bliźniaczego niezwykłym projektem. W Słubfurcie odbędą się pod hasłem „PARLAMENT” pierwsze od założenia miasta w 1999 r. wybory komunalne.

Już teraz każdy słubfurtczyk może aktywnie włączyć się w kształtowanie miasta i wystawić swą kandydaturę w tych wyborach. Co najmniej dwóch



sich für die Kommunalwahlen aufstellen lassen. Jeweils mindestens zwei Einwohner der beiden Stadtteile Słub und Furt können zusammen eine Partei gründen, natürlich auf der Basis des Słubfurter Grundgesetzes und seiner Wahlordnung. Diese besagen unter anderem, dass jeder Słubfurt wahlberechtigt ist von der Geburt bis zum Tode.

Der richtig heiße Wahlkampf dauert vom 05.-11. Juli 2009. Wundern Sie sich also nicht über merkwürdige Wahlplakate im Stadtzentrum von Słubfurt, auf denen sich Parteien anpreisen, von denen Sie noch nie etwas gehört haben. Die ersten 6 Parteien, die sich gründen, können im Rahmen des Projektes ein Plakat und eine Informationsbroschüre erstellen. Eine Wahlkampfzeitung informiert über alle Parteien und Ereignisse. Die Schauspielerin Lucyna Winkel aus Poznan wird die Parteien mit Rhetorikunterricht begleiten. Der Stichtag für die Wahlen ist der 11. Juli. Unter der Stadtbrücke befindet sich unsere Wahlkampf-bühne, auf der sich nicht nur die Parteien einen harten Wahl-Kampf liefern, sondern auch jeder Słubfurter, der etwas Kreatives zeigen möchte, zum Mitmachen eingeladen ist. Die beiden Wahllokale befinden sich im Hof des Collegium Polonicum, sowie im Verbündungshaus Fforst in der Forststraße in der Nähe des Oderspeichers. Am Sonntag, den 12. Juli tritt das Słubfurter Parlament zu seiner ersten Sitzung zusammen, ebenfalls unter der Brücke und mit kreativer Begleitung.

Damit sich potentielle Parteigründer und Kreative der beiden Stadtteile Słub und Furt besser kennen lernen und zusammenfinden können, findet am Donnerstag, den 14. Mai von 18-21 Uhr im Stadtverordnetensaal des Furter Rathauses eine Kontaktbörse statt, zu der jeder Einwohner Słubfurts, herzlich eingeladen ist.

Das vom Frankfurter Künstler Michael Kurzwelly konzipierte Projekt wird vom Fonds Soziokultur und der Brandenburgischen Landeszentrale für politische Bildung finanziell unterstützt und im Rahmen eines kulturwissenschaftlichen Seminars unter anderem mit Studenten der Europauniversität Viadrina umgesetzt.

Projektpartner des im Rahmen des Hanse-Stadtfestes stattfindenden Projektes sind der Verein Bunter Hering e.V., das Słubicer Kulturhau SMOK, das Karl-Liebnecht-Gymnasium, das Liceum Nr. 1 und viele Vereine und aktive Bürger der beiden Städte Frankfurt und Słubice.

Mehr Informationen finden Sie unter:  
**[www.parlament.slubfurt.net](http://www.parlament.slubfurt.net)**

mieszkańców obu części Słubu i Furtu może wspólnie założyć partię, oczywiście zgodnie ze Słubfurcką Ustawą Zasadniczą i ordynacją wyborczą Słubfurtu. Przepisy te mówią między innymi, że każdy słubfurtczyk jest uprawniony do głosowania, od chwili narodzin do śmierci.

Naprawdę gorąca kampania wyborcza zaczyna się 5 i kończy 11 listopada 2009 r. Dlatego nie należy się dziwić niezwykłym plakatom w centrum Słubfurtu, reklamującym partie, o których nikt z Państwa jeszcze nie słyszał. Pierwszy 6 partii, które powstaną, może przygotować plakat i broszurę informacyjną w ramach projektu. Będzie również wydawana gazeta, informująca o wszystkich partiach i wydarzeniach. Lucyna Winkel, autorka z Poznania, będzie wspomagać kandydatów, prowadząc zajęcia z retoryki. Dzień wyborów to 11 lipca. Pod mostem miejskim znajduje się scena, na której można prowadzić kampanię wyborczą – wszystkie partie zapraszamy do ostrej walki; jednak każdy, kto chce pokazać coś ciekawego, będzie na niej mile widziany. Lokale wyborcze, są planowane dwa, będą znajdowały się w Collegium Polonicum i w Verbündungshaus Fforst na ulicy Forststraße w pobliżu restauracji Oderspeicher. W niedzielę, 12 lipca, parlament słubfurcki zbierze się na swym pierwszym posiedzeniu, także pod mostem i z udziałem programu artystycznego.

Osoby, które chciałyby założyć partię, a także wszelkie twórcze osoby z obu strony Słubu i Furtu, będą miały okazję poznać się lepiej w czwartek, 14 maja, w godzinach od 18 do 21 w sali Rady Miejskiej furckiego Ratusza, podczas giełdy kontaktów, na którą zapraszamy serdecznie wszystkich mieszkańców Słubfurtu.

Projekt frankfurckiego artysty Michaela Kurzwelly korzysta ze wsparcia finansowego Funduszu Kultury Społecznej oraz Brandenburgskiej Centrali Wychowania Politycznego i jest realizowany w ramach seminarium kulturoznawczego m.in. wraz ze studentami Europejskiego Uniwersytetu Viadrina.

Partnerami projektu odbywającego się w ramach Dni Hanzy są stowarzyszenie Bunter Hering e.V., słubicki Dom Kultury SMOK, gimnazjum im. Karola Liebnechta, Liceum nr 1 oraz wiele stowarzyszeń i liczni obywatele Frankfurtu i Słubice.

Więcej informacji można znaleźć pod adresem:  
**[www.parlament.slubfurt.net](http://www.parlament.slubfurt.net)**

**Tłumaczenie Grzegorz Kowalski**

**Bereska – Bjerjozka – Brzózka – Birklein**

Masz śląską naturę:  
jesteś wrażliwy, żywotny, towarzyski,  
łaknący wiedzy, cierpliwy, skupiony,  
żaden z ciebie Heinz, nawet nie Heinrich,  
A po prostu Henryk.

Otacza cię grono przyjaciół  
jak grzyby wokół drzewa  
w brzeźniaku.

Zgłoski, zgłoski – niezliczone,  
niczym roje szarańczy,  
polskie o miękkim,  
niemieckie o twardym brzmieniu.

Muzyka słów,  
słów stamtąd tutaj,  
w twoim niepowtarzalnym dźwięku:  
odkrywasz nieznanne,  
badasz to co nieprawdopodobne,  
z głębiasz myśli autora,  
lecz tak by nie dostać przy tym zadyszki.

Bereska – Bjerjozka – Brzózka – Birklein.  
Twoi przodkowie przesadzeni jak brzozy  
z odległych pól nad Dnieprem  
do kopalń Śląska,  
a ty, ich potomek, osiadłeś nad Szprewą.

Niczym samotny myśliwy  
tropiący zwierzynę  
wędrujesz w ciemne noce  
chrapiącą przez sen metropolią  
by z jej zaułków  
z czułością wplatać  
żargon w swoje wiersze.

lipiec 2005

**Bereska – Bjerjoska – Brzózka – Birklein**

Bist ein Mann schlesischer Natur:  
Sensibel, lebenslustig, gesellig,  
wissbegierig, geduldig, konzentriert,  
kein Heinz, nicht mal Heinrich,  
sondern Henryk, auf Polnisch.

Freunde umgeben dich,  
wie Birkenpilze  
im Birkenhain ein Baum.

Silben, Silben – unzählbare,  
wie ein Heuschreckenschwarm,  
die weichen im polnischen,  
die harten im deutschen Ton.

Musik den Worte,  
der Worte von dort ins hier,  
in einem nur dir eigenem Klang:  
Entdeckung des Unbekannten,  
Erforschung des Unglaublichen,  
Eintauchen in Autors Gedanken,  
und den Atem dabei nicht verlieren.

Bereska – Bjerjoska – Brzózka – Birklein.  
Deine Vorfahren wie Birken verpflanzt  
Von entlegenen Feldern am Dnepr  
Bis in die Kohlengruben Schlesiens,  
und du, ihr Nachkomme bist ausgesetzt  
an der Spree.

Wie ein einsamer Jäger,  
der dem Wild auflauert,  
wanderst du in dunklen Nächten  
durch die im Schlaf schnarchende Großbaus ihren Ecken  
ihr Jargon in deine Gedichte  
liebevoll einflechten können.

Juli 2005

Übersetzung vom Autor



## PREZENTACJE

### Andrzej Bobrowski

Ukończył studia na Wydziale Malarstwa, Grafiki i Rzeźby Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Poznaniu. Uzyskał dyplom z wyróżnieniem w Pracowni Drzeworytu prof. Zbigniewa Lutomskiego (1990). Stypendysta miasta Wolfzburg (1988) oraz Ministerstwa Kultury i Sztuki (1990 i 1997). Nominowany do Grand Prix Triennale Grafiki Polskiej w Katowicach (2003). Dziedziny twórczości: malarstwo, grafika, działania przestrzenne (instalacje, obiekty). Pracownik Instytutu Sztuk Pięknych Uniwersytetu Zielonogórskiego i Akademii Sztuk Pięknych w Poznaniu. Zajmuje się malarstwem, grafiką i działaniami przestrzennymi (instalacje, obiekty).

**Wystawy indywidualne:** 2003 Muzeum Ziemi Nyskiej, Nysa; 2002 BWA Zielona Góra; Galeria Grafiki Biblioteki Sztuki, ISP UZ; 2001 Galeria Miejska Arsenał, Poznań; 1998 Galeria ON, Poznań; 1997 Galeria Pracownia Zastępcza, Poznań; 1996 Galeria Miejska, Piła; 1994 Galeria Prowincjonalna, Słubice; 1993 Rathaus Galerie, Galerie in der Lampenfabrik, Druckladen des Gutenberg Museum, Mainz; 1987 KulturZentrum Wolfsburg.

**Wystawy zbiorowe:** 2003 Triennale Grafiki Polskiej, Katowice, Międzynarodowe Triennale Grafiki Kraków; V Triennale Sztuki Sakrum, Miejska Galeria Sztuki, Częstochowa; Miejska Galeria Sztuki Sopot; 2001 NONA, Galeria U Jezuitów, Poznań; 2000 Serce, Dusza, Ciało, Innerspaces, Poznań; 1999 Oni; Galeria Prowincjonalna, Słubice; 1998 Polnische Grafik der Gegenwart, Museum Junge Kunst, Frankfurt nad Odrą, Kolekcja wystawa ze zbiorów Galerii Prowincjonalnej, Słubice; 1996 Grafika poza formatem, Kubus, Hannover, BWA Poznań; 1995 Nowa Grafika Polska, Galeria Prowincjonalna Słubice; Gallerie Gallus Frankfurt nad Odrą, BWA-Gorzów Wlkp.; Grafik aus Poznań, Museum Junge Kunst, Frankfurt nad Odrą, Pracownia Drzeworytu 108; Galeria Garbary, Galeria Pracownia Zastępcza, Poznań; Marcowe Gody 2, Galeria 86, Muzeum Artystów, Łódź; Triennale Grafiki w Norymberdze, CONSUMENTA 95; 1994 Triennale Grafiki Polskiej, Kunstverein zu Frechen E.V.; Staatsaal, Frechen, Niemcy; Triennale Grafiki Polskiej, Museum Xylon, Schwetzingen, Niemcy, Musee des Beaux-Arts, Le Locle, Szwajcaria; Galeria Centrum Kongresowego, Clermont-Ferrand, Francja; Triennale Grafiki Polskiej, Katowice; Międzynarodowe Triennale Grafiki, Kraków; 1992 Międzynarodowe Biennale Drzeworytu, Bańska Bystrzyca, Czechosłowacja; 1991 Międzynarodowe Triennale Grafiki, Kraków; Nachbarn, Consumenta Art. 91, Norymberga, Niemcy; Triennale Grafiki Polskiej, Katowice; Przegląd Grafiki Polskiej, Łódź; 10 x Grafika Poszukująca, Galeria ON, Poznań; 1990 i 1997 Stypendium twórcze Ministerstwa Kultury i Sztuki.



Andrzej Bobrowski, *Fundacja dobrego człowieka* (fragment wystawy), BWA Zielona Góra, 2002



Andrzej Bobrowski, *Stan pamięci II*, Muzeum Ziemi Lubuskiej, Galeria Nowy Wiek, Zielona Góra, 2009



Andrzej Bobrowski, *Stan pamięci II*, Muzeum Ziemi Lubuskiej, Galeria Nowy Wiek, Zielona Góra, 2009



Andrzej Bobrowski, *Stan pamięci II* (detail), Muzeum Ziemi Lubuskiej, Galeria Nowy Wiek, Zielona Góra, 2009



# Ślady pamięci

Reliefowe struktury prac Andrzeja Bobrowskiego na pierwszy rzut oka przypominają starożytny kamień z Rosetty. Kojarzą się z hieroglifami lub pismem klinowym. Nie trzeba być jednakże współczesnym Champolionem, aby je odczytać. Przejrzystość przekazu wynika z motywów, które od kilkunastu lat tworzą rozpoznawalną poetykę jego dokonań. Są nimi proste piktogramy wyobrażające sylwetki człowieka. Dobrze widoczne, bez problemu można je nawet wyczuć opuszkami palców niczym pismo Braille'a. Każda postać jest inna, jak każdy z nas. Niezliczone tańcuchy ludzików wypełniają ściśle grafiki, obrazy i obiekty. Stanowią charakterystyczny element instalacji przestrzennych. Pełnią rolę autorskiego alfabetu, za pomocą którego Bobrowski opisuje świat. Zapytany o źródła inspiracji swojego zapisu, na pierwszym miejscu wymienia... graficzne kody kreskowe. Przeznaczone do czytników elektronicznych, od jakiegoś czasu znane powszechnie chociażby z opakowań produktów czy oznakowań bibliotecznych książek. W dalszej kolejności wyróżnia zjawiska obserwowane w naturze: regularne bruzdy na zaoranym polu, uporządkowane rzędy zbóż, rytm pni drzew w lesie. Urzeka go swoista, iście wojskowa dyscyplina panująca w mrowisku. Odnosi się także do kataklizmów i konfliktów zbrojnych, jakie miały miejsce w dziejach ludzkości. „Stawały naprzeciwko siebie dwie wielkie armie rycerzy albo żołnierzy ustawione we wrogie rzędy, potem ten historyczny teatr ludzki ruszał z miejsca i linearny porządek ustępował miejsca kłębowisku, chaosowi” – stwierdza artysta w wywiadzie zamieszczonym na łamach czasopisma „Morele i Grejpruty”. Z owych inspiracji

narodziło się szereg grafik i obrazów. Nawiązują one wprost do naturalnych pradawnych ludzkich rytmów związanych z doświadczaniem życia w rozmaitych jego przejawach. Przedstawiają płaszczyzny pól: Namiętności, Nadziei, Radości, Miłości, Szczęścia, Marzeń. Powstały również Pola Śmierci... Są to w większości kompozycje złożone z drobnych części, składające się na geometryzujące układy form, które nadają powierzchni dynamiczną wibrację. Potęgowaniu nastroju służy kolor, sprowadzający się najczęściej do podstawowego graficznego kontrastu – bieli i czerni.

Zapis Bobrowskiego ma charakter metodyczny. Jest na pewien sposób rytuałem, liturgią wymagającą koncentracji i pokory. Rejestruje czas, rytm biologiczny oraz energię twórcy. Staje się egzystencjalnym śladem podkreślającym doniosłą rolę trwania jako nieskończonej struktury. Ten właśnie aspekt sprawia, iż poszukiwania artysty możemy odczytywać jako plastyczną egzemplifikację dociekań filozoficznych Henriego Bergsona (podobnie jak np. twórczość Romana Opałki czy Jana Tarasina). Życiowy dynamizm, określane przez francuskiego myśliciela mianem *élan vital*, towarzyszy mu zresztą nie tylko w działalności artystycznej, ale także w codziennej krzątaninie. Kiedy zмага się z remontem wiejskiego domu w Mirosławkach i gdy jako pedagog uczy młodzież akademicką trudnej sztuki drzeworytu. Czynności te wiążą się z nieustannym przewyciężaniem oporu stawianego przez materię. Andrzej pozostaje jednak wiecznym optymistą. Po prostu wierzy w człowieka...

Otwarta pod koniec stycznia br. wystawa w muzealnej Galerii Nowy Wiek nosiła tytuł *Stan pamięci II*. Tematyką nawiązywała do ubiegłorocznej prezen-

tacji artysty w Krakowie, która odbyła się w galerii Otwarta Pracownia. W porównaniu z krakowską realizacją, zielonogórski pokaz zawierał elementy o różnej proveniencji i odmiennej naturze. Łączył fizyczną obecność poszczególnych prac z czynnikiem niematerialnym, w postaci światła, które pokonując panującą ciemność, budowało metafizyczne napięcie instalacji. Ustawiona bezpośrednio na podłodze mała domowa lampa oświetlała kilkumetrową, prostokątną płaszczyznę usypaną z popiołu. Ten specyficzny „dywan” przypominał o śmierci, rozkładzie, przemijaniu, będąc jednocześnie symbolem oczyszczenia i zmartwychwstania. W centralnym miejscu, na ścianie, twórca umieścił w dużej ramie niewielką kwadratową płytkę ze szczerego złota. Zostały na niej wygrawerowane szeregi ludzkich figur. Każda z nich posiada rytowane serce. Płytką pełniła rolę wzorca, emblematu sztuki Bobrowskiego. Jej związki z grafiką, utrwalaniem, powtarzalnością są oczywiste. To znak zawierający ważny przekaz dla przyszłych pokoleń. Dlatego też wymaga ochrony jak cenna relikwia. Nie bez powodu więc po bokach znalazły się „strażnicy skarbu”. W istocie zaś były to muzealne zbroje rycerskie, symboliczne metalowe powłoki świadczące o ludziach walecznych i prawych.

W sąsiednim pomieszczeniu umiejscowione zostały trzy pionowe cylindryczne formy wykonane z wielkoformatowych grafik. Podświetlone od dołu emitowały światło ujawniające ażurowe wycięcia sylwetek człowieka. Przywoływały wspomnienie ofiar ataku terrorystycznego na wieże World Trade Center. To tylko jedno z wielu skojarzeń, jakie narzucały się w bezpośrednim kontakcie z tymi pracami. Według Andrzeja Bobrowskiego: „Pamięć to znak o określonej formie i wynikającej z niej treści. Odpowiednio wydobytą na światło ma czasem moc rozjaśniania mroku...”.

## Krytycy o artyście

Duże matryce graficzne, w których pojawiają się konturowe sylwetki, są efektem żmudnej pracy, rytmicznego zarysowywania gipsowej powierzchni prostym, by nie powiedzieć prymitywnym skrobakiem. W tej gęstej fakturze pojawia się lekka, ulatująca wręcz sylwetka postaci, której swoboda kontrastuje z pieczołowicie opracowaną powierzchnią. W cyklu prac wykonywanych na desce, które –

mimo że są matrycami graficznymi – ekspozowane są jak samodzielne obiekty, sytuacja jest odwrotna. (...) Łańcuchy połączonych ramionami sylwetek wypełniają gęsto powierzchnię deski niczym linie kaligraficznego pisma.

*Piotr Bernatowicz*

\* \* \*

Pokazując jednocześnie matryce i grafiki, będące efektem ich odbicia, artysta nie zdradza tajemnic warsztatu, co najwyżej sugeruje oczywistą dla siebie równowagę tych dwóch światów. Matryce są oczywiście trójwymiarowe, grafiki, które z nich odbito, są płaszczyzną. Ale to, co najciekawsze, dzieje się w przestrzeni pomiędzy nimi. (...)

*Wojtek Kozłowski*

\* \* \*

Te niekończące się rzędy postaci, te białe figurki, zwłaszcza z daleka, w ciemnościach zlewają się w trudno rozpoznawalny, nieczytelny wzór. Motyw, w którym dopatrywano się dalekich odniesień do reliefów egipskich, jak i malarstwa ikonowego – jest dla artysty jego ponadczasową rzeczywistością. (...)

*Włodzimierz Nowaczyk*

\* \* \*

Pierwsza myśl, jaka rodzi się w mojej głowie, kiedy oglądam grafiki Andrzeja Bobrowskiego, odnosi się do idei śladu. (...) Ślad konstruuje bowiem w tym wypadku procedurę konstruowania i interpretowania znaczeń. Na pierwszy rzut oka prace Bobrowskiego zdają się podlegać czystej grze formalnej. Artysta z niezwykłą dbałością organizuje pole, które zorganizowane jest według zasady powtórzeń: ślady następują po sobie, tworząc osobliwy, niemal digitalny deseń. (...) Powtarzające się elementy, w przypadku Bobrowskiego, to, co na matrycy wypukłe, a w konsekwencji odbite na papierze, tworzy linearną strukturę nawiązującą do konstrukcji tekstu.

*Ryszard K. Przybylski*

\* \* \*

Nasza epoka jest epoką bólów i niepokojów. Łatwo się w niej zagubić, dlatego każda propozycja śladu wydaje mi się cenna. Tak też odczytuję twórczość Andrzeja Bobrowskiego. (...)

*Wojciech Śmigiełski*



VARIA

Wojciech Jachimowicz

## Historia o kamiennym krzyżu z Lubiechowa

Jarmark w Szprotawie tego lata był ogromny. Miejscy halabardnicy mieli pełne ręce roboty z urwipółciami i wszelkiej maści rzezimieszkami gromadnie ściągniętymi do miasta. Nawet jednego wieczora trzeba było bramy wcześniej pozamykać, bo od strony Żagania nadciągała ich cała gromada. Wyglądało to jakby się pozmawiali i większy zamęt

chcieli na jarmarku uczynić. Ale i to nie pomogło, bo ich sporo przez bramę poprzelażyło i dowódca nocnej straży kazał posłać naprędce po dodatkowego kata, spodziewając się dla niego większej roboty po osądzeniu zbirów. Bo bywało i tak w Szprotawie, że po takim targu to i trzech trzeba było stosownie przy pręgierzu publicznie oprawić. Miejskie więzienie było

już gęsto wypełnione czternastoma złoczyńcami i do lochu głodowego wtedy nowych penitencjagite powsadzano.

Jarmark był doprawdy okazały. Tłuste krowy pędzono przez ulice, garncarze z Bolesławca kramy wypchane poustawiali i Inianym płótnem poprzykrywali od słońca. Kuglarze podskakiwali i tańcowali, potrząsając okrągłymi dzwoneczki na kaduceuszach. Ptaszników nawet przybyło czterech z wozami obwieszonymi wiklinowymi klatkami, ze śpiewającymi szczygłami, a nawet z kolorową makolągwą w jednej. Wina, miodu i okowity lano dla rozochoczonych chłopów w drewniane kubki, a gorzałkę sprzedawał w małych cynowych kieliszkach na ustawianej przed apteką mense uczonego aptekarz Agrypa z Pragi. Na boleści trzewi pomagała niezawodnie – jak twierdził uczonego – i wierzono mu bez szemrania.

Znalazł się też sprzedawca maści z utartego ucha krokodyla nilowego pomagającej na wszystko. Tylko jak widział w pobliżu jakiegoś halabardnika, to cichaczem umykał gdzieś dalej, aby z władzą nie mieć do czynienia.

Tumult i ciżba była wielka. Spoceni i rozgrzani od gorzałki i innych trunków młokosi latali niby opętani za dziewczuchami. Te, piszcząc i śmiejąc się, uciekały między wozy i stragany, robiąc jeszcze większe zamieszanie, kiedy potykały się i fikały bosymi nogami, pokazując białe łydki ku ucieście kramarzy.

Dobra nawieziono wtedy co nie miara: i świecidełek kolorowych, i lusterek, i długich sznurów koralu z zamorskich krajów i widziano sprzedawcę jantaru z broszami poprzipinany do kaftana i chromowych ciżemek. Były też kramy miejscowych hutników z kęsami surowego żelaza i stragany kowali pełne odkutych lichtarzy, lemieszki i sierpów.

Z boku targowiska trupa wędrowna ustawiła swój teatr zrobiony z rozwieszonych na drągach brzozywych szmat w błękitnym kolorze. Sztuki pokazywano od samego już ranka. Gawiedz złażała się tam zewsząd, aby nie tyle na przedstawienie, co aby oglądać ciemnoskórą tancerkę przyodzianą w kolorowe wstążki. Ścisk był tam okrutny, to i zaczynali się kręcić tam łotrzykowie wszelkiej profesji. Najwięcej było złodziei obcinających zawieszony na rzemkach do pasów sakiewki pełne mamony. Nie gardzili też koszykami wypełnionymi jałdem i kupionym sukmem.

Przyplątała się do tego miejsca i grupa trzech złodziejasków poubierana w kapelusze wytarte

i wyszmelcowane. Nie byli oni jednak wprawieni dobrze w swoim fachu, bo przez cały dzień skradli tylko jedną sakiewkę, w której ledwo garstkę miedziaków znaleźli. Głodni byli i źli okrutnie. Miotali między siebie z tego głodu tylko iskrzące spojrzenia i czasem przeklinali szpetnie po niemiecku. Wieczór się zbliżał, a tu zysku specjalnie nie widać. Za to kręcą się dookoła halabardnicy i wieść niesie, że drugiego kata już sprowadzono, to i humory im nie dopisywały. Bali się też noży wyciągać do roboty, bo można było być złapanym i katowi przed oczy postawionym, a to już może darciem pasów się zakończyć albo potraktowaniem żelaznym kijem przy pręgiarzu.

Postanowili złodziejaskowie, że noc spędzą za murami, aby nie wpaść w oczy kręcących się wszędzie na czarno poubieranych szpiegów na usługach ratusza. Powlekli się więc wieczorną porą w stronę Lubiechowa. Droga była miejscami piaszczysta i ciżmy grzęzły po kostki. Kłócili się przy okazji o byle co i wrzeszczeli na siebie we wszystkich tonacjach, płosząc z pół kuropatwy. Stanęli wreszcie przed karczmą w Lubiechowie. Gwaro w niej było jeszcze, więc nie weszli, a w krzakach przycupnęli i naradę zaczęli, co by tu wyczytać, aby do brzucha coś na wieczereź włożyć. Umyślili naprędce, że do nocy poczekają, a wtedy przez małe okienko od strony pastwiska wsadzą najmniejszego z nich, rudawego kamrata, a on tam zrobi co trzeba i chleba, i wędzonki im poda ze spiżarni.

W karczmie hucztało jak w ulu. Tego wieczora gromada chłopów piła całymi dzbanami cienkuszowate wino za sprzedane rankiem korce żyta. Karczmarz Bogumił za szynkwasem pokrzykiwał tylko na młodą dziewczkę, aby uwijała się raźniej, bo chłopom już trunku brakowało. Sam zaś tylko kreski kredą stawiał na czarnej tabliczce za każdy dzbanek, aby rachunku nie pomylić przy płaceniu. Bogumił był roslým, nie zawsze ogoloným Ślązakiem, który nie bał się karczemnych awantur. W takich razach szcepionych ze sobą dyskutantów podchmielonych siwuchą brał za kołnierze i przez niskie drzwi wyrzucał dla ochłonięcia przed karczmę. Towarzyszył mu w tej robocie czarny kundel, którego przygarnął rok temu, gdy ten przyplątał się pod karczmę, szukając ratunku. Pobity był okrutnie przez jakiegoś kupczyka za to, że dobrał się do jego sakwy z jedzeniem przytroczonej do wozu. Bogumił odpał psa, wygarniając resztki zupy z miedzianego kotła co rano, a ten w ramach psiej wdzięczności pomagał mu rozganiać

awantury. Robił to dość zabawnie, podskakując wysoko i celując zębiskami, aby w ucho trafić. Czasem nawet mu się to udawało ku uciesze biesiadników. Wtedy takiego awanturника obśmiewano, że ma psie ucho, bo kundel mu kawałek postrzępił, a nawet i fragment, bywało, odgryzł. Zabawa była wtedy jeszcze większa, bo pies biegał z kawałkiem takiego narzędzia, a biesiadnicy tarzali się ze śmiechu po klepisku gospody.

Noc nadeszła powoli i ciepło. Złodziejaszkwowie mało nie przespali odpowiedniego momentu na wejście do gospody. Nawet im miesiącek sprzyjał, bo za małą chmurę wpełzł na długo i ciemniej się zrobiło. W gospodzie było już cicho. Ustały odgłosy pijatyki i kłótni zażartej o barwy spódnicy pewnej ładaczniczki z Chichów, która po jarmarku latała boso, przeklinając piskliwie swojego kochanka, który przepadł przed dwiema niedzielami.

Podeszli pod małe okienko i wprawnie je otworzywszy podsadzili najmniejszego kompana. Szybko wlaź do gospody i przepadł w ciemności. Czekali już na jedzenie za długo, a tego wciąż zobaczyć w okienku nie mogli. Wreszcie wychyliła się z niego głowa kamrata i powiedziała, że szynk nie ma, bo ukryte zostały pewnie gdzieś indziej. Wygramolił się po cichu i stanął z pozostałymi pod drewnianą ścianą karczmy.

Głód doskwierał im coraz bardziej i doradzał większe jeszcze zuchwalstwo. Poszli tedy do wejścia i zaczęli już całkiem bezczelnie łatać się do drzwi. Hałas ten obudził nocną czujność czarnego kundla, a ten zajadłym jazgotem podniósł na nogi karczmarza Bogumiła. Wstał naprędce i w szarym kaftanie popędził do drzwi, z łoskotem je otwierając. Złodziejaszkwowie w nocnych ciemnościach ujrzeli rosnącego karczmarza, który wydał się jeszcze większy niż za dnia i oberwawszy pierwsze razy po nieogolonych pyskach, wzięli się do ucieczki. Zapomnieli o głodzie i swych zamiarach, myśląc tylko, aby ująć z całą skórą. Bogumił popędził za nimi w towarzystwie swego czarnego psa, wydobywającego z siebie jakieś piekielne skowyty. Wreszcie dopadł karczmarz złoczyńców i obaliwszy całą trójkę na piach nie na żarty zaczął okładać pięściami wielkości bochnów ich pyski. Jednak jeden z nich jakoś sięgnął po ukryty pod siermięgą zakrecony nóż i wsadził go po zebra karczmarza. Cios był śmiertelny. Karczmarz po chwili ducha wyzionął i tylko pies jeszcze walczył, ale nie dał rady. Na koniec jeszcze jednemu kawał ucha odgryzł swoim zwyczajem i popędził w stronę Szprotawy.

Wiść o tragedii szybko się rozeszła od samego rana, kiedy niedopici bywalcy karczmy przyszli, aby się podchmielić, a tu taką tragedię zobaczyli.

Żeby to zgładzono kogo innego, to takiego gniewu by nie było. Ale to była jedyna karczma w okolicy, więc całe pijactwo w zawziętości zaczęło szukać sprawców. Od razu odnaleziono czarnego psa noszącego kawał ucha. Sprawa była już prostsza. Wiadomo, że złoczyńca musiał być okaleczony i takiego szukano. Prędko znaleziono jednego z takim uchem, który tłumaczył, że z koleżkami się poszarпали i tak właśnie go uszkodzono. Wiary w to nie dano i poprowadzono go do Szprotawy, gdzie mistrz katowski go dokładniej przepętał, używając argumentu gorącego żelaza. Przesłuchiwany wydał tedy miejsce biwaku kamratów i w parę godzin konni ich przyprowadzili przed sąd.

Z początku chciano ich zwyczajnie kołem połamać przed murami miejskimi, ale miejscowy organista uczony w piśmie powiedział, że lepiej niech trochę popracują przy wykuciu krzyża pokutnego, a dopiero później niech nimi kat zajmie się stosownie do popełnionej zbrodni.

Tak postanowiono. Kuli więc w wielkim głązie krzyż, ale ociągali się niemiłosiernie to i strażnik czasem musiał ich zachęcać do tej pracy batogiem. Wtedy sprawniej machali kamieniarskimi młotkami.

Po miesiącu krzyż był gotowy i ustawiony w miejscu zbrodni. Dalej sprawy potoczyły się już zgodnie z prawem. A pod krzyżem, nie wiedzieć czemu, co pewien czas leżał czarny kundel całymi dniami. Powiadano, że to ten od karczmarza Bogumiła.

Nowy karczmarz później szynk trzymał i o sprawie powoli zapomniano. Tylko ten czarny pies pojawiał się pod krzyżem często. Po latach i on jednak przepadł, a wysokie trawiska porosły gęsto koło krzyża.

\*\*\*

Do dziś stoi kamienny krzyż pojednania w Lubiechowie, a czasem powiadają, że widać pod nim wylegające się jakieś wędrowne kundle, których nikt nie zna w całej okolicy i nie wiadomo czemu to miejsce sobie upatrzyły.

styczeń 2009

# Kilka słów o środowisku literackim w Żarach

Gdyby wnioskować o tworzeniu literatury pięknej w Żarach na podstawie niedawnego wystąpienia pewnego literata podczas tegorocznych Majowych Spotkań Literackich (8), to byłby to obraz niemal zupełnej pustki. Jednak nie przypadkowo tutaj właśnie miało miejsce (16 maja br.) międzynarodowe sympozjum (jednak nieco nudnawe) pod wielce obiecującym tytułem *Literackie pomosty* z udziałem pisarzy i tłumaczy z Estonii, Białorusi, Litwy, Ukrainy, Słowacji i Niemiec. Dlaczego tutaj? Dlatego, że w mieście Promnitzów od wielu lat istnieje bogate już środowisko literackie, które systematycznie wzrasta. Można byłoby na ten temat napisać całkiem sporą pracę magisterską

Mitologiczny swój początek bierze ono w początkowych latach 60. ubiegłego wieku, kiedy to dokładnie 14 marca 1962 r. powołano do istnienia grupę poetycką „Dziewin”. Czasy w tym względzie były pionierskie, a więc piękne. Pierwsza wspólna publikacja – almanach *Rylcem i piórem* – spotkania i dyskusje literackie, o których gorącej atmosferze w dobrym stylu pisze w poemacie *Na Ogródowej* Janusz Werstler, była znakiem rozwijającego się życia kulturalnego w tym mieście w ogóle. Wszyscy byli młodzi, piękni, „promienni, chętni, z pomysłami”. Grupa była dość liczna. Luźna programowo. Powstawały wiersze i malowano obrazy. Wielu jednak nie wytrwało zbyt długo w tym twórczym zaję-

ciu. Czemu nie należy się zbyt dziwić. Tylko Werstlerowi udało się po kilku latach wydać indywidualny zbiorek *Pytania* (1970), a jeszcze później, bo dopiero w roku 2000, również Andrzejowi Patrzykontowi tomik *W stronę cienia*. I, co ważne, tylko autor *Psalmu o Mieście* do dzisiaj jest na tej niwie ciągle aktywny. Oddając sprawiedliwość, trzeba powiedzieć, że jego działania wtedy przyczyniały się do powstania fundamentalnych instytucji w sferze miejskiej, żarskiej kultury. Literacki rozwój środowiska, tak jak na całym świecie, ściśle łączy się z pojawieniem się nowych talentów, debiutów, kolejnych generacji twórców. I tak to również wygląda w Żarach. Pierwsze symptomy odnowienia się ducha poetyckiego pojawiły się około roku 1980. Niezwykle ciekawego w polskiej historii społecznej. Wtedy już wiadomo było, że są tu nowe osobowości w sferze słowa. Młodzi poeci, nawiązując do miejscowej tradycji, postanowili zaistnieć zbiorowo w grupie „Dziewin – Młodzi”, a ich możliwości prezentował almanach *Grzech* (1980). Tak się szczęśliwie składa, że do dzisiaj prawie wszyscy z tej grupy piszą. Przede wszystkim to jest ważne, że zdołali opublikować w ostatnich latach swoje indywidualne książki. Inaczej mówiąc: żarskie środowisko wzbogaciło się pokoleniowo, a w twórczości jakościowo. Na początku tego wieku, w 2002 roku, ukazała się pięknie pod względem edytorskim opracowana

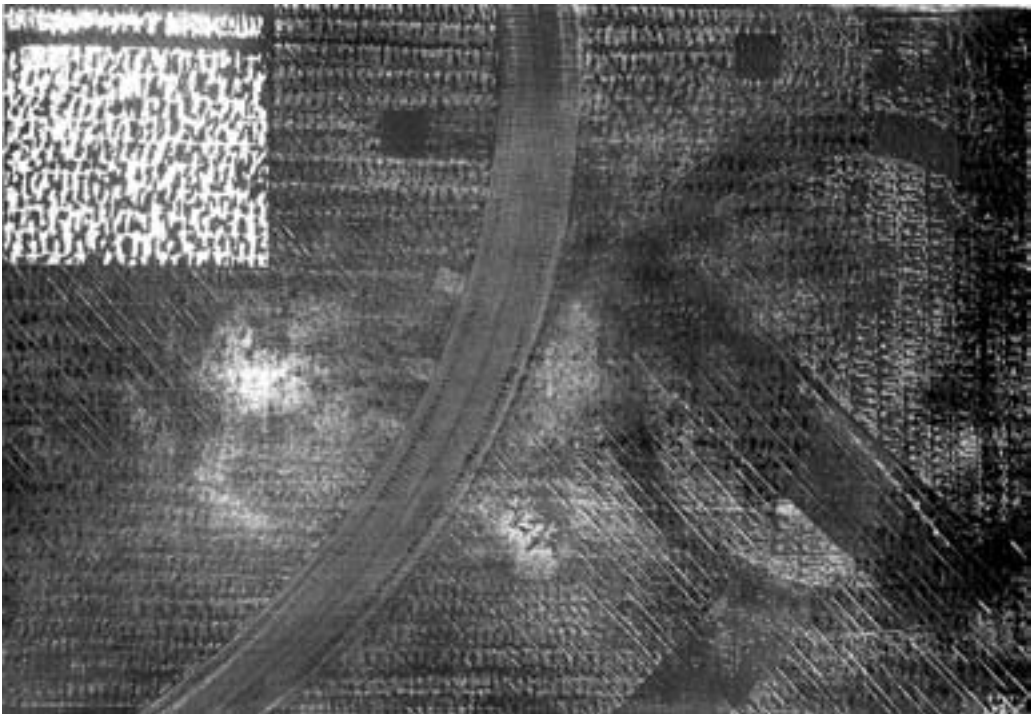
antologia pt. *Dopowiadanie zieleni*, która ten stan już ściśle ilustrowała.

Nie jeden raz było mi dane bardzo blisko spotykać się z żarskimi poetami (i poetkami) na imprezach literackich, biesiadach, jak choćby przeurocze, po części na wolnym powietrzu się odbywające, Majowe Spotkania pod Kwitnącą Magnolią, organizowane przez dyrektora Jana Tyrę, czy na promocjach ukazujących się książek, a jeszcze częściej, zdecydowanie częściej, były i są to spotkania oraz rozmowy osobiste, a nawet bardzo osobiste. Które lubię najbardziej. Bo one coś autentycznego do wnętrza wnoszą, nawet jeśli to jest nostalgia, to niekiedy wzbudzają bardzo silną, niespodziewaną inspirację do tworzenia. Rozmawiałem kilka godzin z Nadeждą Myszlenik, gdy tłumaczyłem kilka jej wierszy ze zbioru jeszcze wydanego w Rosji. Nie jeden raz Grażynka Rozwadowska-Bar gościła mnie w swoim domu, poznałem jej córeczki, męża, psa, piliśmy herbatę, jedliśmy ciasteczka, rozmawialiśmy o literaturze światowej i tzw. życiu. Dzięki jednej z żarskich poetek mogłem ujrzeć park wokół Zamku w Żaganu, tak jak nigdy by to zapewne nie było w ogóle możliwe. Kiedy tylko jestem w Żarach, to za każdym razem nie omieszkuję zaglądnąć do na poly tajemniczego Antykwarjatu Janusza (wiadomo kogo), który szczerze, z swego biurka zawsze nieco zaskoczony, ciekaw wszystkiego, podnosi się, z uśmiechem mnie wita oraz gości. A nawet po spotkaniu zaciąga do pobliskiego baru małej gastronomii, bym nie wracał do Zielonej Góry przypadkiem głodny. Mój poniekąd udział w literackim życiu Żar o tyle jest dla mnie szczególnie, i z tego powodu tekst w tym miejscu ma (musi mieć) formę podmiotowej wypowiedzi, że z jednej strony, na tyle, na ile mam możliwość, regularnie pisuję po prostu recenzje o wydawanych książkach, głównie w „Pro Libris”, i zarazem kwalifikuję teksty do publikacji, a z drugiej, czym się chlubię, mojego autorstwa są posłowia i wstępy do kilku książek żarskich, np.: *Ocalone w słowie* (2001) Werstlera, *Nie lubię zegarów* (2000) Rozwadowskiej-Bar, a także: Andrzeja Zychli, Romana Rysia, Joli Baworowskiej, Ireneusza Kozioła czy Andrzeja Zubryckiego (jednak tomik się nie ukazał do tej pory). Również wstępem, i to pokaźnej objętości, opatrzyłem legendy Zdzisława Dąbka, poznanego w dawnym już czasie. Jeszcze za jego życia. Zaowocowało to współpracą z Kroniką Ziemi Żarskiej i Wydawnictwem „Soravia”. Żal mi, i to bar-

dzo, że mimo upływu lat do tej pory te legendy nie ujrzały światła dziennego. A było już tak blisko do realizacji zadania w twardej oprawie. Nawet kolorowe ilustracje do tej książki zrobił Ireneusz Pruszyński. Mało kto może dzisiaj literacko łączyć postać byłego księdza Zygmunta Kowalczyka z Żarami, ale jego pierwszy zbiorek *Niebo szyje ziemią* ukazał się właśnie podczas jego bytności na jednej z tutejszych parafii. Stąd pisał do mnie w sprawie jego omówienia, co zresztą stało się w „Gazecie Lubuskiej”. W ostatnich dziesięciu latach żarskie środowisko w pewnym sensie znormalniało. Laureatem prestiżowego, dorocznego Wawrzyna Literackiego za książkę *Ocalone w słowie* został Janusz Werstler. Jako pierwszy też otrzymał legitymację organizacji pisarskiej ZLP. Jego zasługą jest bardzo piękne wprowadzenie tematu *stricte* żarskiego w obręb swojej poezji. Pogłębione o aspekt niemiecki. W późniejszym czasie weszli do ZLP: Grażyna Rozwadowska-Bar i Zbigniew Kozłowski. Wielu autorów już nie jest notorycznymi debiutantami. Środowisko jest wielowarstwowe, już wielopokoleniowe. Bardziej samoświadome. I co najważniejsze – uprawiane są wszystkie rodzaje literackie: poezja, proza, dramat. Prozę i poezję tworzy Katarzyna Zychla. Jednak nie znam poza poezją jej rzeczy prozatorskich. Jest Zbigniew Kozłowski – typowy prozaik z pewnym dorobkiem książkowym (tematyka historyczna) i z dylematem; pisać nadal bajki, legendy czy normalną prozę (jak to sam nazwał). Jest też, niekoniecznie stale w Żarach przebywający, Ireneusz Kozioł – poeta i dramaturg. Oczywiście ważniejsze w tym momencie jest jego zaistnienie na scenie Lubuskiego Teatru ze sztuką. Którą oglądałem z zainteresowaniem i do samego końca. To wszystko jest ważne teraz i ważne będzie w przyszłości. Późny, debiutancki zbiór *Wiersze* niedawno wydała nakładem autorskim Małgorzata Michalak. Znalazłem w nim kilka świetnych, mądrych liryków. Mam niejaka pewność, że pojawią się następne zbiory jej autorstwa. Właśnie to jest tu problemem – książka następna. Ta, która potwierdza i sprawdza. Czekam szczególnie na następny zbiór Grażyny Rozwadowskiej-Bar, bo lubię jej sposób pisania. Lirykę codzienności. Książki, hierarchie i indywidualne manifestacje nie stanowią zastygłej konstrukcji. Z roku na rok ustalają się. To dobrze, to budzi nadzieję na rozwój. Do tej pory środowisko posiadało pewne możliwości wydawnicze w Soravii i w Bibliotece. Jednak ambicją

niektórych autorów było swoje dzieła opublikować co najmniej w wydawnictwie Pro Libris. Jeśli jednak dysponuje się możliwościami finansowym, to całkiem ładny zbiór można obecnie wydać wszędzie, nie ma większego znaczenia gdzie. Ważne jest jednak, aby i na miejscu takie możliwości były. To również dotyczy możliwości publikowania w piśmie środowiskowym. Do tej pory pewne potrzeby zaspokajał Literacki Puls Regionu w Kronicy Ziemi Żarskiej,

redagowany przez Werstlera. Czy działający na miejscu dość liczny Klub Literacki mógłby pokusić się o wydawanie własnego, oczywiście niskonakładowego pisemka, które niewątpliwie przyczyniłoby się do rozwoju i artystycznego windowania miejscowych treści i idei? I jeszcze jedna propozycja, może już pora podjąć próbę wydania nowej antologii poetyckiej? Podsumowującej dotychczasowy dorobek, okres ostatniej dekady, i otwierającej nową perspektywę.





**Ad brewe tempus**

Nowy rok  
z uśmiechem  
żegna odbiegłe ślady

zagarnia horyzont  
na krótki czas

jeszcze nie czuje  
że spadają chwile  
zapodziejają się barwy

jeszcze nie wie  
ze zaginie  
w czasie powtórzeń

jeszcze nie wie  
co to znaczy być

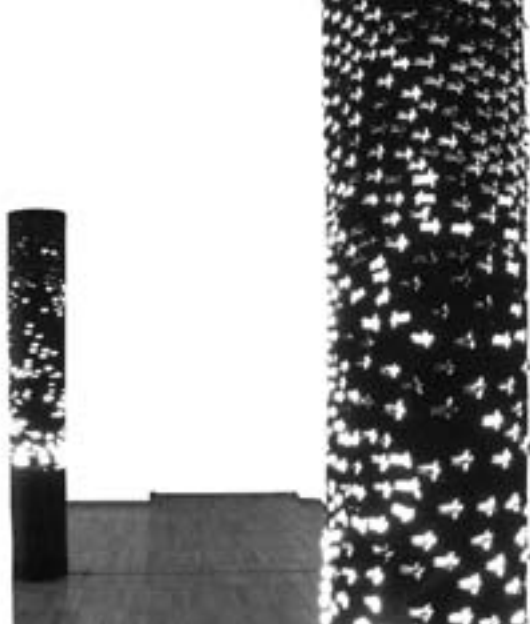
**Dar losu**

Z tobą  
rozteńczona

z tobą  
ptakiem  
ponad

z tobą  
aż do zapomnienia  
o sobie

bez ciebie  
bezlistnym drzewem



## RECENZJE I OMÓWIENIA

### Na marginesie rozbierania bajek

Katarzyna Miller, Tatiana Cichocka, *Bajki rozebrane. Jak odnaleźć się w swojej baśni*, Wydawnictwo JK, Łódź 2009, 400 s.

Gdy dorośli zabierają się do odkrywania bajek na nowo (zwłaszcza tych w wersji telewizyjnej), efekty bywają zatrważające, często bowiem próby odczytania ograniczają się do tego, co powierzchowne. Wystarczy przywołać szeroko rozgadaną swego czasu sprawę torebki Teletubisia, która dała asumpt do pytań: dlaczego wśród tylu Smerfów jest tylko jedna Smerfetka, jaki stopień zażyłości łączy Żwirka i Muchomorka itp. Śmieszne to i żenujące zarazem, ale i wiele mówiące o tych, którzy takie kwestie pod-

noszą. Inna rzecz, że chyba mało który dojrzały odbiorca sięga po bajkę w jej tradycyjnej, książkowej formie. Ten błąd prowadzi do „wtórnego analfabetyzmu” w owej materii – świat baśni wówczas faktycznie staje się „zatopionym królestwem” (określenie przejęte przez Joannę Papuzińską świetnie tu pasuje).

Problemem tzw. literatury dziecięcej w ogóle wydaje się to, że dorośli zwykle jej nie doceniają, jak gdyby sami już zapomnieli, co ich fascynowało

w dzieciństwie. A baśnie, podobnie jak wszystkie opowieści, zwykle postrzega się inaczej z kolejnym odczytaniem. Na ponowną lekturę nakładają się doświadczenia, także dystans, wiedza czy nastrój. Truizmem jest twierdzenie, że bajki warto czytać w każdym wieku! Warto choćby dlatego, by wiedzieć „Jak odnaleźć się w swojej baśni”. Posłużyłam się tu podtytułem *Bajek rozebranych* – książki, której autorki z powodzeniem udowadniają, że baśń dzieje się zawsze.

Rozbierania bajek, ze znakomitą efektem, podjęły się dwie, niebanalne kobiety: Katarzyna Miller (psychoterapeutka, filozofka i poetka) oraz Tatiana Cichocka (z wykształcenia anglistka, z zawodu dziennikarka, z pasji wielbicielka bajek). Przez jakiś czas publikowały one swoje rozmowy na łamach miesięcznika „Zwierciadło”. Te dialogi, z cyklu *To nie bajka*, stały się pierwowzorem książki, która ukazała się w serii *Psychologia i dusza*.

Do drugiego, poprawionego wydania weszło 19 tekstów. Dyskutantki wzięły pod lupę klasyczne baśnie, m.in. Andersena, braci Grimm oraz baśnie wschodnie poetycko sparafrazowane przez Leśmiana – czyli teksty, które każdy znać powinien.

Wiadomo, że z baśni płyną wartościowe przesłania i ważne przestrogi. Ale sens dosłowny powinien być punktem wyjścia do wnikliwszej interpretacji. Jedna historia bowiem ma zwykle rozmaite wymiary. Treści odczytane na poziomie fabuły to dosłowność albo jedynie streszczenie. Głębsze z kolei odczytanie baśni pozwala na dotarcie do sensów naddanych. I tym zajmują się Miller i Cichocka.

Baśnie są opowiadane, interpretowane, a niekiedy autorki uprawiają zabawną gdybologię, dopowiadając inne zakończenia przywoływanych historii. Wszystkie te interpretacje potwierdzają niezmienną aktualność mądrości zawartej w utworach, które współtworzą kanon literatury dziecięcej.

Odwieczność baśniowego świata polega na wykorzystaniu symbolicznych treści. Ponadczasowe są namiętności, tęsknoty, jak i pewne schematy działań. Archetypiczne struktury przekładają się więc na zjawiska charakterystyczne dla naszej, pogmatwanej rzeczywistości. Na takie rozumienie baśni przez obie rozmówczynie wskazują już tytuły niektórych analiz, zbudowane z konkretnego tytułu bajki rozszerzonego o formułę odnoszącą się do zjawisk bardzo aktualnych, np.: *Czerwony Kapturek*

– *Świat według Lolitki, Jaś i Małgosia* – *Witaj w McŚwiecie, Szewczyk Dratewka* – *Konkurs piękności męskiej*.

Jeśli tak się spojrzy na otaczający świat, okazuje się, że nadal brzydkie kaczątko mogą przeobrazić się w piękne łabędzie (ba, nawet programy telewizyjne i rubryki w czasopismach poświęca się takim metamorfozom), w każdej społeczności funkcjonują jakieś kopcuszki i jacyś głupi Jasiowie, a i wybrednych tudzież śpiących królówien by się trochę znalazło, nie mówiąc już o złych wilkach. Jak zauważyła jedna z autorek, księżniczka na ziarnku grochu nie tak dużo dzieli od Paris Hilton. I warto jeszcze przywołać ujmującą puentę K. Miller: „Mam taką istotną konkluzję, że jeśli ktoś musi być księżniczką, to niech sobie będzie. Ja nie muszę” (s. 203). O to właśnie chodzi, cały czas mamy wybór, z którym bohaterem nam po drodze, z którym niekoniecznie. Moc baśni!

Co ważniejsze, baśnie immanentnie uczą dorosłości. Jednym z głównych schematów wykorzystywanych w baśni jest wędrówka. To symboliczne wchodzenie do zaczarowanego lasu czy podjęcie podróży w jasno określonym celu zwykle jest potrzebne, by bohater nabrał doświadczenia, dojrzał, czegoś się nauczył, zastąpił na nagrodę. Takich rzeczy nie trzeba młodemu odbiorcy podawać wprost, siła baśni tkwi również w braku natrętnego dydaktyzmu. A w przypadku dorosłych często sprawdza się już zasada: powiedz, która baśń jest ci bliska, a powiem ci, kim jesteś. Doświadczenia terapeutyczne Katarzyny Miller wydają się to potwierdzać. Wiele treści zawartych w tekstach (rzekomo tylko dla dzieci) daje się odczytać w duchu psychoanalizy C. Junga i psychologii głębi – wtedy baśniowe postacie składają się na osobowość człowieka, jego jasną i ciemną stronę. W bajkach wszystko dobrze się kończy, w wielu współczesnych domach natomiast dzieją się rzeczy jak gdyby wyjęte z bajkowej fabuły jeszcze sprzed tego zakończenia. Niestety.

Prezentowane w tej książce rozmowy o baśniach przechodzą w dysputy o życiu, o własnych i czyichś doświadczeniach, snach, przeżyciach, refleksjach, o tym, co się usłyszało, zobaczyło, przeczytało. Okazuje się ponadto, że rozmaite teksty kultury (także popularnej) bazują na tzw. odwiecznych motywach. Stąd też w rozmowach pojawiły się nawiązania do filmów, innych książek i różnych, aktualnych zjawisk. Kolejnym polem odniesienia baśni jest inna baśń – teksty potrafią się też same

tłumaczyć: Głupi Jaś jest męską wersją Kopciuszka, a Gerda ma wiele wspólnego z Elizą z *Dzikich łabędzi*.

To fascynujące rozmowy. Zaskakujące, dowcipne, intrygujące, momentami drażniące – w końcu czytelnik nie ze wszystkimi twierdzeniami musi się zgodzić, co oczywiście nie jest zarzutem. Niemniej ciekawe są interpretacje np. *Mafiej syrenki* jako baśni masochistycznej, *Jasia i Małgosi* – jako historii o głodzie, a Królowej śniegu – jako *femme fatale*. Warto podkreślić jeszcze bardzo słuszną uwagę, że wiele bajek ma przesłanie ekologiczne; tj. uczy, że opłaca się dbać o przyrodę, bo ona zawsze hojnie odpłaca, a naruszenie jej praw może mieć przykre konsekwencje.

Przyjęta formuła rozmowy w tym wypadku jak najbardziej się sprawdza. Czasem inteligentne pytania Tatiany Cichockiej prowokują odpowiedź Katarzyny Miller i dyskusja nabiera ram uczeń-mistrz, ale zwykle jest to równoważna wymiana opinii. Katarzyna wydaje się tu bardziej doświadczona, a Tatiana impulsywna – duet znakomity.

Te rozmowy mają w sobie coś terapeutycznego. Z ich przebiegu czuje się, że rozmówczynie nie są oponentkami, lecz partnerkami, potrafią się słuchać, w wielu kwestiach są zupełnie zgodne, tak że momentami czytelnik może mieć wrażenie, jakby jeden głos został rozpisany na dwie partie. Rozbierane bajki są analizowane z podwójnej perspektywy – w znaczeniu szerokim, chodzi o to, że od ich powstania minęły już wieki, a druga kwestia – że i same rozmówczynie nabrały dystansu w percepcji treści. W kilku miejscach padła uwaga, że będąc dziećmi, inaczej odbierały te utwory.

Autorki, zagłębiając się w baśniowy świat, w pewnym stopniu odkrywają też siebie. Przykłady z własnego doświadczenia, niekiedy bardzo smutne

przeżycia czy spostrzeżenia uwiarygodniają to, co można uznać za przekaz tej książki – a mianowicie, by słuchać bajek, bo w nich jest najprostsza i najważniejsza prawda o człowieku.

Ta pozycja, choć wychodząc od baśni porusza przykre, bolesne problemy, zawiera też kilka wskazówek cennych dla rodziców, którzy cenzurują swoim dzieciom książki, bojąc się, by brzdąc nie naczytał się o negatywnych emocjach. Lektura jest szkołą uczuć; pokazuje jak reagować, przybliża również trudne czy złe emocje. Baśnie oswiają ze światem, pokazują, że nie wszystko jest w nim dobre, jednakże z drugiej strony, trzeba zważać na to, co dziecko czyta i ogląda.

*Bajki rozebrane* to książka mądra, pełna wartościowych spostrzeżeń, ale bez żadnego moralizatorskiego natręctwa. Nie jest to poradnik jak żyć, ale w klimacie tej pozycji jest coś kojącego. Ta lektura pokazuje, że warto dokopać się do własnej baśni, by próbując zrozumieć swoją przeszłość z teraźniejszej perspektywy, dowiedzieć się czegoś o sobie na przyszłość. Przedzierając się przez powierzchowność bajki, nieoczekiwanie można dotknąć szpiku własnej kości. Bajki to przecież świat fantazji podszyty bardzo istotnymi dla człowieka potrzebami.

Baśnie, więc w konsekwencji *Bajki rozebrane*, mówią o inności, tożsamości, dojrzewaniu, lękach, strachach, tęsknotach i oczekiwaniach; konfrontują (młodego czy dorosłego) odbiorcę z trudnymi sytuacjami, przez co uczą oswajać lęki. Dlatego można je traktować jako nienachalne instrukcje do życia. W końcu bajki są o nas i czasem opłaca się posłuchać podszeptów Wewnętrznego Dziecka, które je zna. Warto też przeczytać omawianą książkę, gdyż może się ona stać kluczem do „zatopionego królestwa”.

**Joanna Wawryk**



# Niemieckojęzyczny „słownik” o Polsce

Stefanie Peter, *Alfabet polskich cudów*, Wydawnictwo Suhrkamp, Frankfurt n. Menem 2007, 280 s.

Niemiecki *Alfabet polskich cudów* to swoisty „słownik”, który jest próbą przedstawienia współczesnego obrazu Polski. Ilustracje do tego 280-stronicowego „słownika” wykonał polski rysownik Maciej Sieńczyk. Książka pod redakcją dziennikarki Stefanie Peter ukazała się w 2007 r. nakładem wydawnictwa Suhrkamp (Frankfurt n. Menem).

Stefanie Peter zdecydowała się – jak zaznacza we wstępie – na alfabetyczną prezentację haseł na temat polskiej rzeczywistości, m.in. takich jak „Polska A i B”, „Katyń”, „Enigma”, „Lumpex” czy „Krasnale”, aby wszystkie omawiane, jako tak samo ważne, bo ilustrujące naszą polską rzeczywistość, miały jednakowe szanse dotarcia do czytelnika.

I tak tytułem wyjaśnienia kolejnego hasła w „słowniku” przypadają 2-3 stronie tekstu. W sumie jest to 130 mini esejów, których autorami są zarówno Niemcy, jak i polscy dziennikarze, publicyści, literaci. Stefanie Peter zwróciła się do tych autorów, którzy znają Polskę okresu ostatnich lat transformacji i wiedzą, co zainteresuje niemieckojęzycznego czytelnika. Autorzy tekstów to ludzie młodzi, urodzeni po wojnie. Wszyscy na swój sposób związani są z oboma krajami, przez prace projektowe, dziennikarskie, stypendia itp.

Stefanie Peter (rocznik 1966), studiowała m.in. w Krakowie i Frankfurt n. Odra. Jako dziennikarka pracująca w Berlinie, w latach 2004-2006 kierowała również jednym z polsko-niemieckich projektów kulturalnych.

Zaproszeni przez autorkę książki współautorzy opracowania piszą o tym, jak postrzegani są Polacy przez obcych w Polsce i za granicą. Nie skupiają się na stereotypach, lecz tłumaczą ich genezę i ewaluację. Jest to chyba najobszerniejsze popularne opracowanie dla czytelnika niemieckojęzycznego „nieturystycznego” obrazu naszego kraju ostatnich lat.

Autorka zaznacza we wstępie, iż jest to próba przedstawienia obrazu Polski po 1989 r., z uwzględnieniem, często bardzo pobieżnym, kulisów wydarzeń nie tylko w dziedzinie polityki i historii, ale obyczajowości i spraw codziennych. W związku z szerokim otwarciem się Polski na Zachód i wstąpieniem do UE, ukazano zjawiska nie tylko z dziedziny kultury przez duże „K”, ale również popkultury, którą

autorka panoramy naszego kraju również pragnie zaprezentować.

„Polska nie ma pustyni, wysokich gór, piramid i Luwru. Brak w tym kraju cudów świata i obraz naszego kraju jest mało ostry”. Być może dlatego jest tak często pomijany przez turystów? Mało znany kraj??? A może, sugeruje, należałoby zatroszczyć się o jakieś interesujące detale, które nieodkryte do tej pory składają się na jego wyjątkowość? Jak wiadomo: „diabeł tkwi w szczegółach” – tym komentarzem autorka kończy słowo wstępne do niemieckiego czytelnika.

Hasło, omawiane przez niemieckiego autora pod literą „C” brzmi: „Club der polnischen Versager” („Klub polskich nieudaczników”). Ingo Niermann (rocznik 1966) pisarz mieszkający w Berlinie, z wyraźną sympatią pisze o utworzonym w 2001 r. przez polskich emigrantów klubie towarzyskim w Berlinie przy ulicy Torstrasse 66. Podziwia duże poczucie humoru Polaków zawarte już w nazwie klubu. Kim są ci nieudacznicy? – pyta. Czy tymi, których nie zniewolił poprzedni ustrój w Polsce? Czy tymi, którym niespecjalnie powiodło się na emigracji? Klub ten prowadzi działalność kulturalną i odwiedzaną jest nie tylko przez Polaków, ale i inne nacje. To adres „dobrego miejsca niebanalnej rozrywki” w Berlinie. Działalność Klubu przyczynia się do „rozdzielenia” wizerunku Polski i oto chyba chodzi.

Pod hasłem na literę „F” Sebastian Cichocki (1957) krytyk sztuki, kierownik Centrum Sztuki Współczesnej z Bytomia przedstawia fenomen ostatnich dziesięciu lat z dziedziny sztuki, jakim jest Fundacja Galerii Foksal. Przy czym korzenie tej Fundacji to rok 1966. Już wówczas Warszawska Galeria Foksal skupiała ważnych polskich artystów: Tadeusz Kantor, Henryk Stażewski i Edward Krasiński; krytyków: Wiesław Borowski, Anka Ptaszkowska, Mariusz Tchorek. Grupa ta przeciwstawiała się zinstytucjonalizowanym formom w sztuce, była enklawą autonomicznego porządku.

Fenomenem o jeszcze odleglejszej historii (1956) w byłym „Ostblocku” pozostaje do dziś zdaniem Jacka Skolimowskiego (1980), krytyka muzycznego, najważniejsze forum muzyki współczesnej – „Warszawska Jesień”. Jakiej innej cesze naszego

charakteru narodowego, jak nie uporowi i fantazji, zawdzięczają Polacy powstanie tego typu imprezy?

Diederich Diederichsen, publicysta i krytyk kultury (rocznik 1957) pod hasłem „Jazz” pisze o wielkim wkładzie polskich muzyków w ten rodzaj muzyki. Chwali twórców „polisch jazz” za elegancję, oryginalność itp. Pisząc o Fryderyku Chopinie, ten sam autor zauważa, że jego „impromptu” i tempo „rubato” są bardzo polskie i jedyne w swoim rodzaju, są symbolem wolności i talentu improwizacji. „Chyba nikt poza Chopinem nie stosował takich zabiegów muzycznych...?” – stwierdza dalej autor.

Przedstawiając Adama Mickiewicza, Dorota Sajewska (1975), tłumacz i teatrolog przytacza głośne wystawienie III części *Dziadów* w 1967 r. w Warszawie w Teatrze Narodowym przez Kazimierza Dejmka i wyjaśnia jego historyczne powiązania, które miały bezpośredni wpływ na tok wydarzeń w Polsce. Jakie to polskie i zarazem romantyczne; sztuka teatralna jak kamień uruchamia lawinę zmian w kraju... A zatem kolejno znajdujemy dalsze hasła „w tym temacie”, jak: „KOR”, „Solidarność”, „JP II” czy „Stocznia Gdańska”.

Ta sama autorka po hasłem „Handkuss” (pocałunek w rękę), cytując fragment amerykańskiego przewodnika po Polsce, ostrzega Niemki: „Gdy Polak pocałuje panią w rękę, proszę nie dzwonić na policję, to taki stary zwyczaj, a nie forma seksualnego natręctwa!”.

Pozostając przy temacie spraw męsko-damskich, dowiadujemy się niejako „przy okazji”, iż z danych statystycznych wynika, że małżonką co czterdziestego Niemca zostaje Polka. Trzeba przyznać, że to ciekawa statystyka. Czyżby literacki stereotyp „pięknej Polki” w Niemczech trwał nadal? No i jak

w tym kontekście nie poświęcić paru zdań legendarnej Wandzie co nie chciała Niemca? To hasło komentuje wymieniona już Dorota Sajewska, a podana wyżej „statystyka” nie kłamie.

W „słowniku” omówione zostały tak dobrze nam znane, nośne hasła jak: „lustracja”, „moherowe berety”, „cenzura” czy „Westerplatte”. To dla tych młodych czytelników niemieckich, którym „die Mauer”, „Honie”, „Ulbrichtskeule” czy „Lampenladen” też niewiele mówią.

Autorzy opracowań poszczególnych „haseł” nie stronią też od kontrowersyjnych tematów. Hasło „Wypędzeni” omawia niemiecki historyk prof. Georg Thum (1967). „Kto szuka historii Prus, musi jechać do Polski” – radzi ten sam autor pod hasłem „Prusy”.

Wspólne odkrywanie przeszłości, w tym materialnego dziedzictwa może zarówno Polakom, jak i Niemcom wyjść tylko na dobre. Autor poleca Niemcom naukę języka polskiego, podobnie jak to robił – tak zniechęcony przez Polaków – Fryderyk II w stosunku do własnych dzieci. Historia nigdy nie pozostaje bez wpływu na teraźniejszość. Może przy okazji dywagacji przy pomocy przyjaciół zza Odry uda nam się doszukać się czegoś „arcytypowego” dla nas, o czym sami jeszcze ciągle nie wiemy? Może chwila refleksji nad *Alfabetem polskich cudów* mogłaby nam w tym pomóc. Ale i tak najważniejszym jest fakt, że książka może pomóc zrozumieć Niemcom nasz kraj.

Póki nie mamy polskiego przekładu książki Stefanie Peter o „polskich cudach”, polecam tę lekturę wszystkim znającym język niemiecki.

**Barbara Krzeszewska-Zmyślony**

## Deutschsprachiges „Wörterbuch” über Polen

**Stefanie Peter, *Alphabet der polnischen Wunder*, Suhrkamp Verlag, Frankfurt am Main 2007, 280 Seiten.**

*Alphabet der polnischen Wunder* ist ein einzigartiges Wörterbuch, in dem man das Gegenwartsbild Polens zu darstellen versucht. Das deutsche „Wörterbuch...” (auf 280 Seiten) illustrierte der polnische Zeichner Maciej Sieńczyk. Das Buch unter der Redaktion der Journalistin Stefanie Peter gab im 2007 der Suhrkamp Verlag (Frankfurt/M) heraus.

Stefanie Peter entschied sich - wie sie es in dem Vorwort erklärt – auf eine bunte alphabetische Zusammenstellung solcher Stichworte der polnischen Wirklichkeit wie: „Polen A und B”, „Katyń”, „Enigma”, „Lumpex”, oder „Zwerge”, um ihre Bedeutung hervorzuheben und ihnen die Chance zu geben dadurch den Leser zu gewinnen.

Jedem Stichwort werden demnächst zwei, drei Seiten Text gewidmet. Insgesamt sind es 130 Mini-Essays, die sowohl von den deutschen als auch von den polnischen Autoren, (Journalisten, Kritikern, Kulturwissenschaftlern) gefasst wurden. Die Buchautorin, Stefanie Peter bat die Autoren, die Polen in der Zeit der großen Transformation kennen gelernt haben, über Polen zu schreiben. Alle Verfasser sind aus der Nachkriegsgeneration, fast alle sind durch Projektarbeit, Journalistenarbeit, Stipendien mit Polen und mit Deutschland verbunden.

Stefanie Peter (Jahrgang 1966) studierte u.a. in Krakau und Frankfurt/O. Als Journalistin leitete sie ein deutsch-polnisches Kulturprojekt in Berlin in den Jahren 2004-2006.

Die, zu dem Buch über Polen eingeladenen Autoren schreiben darüber, wie die Polen „zu Hause“ und im Ausland vermerkt werden. Sie konzentrieren sich nicht auf Stereotype, sondern sie versuchen die Stereotype zu begründen und zu erklären. Daraus entsteht für den deutschsprachigen Leser eine „nicht touristische“ Panorama unseres Landes der letzten Jahre.

Wie die Autorin in dem Vorwort schreibt, wollte sie ein Polenbild nach dem Jahr 1989 aufgrund dessen, was sich in dieser Zeit nicht nur in der Politik (Polens Beitritt in die EU) aber auch im Alltag abspielte, zeigen. Es werden u.a. Neuerscheinungen in der Kultur und Popkultur angesprochen.

„Polen hat keine Wüste, keine Hochgebirge, keine Pyramiden und keinen Louvre. Es fehlt diesem Lande an Weltwunder und scharfe Konturen“. Vielleicht deshalb wird es auch so häufig von den Touristen übergangen? Wenig bekanntes Land? Vielleicht kommt es hier einfach auf die noch unbekannt Details an, die Polen so einmalig kreieren könnten? „Der Teufel steckt in Details...“ mit dieser Redewendung endet die Autorin das Vorwort.

„Club der polnischen Versager“ über die kulturelle Einrichtung in Berlin, Torstrasse 66, gegründet in Jahr 2001, berichtet der in Berlin lebende Schriftsteller Ingo Niermann mit eindeutiger Sympathie. Selbst den Namen des „Clubs“, der von dem Sinn für Humor und Selbstironie deutet, findet er schlau. Wer sind diese polnischen Emigranten, Gründer des „Clubs...“, sind sie etwa die, die das sozialistische System nicht zu genießen wussten, oder die, denen in der Emigration nicht viel gelungen ist, oder die, die dem Kapitalismus

nicht den Schritt halten können? Der „Club...“ macht viel für die Kultur und wird gern nicht nur von Polen besucht. Es ist gute Adresse für gute Unterhaltung in Berlin und auch ein neues Bild Polens im Ausland.

Unter der Buchstabe „F“ stellt Sebastian Cichocki (1957), Kunstkritiker, Leiter des Zentrums für zeitgenössische Kunst in Bytom ein Phänomen in dem Kunstbereich der letzten 10 Jahren im Kunstbereich nämlich die Geschichte, der im Jahre 1966 gegründeter Warschauer Galerie Foksal dar. Die Galerie sammelte um sich Künstler: Tadeusz Kantor, Henryk Stażewski und Edward Krasiński und Kritiker: Wiesław Borowski, Anka Ptaszkowska, Mariusz Tchorek. Die Gruppe widersetzte sich der erstarrten institutionalisierten Formen in der Kunst, als Enklave einer autonomen Ordnung.

Noch ältere Geschichte (1956) hat das Musikfestival „Warschauer Herbst“ als wichtigstes Forum der musikalischen Avantgarde im Ostblock. Die damalige Regierung Polens wollte, zu Beginn der Tauwetterperiode ihre liberale Kulturpolitik zur Schau stellen. Die Idee des Festivals haben die Polen ihrer Phantasie und Beharrlichkeit zu verdanken- meint der Musikkritiker Jacek Skolimowski (1980).

Der deutsche Autor, Kritiker und Kulturwissenschaftler Diederich Diederichsen (1957) unter dem Stichwort „Jazz“ berichtet über den Beitrag der polnischen Musikern in diese Musik Gattung. Den polnischen Jazz lobt er für seine Eleganz und Originalität. In der Musik von Fryderyk Chopin findet Diederich Diederichsen zwei so typische für den aller bekanntesten polnischen Musiker musikalische Termini: *impromptu* und *tempo rubato*. Sie widerspiegeln polnischen Freiheitswillens und Improvisationstalent, sind typisch polnisch- meint der Autor.

Dorota Sajewska (1975) Übersetzerin und Theaterologin schreibt in ihrem Text über Adam Mickiewicz von der Ausstellung des III. Teils der Totenfeier im Nationaltheater in Warschau 1967 in der Regie von Kazimierz Dejmek. Sie versucht den historischen Hintergrund des Werkes und seinen direkten Einfluss auf die Ereignisse in Polen zu erklären.

Es ist zugleich romantisch und typisch polnisch: durch das Theaterstück wird eine Lawine ins Rollen gebracht...demnächst finden wir auch andere Stichworte: „KOR“, „Solidarność“, „JP II“, und „ Der Danziger Werft“.



„Wenn ein Pole Ihnen die Hand küßt, rufen Sie nicht die Polizei!“ warnt die Deutschen, einen amerikanischen Reiseführer für Polen zitierend Dorota Sajewska, „es ist keine Form sexueller Belästigung, sondern ein alter Brauch“...

Wenn wir schon bei dem „Frauen - Männer Thema“ sind, noch eine interessante Statistik: Jede vierzigste Ehe deutscher Männer wird mit einer Polin geschlossen. Also gibt es denn den Stereotyp einer zauberhaften Polin? Ingo Niermann bestätigt die Frage. In dem Text über die Wanda, die keinen Deutschen begehrte, erklärt die schon erwähnte Dorota Sajewska die Legende über Wanda.

In dem *Alphabet der polnischen Wunder* wurden alle so gut bekannten Stichworte angegeben und erläutert: „Lustration“, „Mohair-Barett“, „Zensur“, „Westerplatte“. Die sind extra für die jungen deutschen Leser gedacht, denen „die Mauer“ (mur Berliński), „Honie“ (Erich Honecker), „Ulbrichtskeule“ (wieża TV w Berlinie), „Lampenladen“ (Pałac Republiki) auch nicht viel sagen.

Die Autoren gehen den schwierigen Themen auch nicht aus dem Weg. Der deutsche Historiker Prof. Georg Thum (1967) schreibt über die Vertreibung. „Wer nach den Spuren Preußens sucht, der muss nach Polen fahren“ meint Prof. Thum. Das gemeinsame Entdeckungsprozess der Geschichte von Preußen, des materiellen Erbes kann sowohl den Polen, wie auch den Deutschen nur gut machen. Er empfiehlt den Deutschen, wie es im Verhältnis zu eigenen Kindern, der so gehasste in Polen Friedrich der Große tat, Polnisch zu lernen. Nun es ist mal so, die Geschichte übt immer den Einfluss auf die Gegenwart aus. Bis heute ist leider das empfehlenswerte Buch nur in Originalversion, also auf Deutsch zugänglich. Vielleicht hilft uns die Lektüre des „Wörterbuches der polnischen Wunder“ von Stefanie Peter etwas „Erzpolnisches“ zu finden, wovon wir noch nichts wissen?

Eins steht fest, das Buch hilft den Deutschen unser Land zu verstehen.

**Übersetzung vom Autor**

## Obszary duchowości

**Angelus Silesius, *Anielski wędrowiec*, przekł. i wybór K. A. Jeżewski, Biblioteka Telgte, Poznań 2007, 112 s. Krzysztof Andrzej Jeżewski, *Żagle niebieskie*, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2008, 104 s.**

### Odkrywanie Silesiusa

Każdemu znawcy francuskojęzycznych poloników zapewne wiele mówi nazwisko Krzysztofa Andrzeja Jeżewskiego. Jakże mogłoby być inaczej. Natomiast podejmując się zadania napisania tekstu recenzji do „Pro Libris” z wydanych ostatnio dwu jego książek, zdaję sobie sprawę, że konieczne jest przybliżenie w kilku przynajmniej słowach postaci tego pisarza. Trzeba wiedzieć, że wyżej wymieniony twórca od 1970 r. na stałe mieszkający we Francji, to z jednej strony tłumacz literatury polskiej na język francuski, można rzec, jej najważniejszych współczesnych dokonań – Miłosza, Gombrowicza, Schulza, Andrzejewskiego, Różewicza, Baczyńskiego,

Twardowskiego, Norwida i innych – a zarazem literatury francuskiej na język polski. Jego wieloletni wysiłek translatorski znalazł uhonorowanie w 2007 r. w postaci przyznanej mu nagrody Polskiego PEN Clubu za całokształt twórczości przekładowej. Został też członkiem Europejskiej Akademii Nauki, Sztuki i Literatury. Dodam jeszcze, że wiersze i przekłady twórczości Jeżewskiego publikowane były w „Pro Libris”. Z drugiej strony, a raczej równolegle, jest poetą i tłumaczem, bo nie da się tego „kolejnościowo” uporządkować, a ponadto K. A. Jeżewski jest też i eseistą, i badaczem życia i twórczości C. K. Norwida. W swoim dorobku posiada jedenaście zbiorów

poezji. Jego dorobek literacki w roku ubiegłym wzbo-  
gać się o dwa kolejne tomy.

Jeden z nich, zatytułowany *Anielski wędrowiec* zawiera wybór przekładów z sześciu Ksiąg dystychów Angelusa Silesiusa (Anioła Ślązaka), poety i mistyka żyjącego, jak byśmy to dzisiaj powiedzieli, na Dolnym Śląsku (urodził się i mieszkał we Wrocławiu) w latach 1624–1677. W kulturze niemieckiej zajmuje on poczesne miejsce, skupiając zainteresowanie wielu potomnych, od Leibniza, Schlegla aż po Grassa.

Utwory Anioła Ślązaka były niejednokrotnie przekładane na język polski. Jednym z najwcześniejszych tłumaczy był Adam Mickiewicz. Jednak dopiero na XX w., zwłaszcza jego drugą połowę, przypada prawdziwy renesans polskiej recepcji tego barokowego twórcy.

Wydanego obecnie w wydawnictwie Biblioteka Telgte *Anielskiego wędrowca* można uznać za jeszcze jeden przykład i kontynuację tego zainteresowania. Przede wszystkim na początku chcę zwrócić uwagę na samo wydanie, którego zalety muszą być docenione już przy pobieżnym zapoznaniu się z książką. Dlatego że z jednej strony wpadają w oko wysokie walory opracowania estetycznego tej edycji. Zawiera kolorowe wkładki plastyczne autorstwa Petrela, ładne liternictwo i zadbano zarazem o należyte światło między poszczególnymi dystychami. A więc robi dobre wrażenie, co niewątpliwie jest w lekturze pomocne. Ta książka może być, od tej strony patrząc, wzorem dobrze pojętej działalności edytorskiej. A z drugiej, zawiera też przytomnie to, co zwierać powinna, esej dotyczący samej postaci Silesiusa, nakreślający jego biografię, a także epokę, w której żył i tworzył, autorstwa Piotra Wiktora Lorkowskiego, zatytułowany *Rytm w ducha bogate*. Można rzec, wpisana jest w zbiory dystychów religijna kontemplacja Boga, przenikania świata i obecności w człowieku, poznawania Boga w podmiotowym doświadczeniu. W najmniejszym okrucu istnienia, czyli w świecie mikro, dostrzegany jest „Boga całego blask”. Wielkość uobecniająca się w

małości. W tej transcendentnej pełni wszystkie rzeczy znajdują wyjaśnienie swojego sensu. Każdy z dystychów napełniony jest teologią tego typu rozważań. Współczesny człowiek może tylko zazdrościć manifestacji tak żarliwej duchowo. Według Silesiusa właściwe rozpoznawanie doczesności możliwe jest wyłącznie przez pryzmat metafizycznego doświadczenia. Jedno ze zdań dystychu brzmi: „Jeśliś nie dostrzegł Boga, toś nic nie widział wcale”. Dla dawnego autora jest to bezdyskusyjna oczywistość.

Praca przekładowa przypadła, zapewne za sprawą osobistej fascynacji samego tłumacza, twórcy jak najbardziej odpowiedniemu, czyli takiemu, któremu przesłania tego typu obojętne nie są. Choć nie jest to kryterium rozstrzygające, to jednak odczuwam w tych przekładach poszukiwania duchowe samego Jeżewskiego. Nie wyobrażam sobie, aby była możliwa obojętność światopoglądowa w procesie przekładu właśnie tych utworów. Myślę, że tłumacz nie byłby w stanie właściwie ich przybliżyć czytelnikowi, jeśliby nie czuł ducha tych rzeczy.

Swoją poezją Jeżewski zaświadcza, że regiony wysokiej duchowości, tej zawartej w sztuce, jak i wynikającej z pojmowania bytu w kategoriach prawd teozoficznych, są mu jak najbardziej bliskie. W postwowie Lorkowski słusznie zauważa: „Krzysztof A. Jeżewski dołożył wszelkich starań, by o swych anielskich wędrowkach opowiedzieć językiem współczesnej wrażliwości, oddającym sprawiedliwość poetyckiej i translatorskiej tradycji”. Trzeba zarazem wskazać, że jednocześnie stało się coś ważnego, co tylko zasygnalizuję, a mianowicie: dystychy Anioła Ślązaka na tyle silnie zainspirowały Jeżewskiego, że stworzył on autorski zbiór również własnych dystychów o podobnej problematyce, wcale bagatelny objętościowo, pt. *Okrucy z wysokości*, które niewątpliwie są parafrazami „na modłę Anioła Ślązaka”. Pomieszczone w jednej książce (wraz z przekładami) dają szansę porównania oryginału myśli i konceptu poetyckiego rodem z XVII w. z jego współczesnym odbiciem.

## Wobec niebieskiego blasku

Gdy idzie o drugi zbiór poetycki K. A. Jeżewskiego *Żagle niebieskie*, wydany w tymże samym 2008 r., tym razem w Wydawnictwie Adama Marszałka, to mamy już do czynienia z jak najbardziej własną,

autorską realizacją twórczą, oczywiście noszącą ślady różnorodnych inspiracji artystycznych i intelektualnych, co tylko przydaje tej książce znamion bogactwa duchowego. W ogóle chcę zauważyć, że ta książka,

jak i wiele wcześniejszych, jest w niezwykłym stopniu przesycona duchowością. W tym wymiarze stanowi jakiegoś rodzaju kontynuację przekraczania prostej zmysłowości ku temu wszystkiemu, co jest sensem, wartością, poza empirycznym, wrażeniowym progiem.

W twórczości Jeżewskiego, we wcześniejszych tomach, mamy wiele pięknych i wnikliwych poezji poświęconych konkretnym utworom muzycznym i dziełom malarskim (całej tradycji kultury europejskiej), poezji zainspirowanych, nie tylko w celu uzyskania efektu wysokiej tonacji, choć zapewne również, ale dla podkreślenia uniwersalnych, nieprzemijających treści w nich zawartych. Taka postawa, w natłoku nihilistycznych postaw i dezawuacji wszelkich wzorów, mogła się zapewne wydać nawet anachroniczna. Jeżewski szedł poniekąd pod prąd obowiązujących mód. Dzisiaj – myślę – powszechnie odczuwany jest jednak niedosyt duchowego spojrzenia. I okazać się może, że te wiersze odnajdują swój czas, ze względu na kłopoty i totalne zagubienie współczesnego człowieka. Aktualna sytuacja światowa na to zresztą wskazuje. W poemacie *Kwartet na kres czasu* poeta daje taką iście eliotowską (zapewne i różewiczowską) diagnozę: „Oto czas rozbitcia / doba rozszczepienia / oto rozkład i rozpad / ludzkiego atomu / Oto jest rozdarcie to co niepodzielne”. To niewątpliwie rozpoznanie schyłkowości, dekadencji, wizja katastroficzna: „Nadchodzi zima czasu”, „I metal będzie władał wami”. O tyle dramatyczna, że stanowi uogólnienie dziejów. A głos samego poety wykracza poza wymiar ściśle poetycki. Można tu dopatrzeć się znamion wieszczenia, natchnienia proroczego, napominającego, uwzględniającego perspektywę historiozoficzną. Czyni to przekonany mocą własnego przemyślenia i odwagą nazywania rzeczy po imieniu. Wyzbycia się fałszywej wstydlivosti. Niemożliwe byłoby tego typu rozpoznanie, gdyby nie świadomość imponderabiliów, cenionej przez siebie istotności, która rodzi się z postawy otwarcia. Także odpowiedniej miary krytycyzmu. Nie egotycznego zasklepienia. To jest niezwykle ważne. Przy tym szczególność tej książki (*Żagle niebieskie*) polega na tym, iż z przedmiotowości nacisk został silnie położony na podmiotowość problematyki. Od razu widać, że poeta nie tyle z czymś się wadzi wewnętrznie, bo chce to opisać, nazwać, ale z samym sobą. Jak choćby w wierszu *W zwierciadle*, w którym pyta: „kto zac

ten tam naprzeciw / po drugiej stronie / przestrzeni”. Jest więc egzystencja, ale i tajemnica. Te sfery sobie towarzyszą i wyznaczają w tym tomie różnego rodzaju napięcia duchowe. Ważne, najważniejsze rodzi się z odniesienia kłęski człowieka do instancji najwyższej, samego Stwórcy. Zasadne jest więc pytanie o sytuację, kiedy „przyjdzie czas / gdy trzeba będzie zdać rachunek”, a więc „Co wtedy powiemy Panu / w ów dzień żałości?”. Oczywiście, eschatologia tej kategorii stanowi poetyckie centrum tomiku, ale nie jest jedyną wędrówką podmiotu. Te mniejsze wędrówki są równie ważne i interesujące. Skala problematyki makro, owszem, przejawia się np. w akcie bezpośredniego zwrotu, prośby do Boga, także dyskursem intelektualnym, swoiście zrealizowanym esejem w – sędzę – bardzo ważnym dla samego autora (bo stanowi wykładnię jego filozofii) poemacie *Dowody (na istnienie Boga)*. Tego typu wykładnia obejmuje przykłady i argumenty, jak np.: „A liczba pi / złoty klucz / do nieskończoności / Bożej matematyki”. Tu mają znaczenie daleko idące dopowiedzenia. Doza ścisłości.

W innym przypadku mielibyśmy do czynienia z bardzo mglistymi intuicjami, a nie o to przecież poe-cie chodzi. Chodzi o zaprezentowanie jakby nie było racjonalności własnej filozofii. Takim przykładem jest wiersz *Ossowiecki*, wiersz o konkretnym człowieku, który „posiadł Błask”. Ale w tomie *Żagle niebieskie* ważne są też wszystkie inne wiersze – powiedziałbym – mniejsze, bardzo ujmujące, jako że dotyczą właśnie skali mikro. I ze względu na zawartą w nich dozę niedopowiedzenia, sugestii i osadzenia w doraźnym doświadczeniu i refleksji ożywają w czytelniczey wyobraźni. Samą egzystencję w ten sposób czyni K. A. Jeżewski sproblematyzowaną, nawet w opisie tak zdawałoby się banalnego milczenia (które nigdy oczywiście takim nie jest), opisie swoistej jednak rozmowy podmiotu z... kotem, *Mój czarny kot*. Tu pięknie to wszystko gra. Oczywiścieć i tajemnica: „zglębiamy milczenie / wypyujemy milczenie / nicujemy milczenie”. Ta druga „tamta strona”, niepoznawalność, aktywizuje wyobraźnię. Może to i inaczej się przejawić w doznaniu – zachwycie – rozpoznaniu, jak to ma miejsce w wierszu *Anioł w metrze* „tak po prostu / w biały dzień”. W doraźności przejawia się jakby pozaziemskość. Zmysłowa cudowność, będąca znakiem cudowności nadzmysłowej. Takie zdarzenia jawią się ze swej istoty jako niezwykle. Bo przecież dostrzeżenie (w innym

już wierszu) w kąpiącym się dziecku „nagiego Boga” za takie musi siłą epifanicznego przeżycia być uznane. Także w sieci „pajęczka” dostrzeżony jest ślad „Arcymistrza / który krząta się”. Poezja zostaje tu wywołana opisem, ta zaleta cechuje ten zbiór. Sprawdza się to w dobrym lirycznie wierszu dedykowanym żonie *Twoje ręce*.

Na uwagę zasługują też wiersze biograficzne, podejmujące temat dziwności biograficznego losu. W tym tomie znajdzie czytelnik rozważanie o Prawdzie (*Na modłę Norwida*). W zasadzie nie jedna to inspiracja. Niewątpliwie zostały w nim podjęte wątki metafizyczne, bytu narodowego, zwłaszcza tradycji wielkiej poezji romantycznej.

Odwolania do Słowackiego, Mickiewicza, Norwida, Wyspiańskiego czy pontyfikatu Jana Pawła II zostały odpowiednio zaznaczone w dedykacjach i w samym dyskursie. Można przyjąć, iż jest K. A. Jeżewski w jakimś zakresie apologetą polskości na różnych poziomach; na poziomie myśli religijnej, metafizycznej, historiozofii i języka (patrz wiersz *Zboże* z cytatem Sienkiewicza: „Otrzymaliśmy od Boga jedną z najpiękniejszych mów świata”). Ten tom, to – myślę – najpełniejsze dokonanie poety i niestrudzonego tłumacza literatury polskiej na język francuski.

**Czesław Sobkowiak**

## Dojrzały debiut

**Małgorzata Michalak, *Wiersze*, Wydanie autorskie, Żary 2008, 64 s.**

Żarskie środowisko literackie systematycznie wzbogaca się o nowych autorów, jak i nowe dokonania twórcze. Przykładem tego może być bez wątpienia pojawienie się w ubiegłym jeszcze roku debiutu poetyckiego Małgorzaty Michalak *Wiersze*. Książka ta, jak zresztą wiele innych, wpadła w moje ręce dość przypadkowo, przy tzw. okazji. O autorce do tej pory nic nie wiedziałem, bo wydania książki nie sygnalizowały, jak to zwykle bywa, wiersze wcześniej publikowane w pismach. A może po prostu nie dotarłem do takowych. To zresztą w tej chwili nie ma większego znaczenia. Natomiast książka ma znaczenie, gdyż jest konstrukcją, która ma obejmować świat. Po pierwsze, tomik ten zwraca uwagę – począwszy od symbolicznej wymowy okładki – ciekawymi ilustracjami (fotografie Grzegorza Wowera), a po drugie, co najważniejsze, dojrzałymi wierszami, które już nie są obciążone potknięciami typowymi dla pierwocin.

Czytelnik, ale musi to być czytelnik uważny, mający głębsze wycucie smaku, zwrócić może w pierwszym rzędzie uwagę na kształt języka poetyckiego. Nacechowany jest on przejrzystością nazy-

wania rzeczy i wyrażania myśli. Nie ma w nim stylistycznych zaciemnień, które często znamionują chaotyczność wypowiedzi. Nie jest poza tym jednowarstwowy, albowiem obok toku i rytmu niemal prozaicznego jest i doza delikatnego dostojęstwa, nieco klasycystycznej proveniencji oraz szczypta filozoficzności, która służy tu nastawieniu na refleksyjność. W ogóle cały tomik nie jest jednowarstwowy tematycznie. Słowo poetyckie próbuje różne sprawy nazywać. W ten sposób wiersz żarskiej poetki „obwieszcza światu, że już Jest”. Akt wejścia na pewno się dokonał. Wskazane jego cechy o tyle wypadają cenić, że sytuują poziom poetyckiego porozumienia w sferze intelektualnej aniżeli w podmiotowym subiektywizmie. Nie dziwi mnie to zresztą, gdyż Małgorzata Michalak książkę swą napisała w momencie, gdy pewien etap życia zdaje się być już poza nią. Wie o tym, co było „kiedyś bez rozumu”, emocjonalne, „bez zastrzeżeń”, młodzieńcze, a teraz jest to oglądane już bardziej z dystansu. Wierszami swoimi poniekąd ogląda dotychczasowe życie. Wiersze miejscami przybierają postać wspomnienia, np. pobytu w Anglii czy przeżyć bardziej

intymnych, trudnych, wręcz boleśnie uwierających jej kobiecą (także matczyną – *Syn*) duchowość (*Buty*, *Róża*), gdy dotyczą przeżyć z najbliższym mężczyzną. Bywa, że te „bolesne wspomnienia” chciałoby się zostawić, ale czy to możliwe? Od razu dodać muszę – nigdy nie jest to egzaltacja sprawami lub przeżyciami, ale oddanie w możliwie pełnym zakresie ich realnego kształtu. W każdym razie jest to obejmowanie codziennego życia oraz tego, co już było. W jakimś sensie rozliczenie, może nawet remanent lub weryfikacja wartości.

Wiersze Małgorzaty Michalak mają najczęściej kształt opowieści. Poznajemy więc historię jej życia. Opowieść respektuje detaliczną rzeczowość świata, jak np. w pięknym wierszu *Wielkanoc*: „Święto, zimno, do starej katedry zmierzałam”, „Dzwon zaczął bić w pół do piątej.”, „Samolot nisko przeleciał nad wieżą”. Wszystko tu jest wyraźne, dopełnione, mające początek i zakończenie, niekiedy zaskakującą puentą. Nic się poza to, co poetka ustala, dalej nie rozlewa. Gdyż wiersz innymi prawami się rządzi, nie jest samą rzeczywistością, oczywiście, wyłącza nawet od ludzi i ze świata. Później jest oczywiście powrót „z radością” (*Ocean*). To dobrze, że jest to tutaj rozumiane. W każdym razie może wzruszać głównie nurt tych wierszy, który dotyczy doświadczenia życia osobistego. Ono samo nie jest nawet poetyzowane. Ciężar tego doświadczenia nie pozwala na dłuższe eskapady typowo wyobraźniowe. Niektóre z wierszy, jak np. *Jej oczy*, po prostu wstrząsają dramatyzmem. Świadczą o rzetelności i rozumieniu powagi spraw zasadniczych dla sensu ludzkiego cierpienia.

A przeczytajmy choćby i wiersz *Ślad* na stronie 31. Celnie, zaskakująco dobrze spuentowany. Przewidywy, utrzymany w tonie spokojnej, niemal bez-

namiętnej relacji, pełen wspomnienia, nostalgii, wrażliwości i czułego odczuwania egzystencji. Ważny dla tego tomiku jest też wiersz *Dom*, gdyż ustala podmiotową tożsamość. Ten nurt mnie w tomiku *Wiersze* najbardziej przekonuje. Wiem, że jest najtrudniejszy, gdyż wymaga dogłębnej refleksji oraz szczególnego wysiłku odważnego spojrzenia na siebie, poniekąd jak na własną twarz w lustrze. Czytając takie wiersze, czytelnik musi przypomnieć sobie istnienie świata wartości i konieczność pokonania wewnętrznej utłudy. I to się w wielu wierszach, nie tylko w tych najbardziej osobistych, gorzkich, zaznacza, ale choćby w takim utworze jak *Samotnia* opisującym wybór drogi „do świątyni Wang”. Jak wiadomo tam „dwa szlaki prowadzą”. Poetka deklaruje wybór tego trudniejszego, kamienistego, ale ciekawszego, bogatszego o „jeden widok”, który tylko „z tamtego miejsca można zobaczyć”. Można sądzić, że jest to wyznanie, dające się traktować szerzej, jako *quasi*-filozoficzne. O przyszłości rozpoczętej bardzo udanie drogi poetyckiej tego typu wybory będą decydować.

Gwoli ścisłości muszę tu dodać, że miejscami tonacja tych wierszy jest też lekka. Poetka popisuje się dowcipem, przekorą, poczuciem humoru, kokieterijną przewrotnością, np. *Ty i Ja*. Widać jednak, że groteska do głosu dochodzi raczej incydentalnie, jakby w celu chwilowego zakrycia lub oddalenia doznań dramatycznych.

Książka ta wymaga czytelnika, który patrzy wrażliwie na życie. Wierzę, że taki się znajdzie. Wypada mi tylko życzyć poetce, by to nie była jedyna jej książka poetycka. W co również wierzę.

**Czesław Sobkowiak**



# Lekko i poetycko

Janina Elżbieta Lorenc, *Fraszki i inne fatałaszki*, Pro Libris, Zielona Góra 2008, 58 s.

Władysław Łazuka, *Igraszki w pobliżu fraszki*, Wydawnictwo Książkowe Ibis, Warszawa 2009, 56 s.

Przeczytałem ostatnio dwa zbiorki poezji mające w tytule słowo „fraszka”. Jeden Janiny Elżbiety Lorenc z Żar *Fraszki i inne fatałaszki*, a drugi Igraszki w pobliżu fraszki Władysława Łazuki z Choszczna. Obydwoje przynależą do funkcjonujących na Ziemi Lubuskiej środowisk literackich. Tytuły ich książek sugerują podobieństwo podejścia do rzeczywistości, do opowiedzenia o niej lekko, zabawnie, nieco ironicznie i dowcipnie tudzież anegdotycznie, ale i zaznaczona jest pewna różnica.

Utwory Lorenc w tym nastawieniu, także w formie językowej, którą zdecydowanie często stanowi rymowany dwuwiers, chcą trafić do sedna fraszki, być fraszką, postępując się błyskotliwością sformułowań, byleby tylko wyrazić nasuwającą się myśl. Przy tym te sformułowania odnoszą się wyłącznie do sytuacji społecznych w różnorodnych sferach życia. Żarska autorka dzieli nawet swój zbiorek na kilka cykli fraszkowych: *Literacko i kulturalnie*, *Miłośnie i obyczajowo*, *Politycznie i paradoksalnie*, *Swojsko i żarsko* oraz *Limeryki*. Tak więc widać, także po budzącej podziw ilości tych krótkich utworów, że poetyckie żartowanie weszło tej poetce w „krew”, co więcej, J. E. Lorenc, powracając jakby do pisania zdecydowanie przesunęła akcenty poetyckiego nastawienia. W wydanym w 1997 r. zbiorze *Zostałam iluzjonistką* prezentowała się jeszcze jako poetka liryki osobistej, jednak tylko po części. Ujawniała już wtedy także drugą swoją naturę – powiedziałbym – żartowną. Nie chcę wyrokować, bo wobec twórcy, dopóki żyje, to może być zawodne, ale teraz wybrała w całości tę mniej wewnętrznie absorbującą formę literacką, niekoniecznie wymagającą dużego wysiłku intelektualnego i warsztatowego, a już zwłaszcza docierania do podmiotowego wnętrza, bo wystarczy błyski skojarzeń, chwilowe więc natchnienia, którym po napisaniu nie ma potrzeby poświęcać więcej czasu na obróbkę warsztatową, gdyż nie pietyzm intelektualny i super oryginalność tu jest w cenie. Temat może być nawet poboczny, byleby towarzyszył mu żart i efektywność np. „Uczta tylko na ducha? / Jest i coś dla brzucha” (*Czwartki lubuskie*). Myślę, że lektura tych tekścików może niejednokrotnie przywoływać uśmiech, jako że celności sformułowań kwestio-

nować się nie da. Nie spodziewajmy się zarazem głębokiej refleksji. Fraszki zawsze są sytuacyjne, np. politycznie czy społecznie sytuacyjne: „Pozbył się willi i daczy – / nieba w kratkę nie zobaczy”. I tak, w ten mniej więcej sposób mówi poetka o wielu dziedzinach życia. Tonacja krytyczna nie zawsze też bywa jednakowa. Czasem na jej miejsce wchodzi po prostu obyczajowe spostrzeżenie: „Chciał spróbować i ocenić, / w końcu musiał się ożenić”.

Myślę, że w swym zapale zdejmowania patyny, nadętości, sztucznej powagi i ułud czy fałszu moralnego sporo autorka czyni. Jeśli mi czegoś zabrakło, to fraszek towarzyskich, dotyczących środowiska np. literackiego, a może i innych sobie znanych osób. Nie wyzbywa się przecież spostrzegawczości. A może zabrakło pewnej dozy odwagi, by się jednak zbytnio nie wychylać ani narażać?

Natomiast struktura, jak i charakter „fraszkowego” tomiku Władysława Łazuki jest nieco inny. Przede wszystkim pojawił się, i to dość zaskakująco, w innym momencie drogi twórczej, po opublikowaniu wielu zbiorów liryki osobistej, w której prym wiedzie wrażliwa refleksja nad biegiem natury, jak i własnym życiem. Do tej pory tak zresztą odbierałem jego twórczość. Oczywiście przygody się zdarzają, pewna efektywność innej formy wyrazu stanowi pokusę do jej użycia. Na tym wszystkim polega sedno tworzenia. Na bystrości spostrzeżenia, niezbędnej dozie żartu i humoru oraz dążenia do komunikatywnej zwięzłości oparte są fraszki Łazuki. Zdaje się jednak, że on sam traktuje je z pewnym przy-mrużeniem oka. Nie chce być fraszkopisem na serio, ale „w pobliżu”. To jest jego zdolność, zmanifestowanie formy, zmysłu obserwacji, a nie główny żywioł. Owszem, również nie ma tu przydługiego gadania i krytykowania, dwie, trzy linijki, a nawet bywa, że jedna. Też jest rym, bo inaczej byłyby to zapiski prozą. Poza tym na rymie oparty jest dowcip i prześmiewczość, podkreślająca zabawność opisywanej sytuacji, ale tak naprawdę w wielu miejscach widać, że w gruncie rzeczy poeta nie odchodzi od siebie. Zwłaszcza wtedy, gdy nie stroni od czynienia tematem i bohaterem przyrody, zjawisk natury, np.: „W czasie tarła / tak się zdarła” (*O rybie*), „Brzoza do

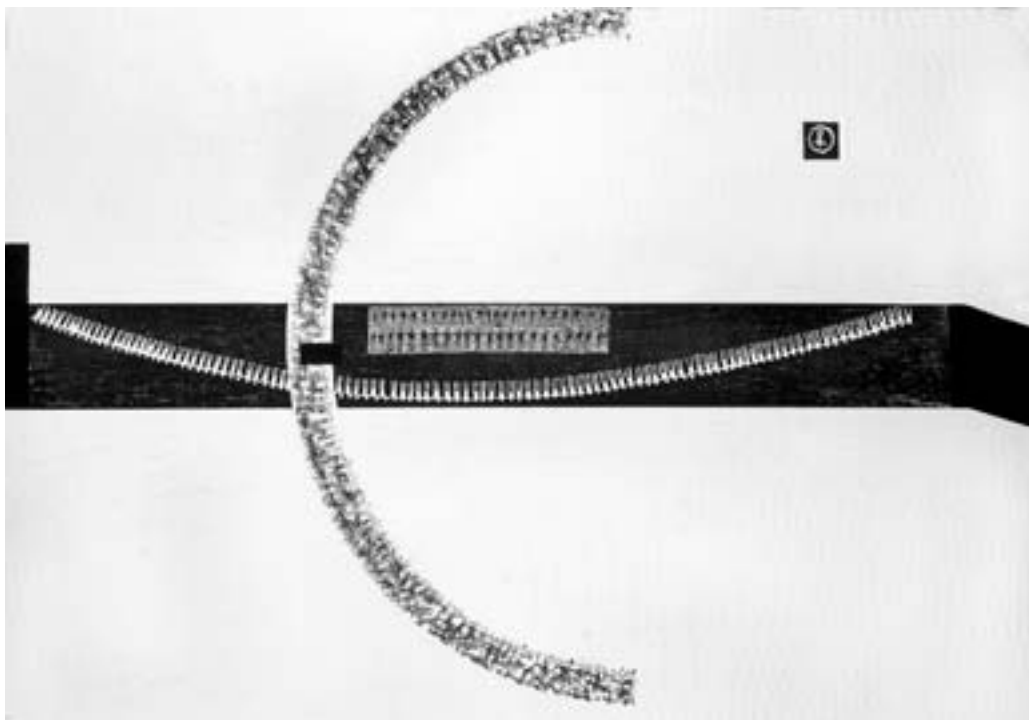
brzozy / Pod nami dzik / barłoży”, a śnieg – „Wciąż ma kartę białą”. W tym drugim przypadku spięcia rymem nie ma, a jednak sens i doza dowcipu jest zachowana. Jednak jest i podmiotowa refleksja. Może więc w tych fraszkach jest coś więcej, czyli aforyzm. Może pisanie takich fraszek jest rzeczywiście trudniejsze, bo trzeba wyjść poza szablony. A celem uczynić myśl, bogactwo otaczającego życia i doświadczenie. Nie tylko dążenie do rymu, gdyż czasami jest ledwo zaznaczony.

Widać, że potrafi Łazuka pożartować, czasami skrytykować czyjeś postępowanie: „Z wszystkiego szydzi / kiedy nikt nie widzi” (*Tajniak*), uzyskując efekt ośmieszenia, ale też często po prostu sypie anegdotami, które niekoniecznie moralizują, co raczej są zwykłymi żartami z określonych osób (sobie znanych, którym zresztą poświęca sporo miejsca) i stwierdzeniami pewnych prawdziwości: „Kropelka po kropelce / aż zobaczył dno / w butelce”.

Sporo tu miniportrecików zostało narysowanych. Pojawiają się klimaty życia codziennego, pracy, łowienia ryb, uprawy ogrodu. Dużo miejsca poświęca

kobiecie, a zwłaszcza męsko-damskim sytuacjom o ściśle erotycznym zabarwieniu. Bardzo udane to kawałki, trafne, wdzięczne i niejednolite są tego typu fraszki: „W powrotnej drodze / kupował ryby / by przed żoną / mieć alibi”. Jest tu humor, ale i pewna wyrozumiałość. Tak, fraszki Łazuki odzwierciedlają bogactwo codziennych doświadczeń, a że autor dostrzega w nich czasami teatralność zachowań, np.: „Non stop rozbiegany / od damy do damy”, no cóż, czasem jednak widać coś innego, westchnienie liryczne: „Kiedy jesteś z Grażką / cała reszta jest fraszką”, a co to w tym momencie znaczy, trzeba sobie już dopowiedzieć, nazwać, domyślić się. Właśnie na tym polega tych fraszek urok, że jest w nich i poezja. Ta reszta. Uśmiechamy się, ale i wzruszamy. Nie zawsze ta kropka fraszkowa nad „i” jest postawiona. Życie jak kobieta „kolce gdzieś na dnie chowa”, ale ma też i urok. I o tym Władysław Łazuka nie zapomina. Myślę, że w gruncie rzeczy Władysław Łazuka opublikował zupełnie niemarginalną książkę.

**Czesław Sobkowiak**



# V Międzynarodowy Festiwal Kina Autorskiego

FILMOWE NIEDZIELE : 12.07-30.08.2008  
OGRÓDEK STRASZNEGO DWORU PRZY BWA  
DEPTAK, GODZ. 21.00-23.00, WSTĘP WOLNY!

WIELKI FINAL W KINIE NYŚA:  
4-6 WRZEŚNIA GODZ. 14.00-23.00  
CYKL "KINO MISTRZÓW", FILMY  
KONKURSOWE, SPOTKANIA Z GWIAZDAMI,  
WRĘCZENIE NAGRÓD oraz *FILMOWY ROMANS  
ZE SZTUKĄ RÓŻNĄ*

Zielona Góra 2009



*filmy z Wietnamu, Rumunii, Irlandii,  
Szwecji, Japonii, Węgier, Holandii,  
Iraku, Niemiec, Czech, Hiszpanii, USA,  
Wielkiej Brytanii, Chin, Polski....*

*oraz filmowy romans  
ze sztuką różną!*

**NIE PRZEGAP !!!**

Q  
U  
E  
S  
T

E  
U  
R  
O  
P  
E

Organizatorzy:  
**AKADEMIA TWÓRCZYCH POSZUKIWAŃ**  
/ Lubuska Szkoła Telewizji i Filmu  
Lubuska Szkoła Fotografii /  
Stowarzyszenie Jeszcze Żywych Poetów, Odra-Film

[www.akademia.zgora.pl](http://www.akademia.zgora.pl)  
[www.quest-europe.eu](http://www.quest-europe.eu)  
[info@akademia.zgora.pl](mailto:info@akademia.zgora.pl)



**TYLKO NA QUEST EUROPE  
MAGICZNE CHWILE Z NAJWIĘKSZYMI OSOBOWOŚCIAMI KINA!**



**MAJA KOMOROWSKA  
SPOTKANIE 4 WRZEŚNIA, GODZ. 18.00**

główny organizator:

**Lubuska Szkoła Telewizji i Filmu  
Lubuska Szkoła Fotografii**



**JERZY HOFFMAN  
SPOTKANIE 6 WRZEŚNIA, GODZ. 19.00**

# Europejskie Ogrody Sztuki

Zielona Góra - lipiec / sierpień 2009

## Filmowa Góra



"Filmowa Góra to festiwal gdzie kino niecałkowicie, robione słasnym skryptem, słasnym wystękiem, znajduje formę, znajduje publiczność i widza, znajduje kontakt z ludźmi."

Krzysztof Załuski

## Róże Jazz Festival



"Szalony pomysł z wyjezdem jazzu na zielonogórską starózkę i kiko się gra w Zielonej Górze. Bardzo udany festiwal!"

Jan Staszyn Króblewski

## Okna Wyobraźni



"Zaglątajcie tkusnie w zielonogórskie Okna Wyobraźni, przez które przycięli najlepszycy artyści. Zapraszam Serdecznie!"

Kasia Króblewska

Scena przy

Zielonogórskim Ratuszu



[www.kombinat-kultury.pl](http://www.kombinat-kultury.pl)

# I Gorzowski Festiwal Poetycki

W październiku odbędzie się I Gorzowski Festiwal Poetycki, który przy pomocy Miejskiego Centrum Kultury w Gorzowie Wlkp. oraz Wydziału Kultury w Gorzowie Wlkp. organizują Karol Graczyk i Marek Lobo Wojciechowski.



W programie:

## 16.10.2009, piątek

- 10.00-10.30 – Rozpoczęcie festiwalu, powitanie, prezentacja Gości/Prowadzących/Jurorów (Anna Piwkowska, Roman Honet, Jakub Winiarski) – prowadzą: Marek Lobo Wojciechowski i Karol Graczyk
- 11.00-14.00 – Po co wiersz? Panel dyskusyjny
- 16.00-18.00 – Mapa wierszowa; praktyczny poradnik tyczący pisania, czytania i interpretacji
- 20.00 – Koncert zespołu Kawałek Kulki

## 17.10.2009, sobota

- 10.00-14.00 – Indywidualne Warsztaty Publiczne; prezentacje i praca nad tekstami Uczestników
- 15.30-19.00 – Turniej Jednego Wiersza
- 20.00 – Slam Poetycki

## 18.10.2009, niedziela

- 10.00-12.00 – Krajobrazy Słowa; prezentacje sylwetek Gości – spotkania autorskie
- 12.30-13.30 – Podsumowanie Konkursu Jednego Wiersza i Slamu, wręczanie nagród, pożegnanie

### UWAGA:

Zgłoszenia na Festiwal oraz wiersze na konkurs przyjmują:

Karol Graczyk (pkpzin@gmail.com) i Marek Lobo Wojciechowski (loboszary@wp.pl).

Utwory na Turniej Jednego Wiersza należy przesyłać pod adres e-mail do 30 września.  
Organizatorzy przewidzieli nagrody.

Konkurs Jednego Wiersza:

- I miejsce – 300 zł i okolicznościowa statuetka,
- II miejsce – 200 zł,
- III miejsce – 100 zł.

Slam:

- I miejsce – 300 zł i okolicznościowa statuetka,
- II miejsce – 200 zł,
- III miejsce – 100 zł.

# KRONIKA LUBUSKA

marzec – maj 2009

- 3 marca w auli Collegium Polonicum w Słubicach utwory z najnowszej płyty, *Pasodoble*, zaprezentował Leszek Moździerz. Pianiście towarzyszył szwedzki kontrabasista i wiolonczelista Lars Danielsson.
- 4 marca w Bibliotece Norwida odbyło się otwarcie wystawy gobelinów z okazji 25-lecia istnienia sekcji tkactwa artystycznego Penelopa.
- W klubie Pro Libris wojewódzkiej biblioteki 5 marca miała miejsce promocja książki J. E. Lorenc *Fraszki i inne fatałaszki*.
- 6 marca w gorzowskim Teatrze Osterwy wystąpił Michał Bajor. Artysta zaprezentował utwory ze swojej nowej płyty, *Inna bajka*. W Lubuskim Teatrze natomiast swoją twórczość przypomniał Stanisław Soyka.
- W ramach Dni Muzyki nad Odrą odbyło się ponad 20 koncertów po obu stronach granicy. Zaprezentowali się soliści i zespoły z USA, Chin, Francji, Niemiec, Ukrainy i Białorusi. 6 marca w nowosolskim Domu Kultury odbył się koncert kameralny w wykonaniu kwartetu akordeonowego Rizol Quartet z Ukrainy, a w Filharmonii Zielonogórskiej połączone orkiestry symfoniczne FZ oraz Radia i Telewizji Białoruś wykonały VII Symfonię Leningradzką.
- Tego też dnia odbył się w Głogowie przegląd kabaretów i zespołów szkolnych Żakinada.
- 7 marca w Kawiarni Teatralnej w Nowej Soli w ramach IV edycji Festiwalu Instrumentalistów Bluesowych wystąpili: Piąta Rano, Berlin Blues, Highway i Boogie Boys.
- W Dniu Kobiet kabaret Ciach rozśmieszał publiczność w kozuchowskim Zamku, a Władysław Sikora rozbawiał gości w Hotelu Ruben w Zielonej Górze.
- Do 25 marca w galerii Baszta w Zielonej Górze można było oglądać wystawę Joanny Olejniczak, zatytułowaną *Porządek w chaosie – obrazy ceramiczne*.
- W Kręgielni w Kostrzynie n. Odrą 12 marca wystąpił Stanisław Tym w programie kabaretowym *Mieszanka filmowa*.
- 12 marca w Bibliotece Norwida odbyło się spotkanie autorskie z ks. Jerzym Hajdugą. Spotkanie z poetą poprowadził ks. Andrzej Draguła.
- W Jazz Clubie Pod Filarami 12 marca wystąpiła Joanna Duda. Gratka dla fanów nieklasycznego jazzu.
- 13 marca w kostrzyńskim Centrum Kultury koncert dały zespoły rockowe: Bezsensu, Train Goes Back i Gaja.
- Również 13 marca otwarto w kawiarni Delicjusz w Sulechowie wernisaż Teresy Berendt-Klechamer *W moim magicznym ogrodzie*. Wystawie towarzyszył recital gitarowy Przemysława Rutkowskiego.
- Od tego też dnia w Małej Galerii GTF w Gorzowie prezentowano wystawę, będącą pokłosiem 13. ogólnopolskiego konkursu portretu fotograficznego w Trzciance.
- W Filharmonii Zielonogórskiej 13 marca wystąpił szwajcarski wiolonczelista Ivan Monighetti. W programie znalazły się utwory Bacha i Pendereckiego.
- W galerii BWA odbył się wernisaż malarstwa Karoliny Spiak.
- 14 marca warszawski aktor, Janusz Zbiegeł, zaprezentował się w świebodzińskim domu kultury. Wystawiono spektakl *Brel raz jeszcze* w reżyserii K. Jandy.
- 15 marca w Grodzkim Domu Kultury w Gorzowie odbył się koncert muzyki klasycznej. Wystąpiła poznańska skrzypaczka, Aleksandra Tomasińska.
- Z okazji Dnia św. Patryka, 16 marca w Kawonie w Zielonej Górze zorganizowano irlandzki wieczór. Zagrał zespół Banshee.
- W gorzowskiej bibliotece wojewódzkiej 18 marca Jacek Dehnel spotkał się z czytelnikami.
- W Muzeum Ziemi Lubuskiej 18 marca otwarto wystawę fotografii Adama Andrearczyka pt. *Po drugiej stronie lustra*. Fotografik zajmuje się portretowaniem Zielonej Góry, toteż wystawa była poświęcona temu miastu.
- 20 marca w Jazz Clubie Pod Filarami w Gorzowie zagrał brytyjski skrzypek, Nigel Kennedy.
- Na deskach Lubuskiego Teatru wystawiono *Kaspára Hausera*. Premiera odbyła się 21 marca. W roli głównej wystąpił Dawid Rafalski.
- 21 marca w Pubie Pod Torami w Żaganiu zagrał zielonogórski duet Betatest.
- W sobotę, 21 marca w świetlicy w Zaborze odbyła się premiera dramatu *Dziewczynki*. Wystąpiły

- aktorki – amatorki, a sztukę wyreżyserował J. A. Freś.
- W Piwnicy Artystycznej Kawon 22 marca zagrał zespół Masala, promujący swój nowy album *Cały Ten Świat*. Jako support wystąpił Method Massiv.
  - 24 marca na Uniwersytecie Zielonogórskim rozpoczęły się Dni Frankofonii. W programie znalazły się wykłady, karaoke i oczywiście francuskie przysmaki.
  - 27 marca w Muzeum Ziemi Lubuskiej odbył się wernisaż wystawy Alicji Lewickiej-Szczegóły pt. *Księżyc i ucho*.
  - Również 27 marca w nowosolskim Domu Kultury miał miejsce koncert charytatywny. Wystąpili: Country Five, Piąta Rano, Nowosolski Big Band oraz VEO.
  - Od 27 marca w Lubuskim Teatrze trwał POKOT, czyli Ponoworoczne Konfrontacje Teatralne; przez 3 dni zaprezentowało ok. 20 zespołów.
  - W Gorzowie 28 marca w kościele przy ul. Brackiej Zespół Muzyki Dawnej Preambuła zagrał koncert *Jezusa Judasz sprzedał...* W dniu następnym, tym razem w kościele przy ul. Strażackiej, pieśni wielkich kompozytorów zaprezentował gorzowski chór Cantabile pod kierownictwem Jadwigi Kos.
  - Kolaże i fotografie A. Czarkowskiej-Graczew można było oglądać od 28 marca w Galerii BWA w Gorzowie.
  - 2 kwietnia w Bibliotece Norwida otwarto wystawę *Korczak i jego dzieło*. Ekspozycję zwiedzano do końca miesiąca.
  - 3 kwietnia w Jazz Clubie Pod Filarami koncert dali: pianista jazzowy Dave Kikoski, perkusista Gary Novak i kontrabasista Piotr Lemańczyk.
  - Od 3 do 19 kwietnia w BWA w Zielonej Górze można było obejrzeć wystawę prac Pawła Wociała *Wszyscy jesteśmy Piotrusiami*.
  - 4 kwietnia w Miejskim Centrum Kultury w Gorzowie wystąpił kameralny zespół wokalny, Inspiro Ensemble
  - Krzysiek „Jary” Jaryczewski wraz z zespołem Exces dał koncert 4 kwietnia w zielonogórskim Kawonie.
  - W związku z 4. rocznicą śmierci Jana Pawła II w gorzowskiej katedrze zorganizowano 2 koncerty: Jan Paweł II in Memoriam (4 kwietnia), Gerald Spitzner *Wielka Msza Jan Paweł II* (5 kwietnia).
  - 5 kwietnia w Klubie 4 Róże dla Lucienne wystąpił zespół Leniwiec i Fort BS.
  - 8 kwietnia w Lubuskim Teatrze odbyła się premiera musicalu *Studenty*, do którego libretto i muzykę stworzył Grzegorz Hryniewicz.
  - Tego też dnia w BWA w Zielonej Górze miał miejsce pokaz filmów z Międzynarodowego Festiwalu Krótkich Filmów Oberhausen.
  - 16 kwietnia w klubie AvanGarda Stu w hotelu Ruben w Zielonej Górze odbył się koncert Jacka Fedorowicza i kabaretu Ciach.
  - W zielonogórskim klubie Kotłownia 16 kwietnia koncertował zespół TSA.
  - 17 kwietnia w auli UZ zaprezentował się Teatr Rampa z Warszawy w spektaklu *Klimakterium i już*.
  - W Małej Galerii Gorzowskiego Towarzystwa Fotograficznego 17 kwietnia odbył się wernisaż wystawy fotograficznej Piotra Stasika.
  - 17 kwietnia w BWA otwarto wystawę Annemarie van der Berg *From the Mountain*.
  - Również tego dnia w Muzeum Archeologicznym Środkowego Nadodrza w Świdnicy zainaugurowano wystawę fotografii Jerzego Szewczyka pt. *Zrozumieć Chiny*.
  - 18 kwietnia w Piwnicy Artystycznej Kawon wystąpiła legenda rocka, grupa Budgie.
  - W dniach 17–18 kwietnia w Kawonie odbywał się konkurs kabaretów Flying Mole Festiwal, czyli Festiwal Latający Kret.
  - 18 kwietnia w Teatrze Osterwy zorganizowano koncerty jubileuszowe z okazji 30-lecia Zespołu Artystycznego Buziaki.
  - 22 kwietnia w Muzeum Ziemi Lubuskiej zaprezentowano wystawę Zbigniewa Majewskiego *Zaprzęgiem konnym po Europie*.
  - 23 kwietnia w Kawonie wystąpił zespół Voo Voo.
  - Podczas tzw. Nocy Kryszałkowej 23 kwietnia w Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze odbył się wykład *Wokół Synagogi. Święto Tory* Anny Lebet-Minakowskiej oraz prezentacja nowego eksponatu – pięcioksięgu w zwoju.
  - W WiMBP w Gorzowie 23 kwietnia odbywał się koncert piosenki poetyckiej lat 70. w wykonaniu krakowskich artystów: Elżbiety Wojnarowskiej (śpiew) oraz Wojciecha Wojnarowskiego (kontrabas).
  - 23 kwietnia w Jazz Clubie Pod Filarami zagrał John Abercrombie, a następnego dnia koncert dał Ulf Wakenius.
  - W dniach 23–25 kwietnia odbywał się V Festiwal Jazzowy Green Town of Jazz w Zielonej Górze.

- W ramach festiwalu Gorzów Jazz Celebration w Jazz Clubie Pod Filarami występowali gitarzyści ze światowej czołówki: John Abercrombie (23 kwietnia) i Ulf Wakenius (24 kwietnia).
- 24 kwietnia w Galerii Pro Arte otwarto wystawę malarstwa Jarostawa Łukasika *Obrazy nieostatnie*.
- Od 24 kwietnia w Muzeum Ziemi Lubuskiej można było oglądać kolekcję 25 obrazów znanego polskiego pejzażysty Stefana Chabrowskiego.
- W sali konferencyjnej WiMBP im. C. Norwida 24 kwietnia przeprowadzono sesję naukową z okazji 20-lecia koronacji Matki Bożej Rokitniańskiej.
- 25 kwietnia w Galerii BWA Miejskiego Ośrodka Sztuki w Gorzowie miał miejsce wernisaż rysunków Zdzisława Beksińskiego.
- W Lubuskim Teatrze 27 kwietnia odbyła się premiera spektaklu dla dzieci *Niebieski Piesek*, wyreżyserowanego przez Roberta Czechowskiego.
- W Filharmonii Zielonogórskiej 27 kwietnia koncertował Maciej Maleńczuk. Artysta przedstawił *Psychodancing*. Spotkanie odbyło się w ramach cyklu *To właśnie muzyka*.
- Tego dnia w Kawonie wystąpił kabaret Adin Władysława Sikory.
- Dżem zagrał w zielonogórskiej Kotłowni 29 kwietnia.
- 30 kwietnia w Galerii BWA w Zielonej Górze odbył się Festiwal Polskich Filmów Krótkometrażowych *Short Waves*.
- W dniach 1–2 maja w Gorzowie trwały Międzynarodowe Spotkania Orkiestr Dętych Alte Kameraden.
- 6 maja w Muzeum Ziemi Lubuskiej otwarto wernisaż wystawy pejzażysty Pawła Kotowicza z Krakowa.
- Od 7 do 10 maja trwały V Lubuskie Spotkania Gitarowe w Zielonej Górze.
- 8 maja w Teatrze Ostwery odbyła się uroczystość z okazji 15-lecia Euroregionu Pro Europa Viadrina.
- Tegoroczny Tydzień Bibliotek (8–15 maja) był obchodzony m.in. w Zielonej Górze, Gorzowie i regionie, a patronowało mu hasło *Biblioteka to plus*.
- 9 maja w konkatedrze św. Jadwigi w Zielonej Górze rozbrzmiał Koncert Majowy w wykonaniu chóru Cantores et Collegium Viridimontanum pod batutą Jerzego Markiewicza. W programie znalazły się utwory barokowych mistrzów.
- Znana wokalistka jazzowa, Grażyna Auguścik wystąpiła w Teatrze Osterwy. Koncert był poświęcony piosence Jerzego Wasowskiego i Jeremiego Przybory.
- W dniach 12–14 maja w Zielonej Górze odbywały się Bachanalia. Zagrały m.in. zespoły: Coma, Sokół i Pono.
- 14 maja odbyła się Biesiada Literacka w sali widowiskowej WiMBP im. C. Norwida z udziałem zagranicznych literatów. Tym samym zainaugurowano Międzynarodowy Festiwal Literacki.
- Noc Muzeów przypadła na 15 maja. Z tej okazji odbyła się Japońska Noc w Muzeum Ziemi Lubuskiej i Europejska Noc Muzeów w Lubuskim Muzeum Wojskowym.
- 16 maja w Teatrze Osterwy wystawiono sztukę dla dzieci *Tajemniczy ogród* w reżyserii Cezarego Domagały.
- 19 maja w Galerii BWA zaprezentowano instalację Ani i Adama Witkowskich *Let's dance*.
- W ramach Czwartku Lubuskiego w Bibliotece Norwida 21 maja miało miejsce spotkanie autorskie z Hatifem Janabi – irackim poetą, pisarzem, eseistą, tłumaczem i teatrologiem.
- 22 maja w Galerii Pro Arte otwarto wystawę grafik cyfrowych połączonych z serigrafiami autorstwa Jacka Papaya.
- W Muzeum Ziemi Lubuskiej 29 maja zaczęły się IV Dni Kultury Żydowskiej. W programie znalazły się: projekcja filmu *Narodzona po raz drugi*, piosenki żydowskie, przedstawienie *Na czym polega święto Purim? Purimspiel*, wykład Wandy Kochowskiej, wieczór słowno-muzyczny i wieczór szabatowy.
- Stowarzyszenie Wspólnota Bukowińska zorganizowało konferencję *Z Bukowiny do Brzeźnicy*, która odbyła się 29 maja w Muzeum Etnograficznym w Ochli.
- 29 maja w zielonogórskiej Galerii Punkt otwarto wystawę zatytułowaną *Malarstwo polskie na przestrzeni wieków*.
- Również 29 maja w Klubie 4 Róże dla Lucienne odbył się koncert grupy Country Five.
- Wernisaż wystawy Agaty Siwek *Sztuka od A do Z* przeprowadzono 29 maja w Galerii Nowy Wiek w Muzeum Ziemi Lubuskiej.
- W dniach 29–30 maja w Zielonej Górze trwał I Ogólnopolski Festiwal Piosenki Dziecięcej i Młodzieżowej Fuma.
- 31 maja w Lubuskim Teatrze odbyła się premiera sztuki *Teraz na zawsze* M. Frydrych-Gregorovej w reżyserii grupy Skutr (młodzi reżyserzy z Pragi).

# KSIĄŻKI NADESŁANE

*10 lat Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Gorzowie Wielkopolskim*, oprac. zbiorowe, Państwowa Wyższa Szkoła Zawodowa w Gorzowie Wielkopolskim, Gorzów Wielkopolski 2008, 80 s.

*Gorzów w mojej pamięci / Gorzow in meiner Erinnerung*, WiMBP w Gorzowie Wlkp., Gorzów 2008, 342 s.

Katarzyna Adamek-Pujszo, *Działalność kulturowa księży zagańskich Bironów (1786–1862)*, cz. 1, PC Serwis Ryszard Pujszo, Zielona Góra 2007, 267 s.

Tomasz Andrzejewski, *Budowle sakralne powiatu nowosolskiego*, Muzeum Miejskie, Nowa Sól 2007, 48 s.

Wiesław Chłopek, Andrzej Miernicki, *3. Drezdeński Pułk Czołgów Średnich. Dokumenty i wspomnienia*, Dekorgraf, Żagań 2009, 233 s.

*Chwała Pani Rokitniańskiej. Czytanki majowe*, oprac. Paweł Socha, Wydawnictwo Diecezji Zielonogórsko-Gorzowskiej, Zielona Góra 2009, 107 s.

Leszek Frey-Witkowski, *Sonoryzm mojego 60-lecia*, Muzeum Regionalne w Świebodzinie, Świebodzin 2009, 77 s.

Kazimierz Furman, *Brzemię*, Gorzów Wlkp. 2009, 67 s.

Elżbieta Alina Jakimik, Karol Parno Gierliński, *Kobieta w środowisku romskim*, Związek Romów Polskich, Szczecinek 2008, 25 s.

Maria Kuleszyńska-Kozak, *Pod powiekami czasu*, ORGANON, Zielona Góra 2008, 71 s.

Władysław Łazuka, *Igraszki w pobliżu fraszki*, Wydawnictwo Książkowe IbiS, Warszawa 2009, 52 s.

Władysław Łazuka, *Noc – podróż i inne wiersze*, Wydawnictwo Książkowe IbiS, Warszawa 2009, 64 s.

Jerzy Nowaczyk, *14 pielgrzymek rowerowych na Jasną Górę w Częstochowie*, Wydawnictwo Diecezji Zielonogórsko-Gorzowskiej, Zielona Góra 2009, 212 s.

Krystyna Nawrocka, *Drzwi jesieni*, ORGANON, Zielona Góra 2008, 71 s.

Krzysztof Nieborak, *Autoportret: moje wierszydła i myśli*, Absonic, Wrocław, 45 s.

*Program opieki nad zabytkami województwa lubuskiego na lata 2009–2012*, Urząd Marszałkowski Województwa Lubuskiego w Zielonej Górze, Zielona Góra 2009, 171 s.

Jolanta i Stanisław Szwarcowie, *Przerwa w podróży*, ORGANON, Zielona Góra 2009, 86 s.

Ryszard Zaradny, *Władza i społeczeństwo Zielonej Góry w latach 1945–1975*, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2009, 714 s.

# AUTORZY NUMERU

## **Ewa Andrzejewska**

Zielonogórska poetka, autorka tekstów piosenek, a także rysunków i satyr publikowanych w miesięczniku „Puls”. Prowadzi klub poetycki Szufladera w MDK „Dom Harcerza”.

## **Andrii Bondar**

Poeta, prozaik, tłumacz, publicysta, redaktor i felietonista „Zwierciadła”, stypendysta Ministra Kultury. Autor trzech tomów wierszy, tłumaczy na język ukraiński polską literaturę i prace literaturoznawcze.

## **Radovan Brenkus**

Słowacki poeta, prozaik, krytyk, wydawca, redaktor czasopisma „Dotyki”; autor trzech tomików poetyckich.

## **Grzegorz Gorzechowski**

Absolwent Filologii Polskiej UZ. Tłumacz prozy i poezji niemieckiej. Zastępca redaktora naczelnego „Pro Libris”.

## **Karol Graczyk**

Ur. w 1984 r. w Gorzowie Wlkp. Uprawia poezję, prozę, zajmuje się dziennikarstwem. Laureat konkursów poetyckich. Stypendysta Prezydenta Gorzowa Wlkp.

## **Karl Grenzler**

Ur. w 1954 r. w Łebie; absolwent UJ w Krakowie, kustosz biblioteczny, kierownik Biblioteki Instytutu Geografii UJ. Poeta, tłumacz. Zajmuje się tłumaczeniami polsko-niemieckimi i niemiecko-polskimi, głównie poezji. Członek ZLP oraz Stowarzyszenia Twórczego POLART w Krakowie i Lübecker Autorenkreis.

## **Marek Grewling**

Ur. się w 1963 r. w Gorzowie Wlkp. Nauczyciel historii, absolwent teologii biblijnej. Autor 6 książek poetyckich, inicjator wydań antologii, autor aforyzmów, wierszy, esejów, recenzji i artykułów publicystycznych; współpracownik „Pegaza Lubuskiego”. Od roku 2003 jest członkiem ZLP.

## **Wojciech Jachimowicz**

Organomistrz, znawca i kolekcjoner instrumentów muzycznych, właściciel dworu w Szybie. Regionalista, autor wielu publikacji fachowych, laureat licznych nagród społeczno-kulturalnych.

## **Birutė Jonuškaitė**

Litewska pisarka, poetka, tłumaczka; wiceprezes Związku Pisarzy na Litwie. Laureatka nagród literackich za najlepszą prozę roku, Nagrody Ministra Kultury Litwy oraz Nagrody im. Wiktora Hulewicza.

## **Leszek Kania**

Kurator wystaw, krytyk sztuki, zastępca dyrektora Muzeum Ziemi Lubuskiej

## **Katos (właśc. Jacek Katarzyński)**

Ur. w 1966 r. w Koninie. Poeta, performer, filmowiec niezależny. Organizator i współorganizator licznych imprez kulturalnych. Członek zielonogórskiej grupy filmowej Sky Piastowskie. Koordynator artystyczny Festiwalu Filmowego Kino Niezależne Filmowa Góra. Autor czterech książek poetyckich i licznych publikacji prasowych. Od 1984 r. na stałe związany z Zieloną Górą.

## **Beata Patrycja Klary**

Poetka, publicystka, stypendystka Prezydenta Miasta Gorzowa. Zastępca redaktora naczelnego „Pegaza Lubuskiego”, sekretarz RSTK w Gorzowie Wlkp. Autorka książek i arkuszy poetyckich, prac krytycznoliterackich, recenzji, wywiadów publikowanych w pismach regionalnych i ogólnopolskich.



### **Viktoria Korb**

Ur. się w Kazachstanie, wychowała w Warszawie. Dwujęzyczna (polski, niemiecki) pisarka, publicystka, autorka publikacji naukowych, dziennikarka. Współpracowała z Radiem „Wolna Europa”, „Gazetą Wyborczą”, „Sztandarem”, „Głosem Wielkopolskim”, berlińskim radiem „MultiKulti” i „Deutsche Welle” oraz „Kurierem Berlińskim – Polonica”.

### **Zbigniew Kozłowski**

Prozaik, laureat „Lubuskiego Wawrzynu Literackiego 2004”, autor powieści historycznych.

### **Barbara Krzeszewska-Zmyślony**

Kierownik Centrum Kultury i Języka Niemieckiego UZ, animator polsko-niemieckich przedsięwzięć kulturalnych; tłumacz.

### **Anita Kucharska-Dziedzic**

Adiunkt na Wydziale Humanistycznym Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego, prezes Lubuskiego Stowarzyszenia na Rzecz Kobiet „Baba”.

### **Sławomir Kufel**

Ur. w 1965 r. w Międzyrzeczu, historyk i teoretyk literatury, profesor UZ.

### **Eugeniusz Kurzawa**

Poeta, dziennikarz. Prezes Lubuskiego Oddziału ZLP. Pracuje w „Gazecie Lubuskiej”. Mieszka w Wilkanowie pod Zieloną Górą.

### **Michael Kurzwelly**

Ur. w 1963 r. Niemiecki artysta (dyplom z malarstwa w Alanus Kunsthochschule w Alfter/Bonn); studia ukończył w Poznaniu, gdzie prowadził Międzynarodowe Centrum Sztuki. Wykładowca na Uniwersytecie Viadrina we Frankfurcie nad Odrą (kulturoznawstwo), współpracownik Stowarzyszenia Artystyczno-Edukacyjnego Magazyn. Najbardziej znane projekty to: „Słubfurt” oraz „Biała strefa”.

### **Władysław Łazuka**

Ur. w 1946 r. poeta, prozaik, laureat nagród i wyróżnień literackich. Często publikuje w prasie, współpracuje z radiem. Autor 13. tomików poetyckich, członek ZLP i Stowarzyszenia Autorów ZAiKS. W tym roku obchodzi jubileusz 40-lecia pracy twórczej.

### **Kinga Mazur**

Ur. się w 1989 r., licealistka z Sulęcina, poetka. Debiutowała cyklem wierszy w „Pegazie Lubuskim”. Mieszka we wsi Kownaty.

### **Wiesława Siekierka**

Emerytowana farmaceutka, członkini Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów.

### **Czesław Sobkowiak**

Ur. w 1950 r., poeta, krytyk literacki, współpracownik regionalnych i ogólnopolskich pism literackich.

### **Eugeniusz Wachowiak**

Urodzony w Lesznie w 1929 r., związany z Poznaniem i Ziemią Lubuską, poeta, tłumacz z języka niemieckiego.

### **Joanna Wawryk**

Absolwentka zielonogórskiej polonistyki ze specjalnością edytorską, bibliotekarz w WiMBP w Zielonej Górze.

### **Jacek Wesołowski**

Artysta i teoretyk nowej sztuki, literaturoznawca, doktor nauk humanistycznych. Mieszka w Berlinie i Białowicach w Lubuskiem.

### **Grażyna Zwolińska**

Dziennikarka. 25 lat pracowała w prasie wrocławskiej. Po przeprowadzce w 1994 r. do Zielonej Góry, związała się z „Gazetą Lubuską”. Specjalizuje się w szeroko pojętej tematyce społecznej.





